REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN



wSIECI

Nr 3–4 (82–83)
MARZEC–KWIECIEŃ 2020
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

KRZYK UMARŁYCH

1940–2020 WALKA O PRAWDĘ O KATYNIU

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803

9 772300 680008 03

Zamów prenumeratę Z PREZENTEM!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII

30% TANIEJ + PREZENT



PRENUMERATA NA 12 MIESIĘCY

SIECI + wSIECI HISTORII
280 ZŁ

SIECI
245 ZŁ

wSIECI HISTORII
54 ZŁ

Zamówienia prenumeraty można składać:
- przez internet: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**
- telefonicznie: **22 616 15 70**
- e-mailem: **prenumerata@fratria.pl**

eprasa.pl 37b1e8a2c0

NOWA HUTA SKARCONA

Napisałem niedawno w jednym ze swoich artykułów o mieszkańcach Nowej Huty niepochlebnie, odnosząc się do czasów ukazania się „Poematu dla dorosłych" Adama Ważyka. Opublikowany w sierpniu 1955 r. za sprawą walk na górze partyjnej wiersz stalinowskiego literata podważał bowiem w swej treści sens budowy miasta – raju na ziemi, gdzie zgromadziły się w praktyce wszystkie patologie: prostytucja, pijaństwo itd. Jeden z czytelników mojego artykułu oburzył się, przypominając mi, że w tej samej Nowej Hucie, niemal w tym samym czasie mieszkańcy dzielnicy podjęli starania, by w mieście bez Boga postawić kościół. To też jest prawda o Nowej Hucie! Właśnie mija 60. rocznica haniebnej decyzji władz komunistycznych, które w lutym 1960 r. rozwiązały Komitet Budowy Kościoła utworzony w okresie odwilży (w 1957 r.), skonfiskowały zebrane fundusze, a w kwietniu tego roku uchyliły prawem kaduka wydaną trzy lata wcześniej zgodę na budowę świątyni. Co więcej, decyzją z 19 kwietnia 1960 r. miejscowa Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych nakazała usunięcie krzyża w miejscu planowanej budowy, stanowiącego obiekt kultu, przy którym już zaczęto odprawiać m.in. msze św. Pomimo braku zgody ze strony miejscowego proboszcza tydzień później, 27 kwietnia 1960 r., robotnicy przystąpili do rozbiórki krzyża.

To jawne bezprawie, lekceważenie mieszkańców i kradzież mienia, w końcu próba zbezczeszczania krzyża wywołały natychmiastową reakcję społeczną. Ujawniło się drugie oblicze miasta i jego mieszkańców, dalekie od opisu sprzed pięciu lat Adama Ważyka. Przy krzyżu zaczął się gromadzić tłum, podjęto modlitwy, najpierw kobiety stanęły za nim murem, potem przyszli mężczyźni – robotnicy z Huty im. Lenina, by bronić krzyża i polskich kobiet. Do akcji skierowano SB, milicję. Najpierw poszły w ruch armatki wodne, ale wobec odpowiedzi ze strony tłumu (kamienie, cegły i butelki z benzyną, jak podczas powstania) do akcji wkroczyły jednostki wojska i KBW; obsadzono gmachy publiczne, wygaszono światła. Dzielnica została spacyfikowana. Jak twierdzą badacze zajmujący się historią Nowej Huty, do dziś nie wiadomo, ile osób zostało rannych i poddanych rozlicznym represjom. Podczas samych zajść bito także kobiety i dzieci, w odwecie zaś protestujący ranili ponad 80 funkcjonariuszy. Zostało zatrzymanych 600 osób, a SB wszczęła kolejne sprawy operacyjne, zdobywała agenturę, której celem było donoszenie na rodziny osób najbardziej zaangażowanych w budowę kościoła i prowadzone modlitwy pod krzyżem. Protestujących wsparł bp Karol Wojtyła, krytykując publicznie i podczas rozmów z przedstawicielami władz miasta decyzję o haniebnej próbie usunięcia krzyża i złamania przyrzeczeń. Także dzięki jego staraniom w Nowej Hucie ostatecznie po 20 latach powstał kościół – Arka Pana. Potem powstały kolejne świątynie. Nowa Huta stała się mieszkaniem Pana Boga, a nie patologicznych środowisk wyhodowanych przez stalinowskie mrzonki o budowie idealnego miasta.

Historia Nowej Huty to rzecz jasna wycinek dziejów człowieka poddawanego presji ze strony ideologicznego i totalnego państwa. Eksperymenty na ludzkiej głowie nieraz kończyły się tragicznie. Gdy ideologia zawładnie umysłami, stać człowieka na przekroczenie wszelkich granic i barier, szczególnie moralnych. W tym numerze przypominamy w 80. rocznicę zbrodni katyńskiej, zarówno o samym akcie ludobójstwa, jak i o nosicielach kłamstwa; jednocześnie pamiętamy o tych, którzy – m.in. także w Krakowie – zakładali opozycyjne instytucje, głównie wspierane przez Kościół, gdzie przechowywano prawdę.

Patologia i norma – dwa bieguny ludzkich zachowań. Obyśmy nigdy nie popadali w taki stan moralnego relatywizmu, w którym nie odczujemy jako Naród różnicy między tymi postawami. I, co gorsza, będziemy tolerancyjni wobec wszystkich i wszystkiego.

JAN ŻARYN



eprasa.pl 3

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 3–4 (82–83) MARZEC–KWIECIEŃ 2020





13 ROSJA WINA NAM WYPŁACIĆ ODSZKODOWANIA ZA ARESZTOWANIA, ŁAGRY, DEPORTACJE I OSOBY ZAMORDOWANE W TEJ SAMEJ WIELKOŚCI, CO – MAM NADZIEJĘ – ZROBIĄ TO NIEMCY – PISZE KRZYSZTOF JASIEWICZ

36 SIEDEMSETNA ROCZNICA KORONACJI KRÓLEWSKIEJ WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA SKŁANIA DO REFLEKSJI NAD TYM PRZEŁOMOWYM WYDARZENIEM, OZNACZAJĄCYM TRWAŁE ODNOWIENIE KRÓLESTWA POLSKIEGO – PISZE JACEK KROCHMAL

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 CENTRALNY OKRĘG PRZEMYSŁOWY; TAJNE PAŃSTWO
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 REPARACJE WOJENNE 45 LAT TEMU
PIOTR ŁYSAKOWSKI

13 SIÓDME: NIE KRADNIJ
KRZYSZTOF JASIEWICZ

16 INDIANIE W KANADZIE
MACIEJ JABŁOŃSKI



19 LOSY SKARBU RUMUŃSKIEGO W ROSJI PO 1916 r.
ANDRZEJ DUBICKI

22 BLUŹNIERCZE RAMIONA HERETYK WYCIĄGA
BARTOSZ STARĘGOWSKI

25 JAK SZLACHETNA CUDKA STAŁA SIĘ KOCHANKĄ KRÓLA KAZIMIERZA
MALWINA LANGE

27 POLITYKA RUSKA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA
ADRIAN JUSUPOVIĆ

31 WŁADYSŁAW ŁOKIETEK I WĘGRZY
RYSZARD GRZESIK

34 ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA I KAROL ROBERT – MAŁŻEŃSTWO NIE TYLKO POLITYCZNE
STANISŁAW A. SROKA

SKARBY AGAD

36 DOKUMENTY WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA
JACEK KROCHMAL

1920 – STO LAT PO...

38 UCZENIE SIĘ EUROPY. KAROL WOJTYŁA NA RZYMSKICH STUDIACH
KAROL KALINOWSKI

FELIETONY

41 WOJNA KAROLA WOJTYŁY
GRZEGORZ GÓRNY

48 CZASZKI
WACŁAW LESZCZYŃSKI

57 1947 – POTOMKÓW PERYKLESA WOJNA Z KOMUNISTAMI
PAWEŁ SKIBIŃSKI

79 LUTY – NIEBEZPIECZNA DLA ALBIONU PORA
RYSZARD CZARNECKI

103 „WOLNE MIASTO"
ANTONI DUDEK

103 ZIMNA KREW
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

104 TYBET ZGWAŁCONY
ELŻBIETA BRZOZOWSKA

104 NIEZNANI ZNANI
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

111 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WEHIKUŁ CZASU

42 MARZEC, KWIECIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

TAJEMNICE AAN

46 WACŁAW MICUTA „WACEK"
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA



INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

49 1940–2020 KATYŃ – „ONI IDĄ PRZEZ NASZĄ PAMIĘĆ"
ZESPÓŁ HISTORYKÓW IPN

DUSZA KONTUSZA

58 ADAM I LUDWIK OLIZAROWIE – LOSY KRESOWYCH ZAWADIAKÓW
HENRYK LITWIN

ZDARZYŁO SIĘ

61 „GRANATOWI"
MARIUSZ OLCZAK

64 POLSKA WOBEC ZAGŁADY
JAN ŻARYN

67 ŚMIERĆ NA ZESŁANIU
JOANNA PAKUZA



eprasa.pl 37b1e8a2c0



FOT. SHUTTERSTOCK, KAROL ZGLIŃSKI

90 6 KWIETNIA MIJA 500 LAT OD ŚMIERCI RAFAELA SANTI, KTÓRY MIMO KRÓTKIEGO, ZAMKNIĘTEGO W 37 LATACH, ŻYWOTA WYWARŁ OGROMNY WPŁYW NA CAŁĄ SZTUKĘ EUROPEJSKĄ. WSZYSTKO, CO ZWIĄZANE Z JEGO OSOBĄ, JEST NIEZWYKŁE, JEDYNE W SWOIM RODZAJU – OCENIA JERZY MIZIOŁEK

70 **TO SPOTKANIE ZMYŁO ZE MNIE SMUTEK**
JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

72 **PODSŁUCH W KURII PRZEMYSKIEJ**
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

74 **HISTORIA HOT DOGA**
GEORG NOWAK-KROGH

NARRACJA.USPL

76 **RÓŻNORODNOŚĆ FREIKORPS**
MAREK JAN CHODAKIEWICZ

WSPOMNIENIE

80 **WSPOMNIENIE O S. MORAWSKIM**
HENRYK LITWIN

POLONIA

82 **GIEDROYC I ZBYSZEWSKI O MIŁOSZU, AMERYCE I EMIGRACJI**
KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNIE

85 **ELŻBIETA RAKUSZANKA**
MAREK BARAŃSKI

ZIEMIAŃSTWO

86 **FOTOGRAFICZNE ATELIER W KRESOWYM PAŁACU**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PEŁNA KULTURA

90 **RAFAEL, CZYLI ESENCJA SZTUKI RENESANSU**
JERZY MIZIOŁEK

94 **O RZEŹBIE WE WŁASNYM ŚWIECIE**
PAWEŁ ORZEŁ

96 **SKAMANDRYCI WYKLĘCI I „SŁODKI KOSZMAR EMIGRACJI"**
WOJCIECH OSIŃSKI

100 **W KRĘGU KLIO**
RAFAŁ ŁATKA

102 **RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z...**

105 **WOJNA W KINIE**
KAROL MAZUR

DIABEŁ NIE MÓGŁ

106 **ŻONA POWSTAŃCA**
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

108 **TOWARZYSZ WIRUS**
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

110 **P-47 THUNDERBOLT**
KACPER GROCHOCKI

HISTORIA OKŁADKI

112 **JAK PRZEMÓWIŁY CZASZKI?**
MICHAŁ KORSUN

ZE ZBIORÓW MPW

114 **PAMIĄTKI Z CHLEBA**
MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

NAC PREZENTUJE

115 **MONOPOLEM W SPIRYTUS**
STEFAN ARTYMOWSKI

eprasa.pl 37b1e8a2c0

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Bartłomiej Szyperski, bartlomiej.szyperski@fratria.pl
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor
Rekonstruktorzy: Przemysław Witowski (GRF Bemowo), Wiesław Wszelaki, Sebastian Kaliński, Piotr Klaybor, Marek Antoszkiewicz (SGH Zgrupowanie „Radosław")
Kostiumy i rekwizyty: Retro-Pasje, Reko-Waw, Stowarzyszenie PSZ
Podziękowania dla Grill-baru Forteczna za pomoc w realizacji sesji



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Wicepremier Piotr Gliński i prof. Jan Żaryn

Inauguracja Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

3 lutego w siedzibie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego odbyła się konferencja prasowa, podczas której wicepremier i minister kultury prof. Piotr Gliński poinformował o decyzji resortu w sprawie powołania Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. „Kontynuujemy politykę zapełniania białych plam w polskiej pamięci. Potrzebujemy płaszczyzny debaty uczciwej, debaty opartej o argumenty racjonalne, argumenty naukowe w wielu różnych obszarach, także w obszarze dziedzictwa narodowego, myśli narodowej" – zaakcentował szef MKiDN. Podkreślił, że dzięki Dmowskiemu i Paderewskiemu możliwe było współdziałanie na rzecz sprawy polskiej przedstawicieli różnych nurtów politycznych. Prof. Gliński ogłosił również, że dyrektorem Instytutu zostanie prof. Jan Żaryn, redaktor naczelny „wSieci Historii". Prof. Żaryn w trakcie konferencji zwracał uwagę, że tradycja chrześcijańsko-narodowa „to jest dorobek potwornie zafałszowany w wielu aspektach, który wart jest w związku z tym wnikliwego przełożenia także na współczesność, bo z tego dorobku tych wielkich, wspaniałych postaci polskich może wyrastać przyszła, wspaniała Polska w nowych, młodych pokoleniach". Powstający Instytut będzie się zajmował realizacją polityki pamięci w zakresie historii i dziedzictwa polskiej myśli politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem myśli konserwatywnej, chrześcijańsko-demokratycznej i narodowej. Jego celem będzie również tworzenie podstaw naukowych dla rozwoju wiedzy o historii i dziedzictwie polskiej myśli politycznej oraz jej dalsze upowszechnianie. Swoje zadania Instytut ma realizować m.in. poprzez prowadzenie działalności wydawniczej i badawczej, organizowanie wystaw, konferencji, a także realizację programów edukacyjnych czy stypendialnych. Instytut będzie też współpracował z innymi instytucjami krajowymi i zagranicznymi, w tym polonijnymi, oraz organizacjami pozarządowymi.

Spotkanie poświęcone Zbigniewowi Nawrockiemu

21 stycznia w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki w Warszawie odbyło się spotkanie „W służbie dla prawdy. Wspomnienie o Zbigniewie Nawrockim (1959–2017)", któremu towarzyszyła prezentacja najnowszej publikacji IPN poświęconej tej postaci. W dyskusji udział wzięli: prof. Jan Draus, członek Kolegium IPN, prof. Włodzimierz Suleja z Biura Badań Historycznych IPN, dr Ryszard Oleszkowicz z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i dr Rafał Leśkiewicz z Biura Badań Historycznych IPN, a panel poprowadził dr Jerzy Bednarek (IPN). Zbigniew Nawrocki był historykiem, nauczycielem, dyrektorem rzeszowskiego oddziału IPN oraz Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie, a także Centralnego Ośrodka Szkolenia ABW im. gen. dyw. Stefana Roweckiego „Grota". Był również autorem i współautorem ponad 40 publikacji naukowych. W 2009 r. został odznaczony przez prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

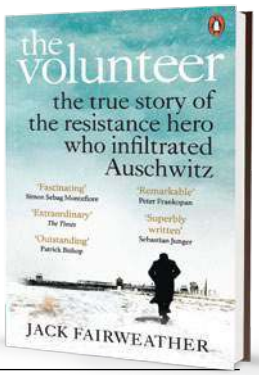

FOT. P. ŻYGIEŃSKI

Rada Muzeum – Dom Rodziny Pileckich powołana

30 stycznia wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński powołał Radę Muzeum – Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej. Przewodniczącym Rady został autor pierwszej biografii rotmistrza prof. Wiesław Jan Wysocki, honorowym przewodniczącym – syn bohatera Andrzej Pilecki, a wiceprzewodniczącą – przedstawicielka lokalnego samorządu Bożena Szostak. W skład rady weszli także m.in.: wnuk rotmistrza Krzysztof Kosior, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Magdalena Gawin, dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL Jacek Pawłowicz, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej dr Karol Nawrocki, dyrektor Instytutu Pileckiego dr Wojciech Kozłowski i dr Tomasz Łabuszewski z IPN. Muzeum zostało utworzone w 2016 r. i jest prowadzone wspólnie przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz miasto Ostrów Mazowiecka.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Prestiżowa brytyjska nagroda dla biografii rotmistrza Pileckiego



W styczniu przyznane zostały nagrody w konkursie Costa Book Awards, jednym z najbardziej prestiżowych plebiscytów literackich w Wielkiej Brytanii. Nagrodę książki roku otrzymała biografia rotmistrza Witolda Pileckiego „The Volunteer: The True Story of the Resistance Hero who Infiltrated Auschwitz" autorstwa brytyjskiego pisarza i dziennikarza Jacka Fairweathera. Wydana w czerwcu 2019 r. publikacja opowiada o losach rotmistrza Pileckiego i jego pobycie w niemieckim nazistowskim obozie zagłady Auschwitz. Książka Fairweathera najpierw otrzymała Costa Book Award w kategorii biografia, co pozwoliło jej zakwalifikować się do finałowej piątki, z której wyłoniono zwycięzcę całego konkursu. Biografia powstała przy współpracy z Instytutem Pileckiego, który m.in. organizował jej trasy autorskie w różnych krajach.

CO BĘDZIE

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"



Społeczne Obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych

Już dziewiąty rok z rzędu zrzeszający ponad sto podmiotów, w tym głównie organizacje pozarządowe, Społeczny Komitet Obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" im. Wojciecha Ziembińskiego organizuje na przełomie lutego i marca, na terenie Warszawy i okolic, wydarzenia przypominające o bohaterach podziemia niepodległościowego lat 1944–1963. W ich ramach zaplanowano kilkadziesiąt uroczystości w lokalnych miejscach upamiętnień, a także wiele marszów, nabożeństw, koncertów, pokazów filmowych, wystaw, konferencji, wykładów, spotkań z weteranami, biegów czy rekonstrukcji. Dokładny program obchodów będzie można znaleźć na profilu Społecznego Komitetu Obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" na Facebooku. Kontakt z Komitetem jest możliwy pod adresem e-mailowym: skondp@gmail.com

Wystawa Andrzeja Krauzego w Zachęcie

W dniach 22 lutego – 17 maja w Zachęcie Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie można oglądać wystawę grafik „Lekcja fruwania" autorstwa Andrzeja Krauzego, wybitnego polskiego rysownika, od prawie 40 lat mieszkającego i tworzącego w Londynie. W Polsce Krauze znany jest przede wszystkim jako twórca satyryczny. W latach 70. jego prace, oddające nastroje ówczesnej epoki, były zamieszczane na łamach „Kultury". Głównym wątkiem konstruującym ideę pokazu jest ilustracja i rysunek tworzone dla gazet w okresie ostatnich 30 lat, w szczególnym dla tego medium czasie – burzliwego rozwoju prasy, ale też powolnego schyłku formy papierowej i zamiany nośnika na format cyfrowy. „Lekcja fruwania" gromadzi wszystkie oryginalne rysunki powstałe podczas 30-letniej współpracy artysty z brytyjską gazetą „The Guardian". Koncentracja na jednym tylko czasopiśmie, wybranym spośród wielu, z którymi współpracował, pozwoli nie tylko przyjrzeć się różnorodności form rysunkowych i przemiany stylu, ale też lepiej prześledzić zmiany formy wizualnej samej gazety jako medium (zmiany rozkładu, pączkowanie dodatków lub wciąganie ich w obręb wydania głównego, zmniejszenie formatu – tabloidyzacja: zmiany proporcji między tekstem a ilustracją, ilustracją a fotografią czy wreszcie wprowadzanie koloru i powolne przechodzenie w stronę informacji internetowej). Wszystko to miało także wpływ na sam rysunek – jego styl, miejsce i charakter. Jednocześnie jest widzialną oznaką ogólnoświatowych przemian – tych politycznych czy ekonomicznych – kolejnych „boomów" i kryzysów finansowych, lecz również zmian w dystrybucji, doborze i odbiorze samej informacji. Instalacja-archiwum przedstawiająca zespół rysunków guardianowskich zestawiona jest z seriami prac bardziej osobistych, tworzonych w pracowni, dla siebie. W Zachęcie można zobaczyć po raz pierwszy prezentowany w całości autobiograficzny cykl „Mr Pen. His life and work/Pan Pióro. Jego życie i twórczość" czy „Unfinished Biography of Mr Pen/Niedokończona biografia Pana Pióro". A także – będące swoistymi arcydziełami rysunku – wycinanki, w których narzędzie pracy artysty – pióro ze stalówką zastępuje... skalpel. Tytuł ekspozycji odwołuje się do pracy dyplomowej Andrzeja Krauzego z 1974 r., ale jest też metaforycznym podsumowaniem całej twórczości i biografii twórcy. Wystawie towarzyszy bogato ilustrowana publikacja wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.





eprasa.pl 37b1e8a2c0



Konferencja o prof. Janie Zdzisławie Włodku

Fundacja im. Zofii i Jana Włodków oraz IPN Oddział w Krakowie we współpracy z Uniwersytetem Rolniczym w Krakowie zapraszają na konferencję „Prof. Jan Zdzisław Włodek (1885–1940) w 80. rocznicę śmierci", która odbędzie się w 19 lutego w Collegium Godlewskiego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie przy al. Mickiewicza 21, sala A, II p., a rozpocznie się o godz. 9:30. Sesja będzie poświęcona ziemianinowi, dyplomacie, działaczowi społecznemu i wybitnemu uczonemu rolnikowi. Zanurzony w rodzinnej tradycji, a równocześnie pragmatyczny i nowoczesny, Jan Z. Włodek na każdym etapie swojego życia wybierał służbę publiczną. Walczył o odzyskanie niepodległości jako komendant oddziału automobilowego Legionów Polskich. Utrwalał na kliszy fotograficznej walki o niepodległą, stając się jednym z pierwszych polskich reporterów wojennych. W służbie dyplomatycznej odrodzonej Rzeczypospolitej kierował placówką w Hadze. Jednak to nie polityka ani dyplomacja były jego głównymi aktywnościami, lecz działalność naukowa i społeczna. Był profesorem i dziekanem Wydziału Rolniczego UJ oraz kierownikiem stacji doświadczalnej UJ w Mydlnikach, chemikiem rolnym i gleboznawcą. Uważał podniesienie poziomu polskiego rolnictwa za warunek konieczny do stabilizacji ekonomicznej kraju. Był badaczem Tatr, pionierem ekologii, kładącym nacisk na odpowiedzialne korzystanie z zasobów przyrodniczych. Starał się przekazywać wiedzę nie tylko studentom, prowadził również konsultacje i szkolenia m.in. w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. Jego osiągnięcia naukowe miały wymiar ponadregionalny. Uczony padł ofiarą bezwzględnej polityki eliminacji elit polskich. Wraz z innymi krakowskimi akademikami został 6 listopada 1939 r. aresztowany przez niemieckich okupantów i wywieziony do obozu w Sachsenhausen. Zmarł na skutek wyczerpania po zwolnieniu 19 lutego 1940 r. Postać Jana Z. Włodka zostanie przedstawiona w kontekście jego działalności publicznej i dyplomatycznej, osiągnięć naukowych oraz relacji rodzinnych. Do wygłoszenia wystąpień zostali zaproszeni prelegenci z różnych ośrodków, m.in. Uniwersytetu Rolniczego, IPN, Instytutu Studiów Politycznych PAN, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

IV edycja konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki

Fundacja im. Janusza Kurtyki serdecznie zaprasza do udziału w IV edycji Konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki. Tematyka edycji przypadającej na 2020 r. brzmi: „Wobec systemu sowieckiego i ideologii komunistycznej". Konkurs polega na wyłonieniu pracy naukowej z zakresu nauk humanistycznych, społecznych lub prawnych, której problematyka koresponduje z tematyką edycji. Poprzednie edycje pokazały, że proponowana przez Fundację problematyka może być traktowana bardzo szeroko, co stanowi ważny atut całego projektu. Formą Nagrody jest przetłumaczenie zwycięskiej pracy na język angielski lub języki angielski i niemiecki, jej wydanie, a następnie promocja na rynkach zagranicznych. Zwieńczeniem Konkursu będzie uroczysta gala. Zgłoszenia wraz z trzema egzemplarzami pretendującej do konkursu publikacji można przesyłać do 30 kwietnia na adres: Dawny Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów, Fundacja im. Janusza Kurtyki, ul. Rakowiecka 37, 02-521 Warszawa. Więcej informacji o regulaminie, niezbędnych załącznikach zgłoszenia i szczegółach przedsięwzięcia można znaleźć na stronie www.fundacjakurtyki.pl.

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

22 lutego (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

20 lutego (czwartek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 37b1e8a2c0

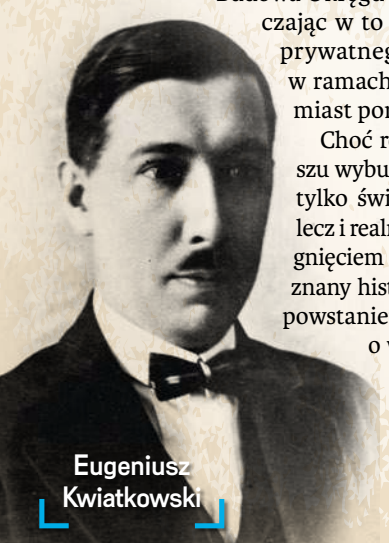
Centralny Okręg Przemysłowy

W pierwszej połowie lat 30. XX w. świat żyjący dotąd w przekonaniu, że po okropnościach wielkiej wojny buduje stabilną gospodarczą przyszłość i dobrobyt, pogrążył się w wielkim kryzysie gospodarczym. Jego wymiar – podobnie jak ówczesnej gospodarki, budowanej na światowej wymianie, powszechnych powiązaniach biznesowych, finansowych i handlowych – miał charakter globalny. Państwa i społeczeństwa międzywojnia, dźwigające się w połowie lat 30. z ekonomicznych zgliszczy, jakie pozostawiła tzw. wielka depresja, realizowały różne recepty uzdrowienia stosunków gospodarczych. W Stanach Zjednoczonych święcił triumfy „New Deal" prezydenta Roosevelta, w hitlerowskich Niemczech i faszystowskich Włoszech reżimy postawiły na rozwój przemysłu zbrojeniowego, gdzie indziej uciekano się do etatyzmu i interwencjonizmu państwowego.

W Polsce autorem i realizatorem koncepcji gospodarczej odbudowy stał się w połowie lat 30. ówczesny wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski. Oparł się przy tym na zasadzie planowania rozwoju ekonomicznego oraz interwencji państwa w życie gospodarcze. Kołem zamachowym ambitnego, pełnego rozmachu planu odnowy i modernizacji Rzeczypospolitej miała być budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). Tę wielką inwestycję realizowano w latach 1936–1939 na obszarach dorzecza Wisły i Sanu, wspierając ją na południu o Karpaty. Miała ona rozładować wielkie lokalne bezrobocie, funkcjonować z wykorzystaniem taniej energii wodnej, a wykorzystywać miejscowe bogate złoża surowców mineralnych. Filarami COP miały być (i stały się) przedsiębiorstwa przemysłu zbrojeniowego, metalurgicznego i chemicznego, a jego centrami miasta Radom, Kielce, Tarnobrzeg, Dębica, Rzeszów, Stalowa Wola, Lublin, Sanok i Przemyśl.

Budowa Okręgu kosztowała około miliarda zł (wliczając w to inwestycje państwowe i kapitału prywatnego). W zakładach produkujących w ramach COP zatrudnienie znalazło natomiast ponad 100 tys. ludzi.

Choć realizację projektu przerwał na finiszu wybuch II wojny światowej, stał się on nie tylko świadectwem gospodarczych ambicji, lecz i realnym wielkim modernizacyjnym osiągnięciem polskiego międzywojnia. Jak napisał znany historyk Jan Konefał, COP „miał swoim powstaniem zamanifestować przed światem o woli nas, Polaków, do godnego życia wśród wolnych narodów Europy. Jego realizacja miała też pomóc w urzeczywistnieniu marzeń o kraju gospodarczo silnym, bezpiecznym, śmiało w przyszłość patrzącym". ■



Eugeniusz Kwiatkowski



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Tajne Państwo

Powodem do dumy i dowodem determinacji Polaków w dążeniu do odzyskania niepodległości były nie tylko działalność polskich władz emigracyjnych i wkład Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w zmagania z hitlerowskimi Niemcami, lecz także fenomen Polskiego Państwa Podziemnego. Było ono ewenementem na skalę światową i instytucją bez precedensu na obszarach okupowanych przez III Rzeszę w latach II wojny światowej. W wielu podbitych przez Niemców krajach utworzono ruch oporu, jednak tylko w Polsce przybrał on postać i skalę Tajnego Państwa, organizującego i angażującego setki tysięcy obywateli przedwojennej Rzeczypospolitej. Pomimo brutalnego niemieckiego terroru, krwawych represji, masowych egzekucji i aresztowań, bestialskich tortur, wreszcie groźby wywiezienia do niemieckich fabryk śmierci – obozów koncentracyjnych, Polacy samoorganizowali się, tworząc pod okupacją hitlerowską podziemne struktury państwowe i wojskowe, angażując się w działania wywiadowcze na rzecz antyhitlerowskiej koalicji, sabotaż i dywersję w przedsiębiorstwach, pracujących na rzecz okupanta, zbrojną walkę oraz ratowanie Żydów ukrywających się przed Niemcami.

Na obszarach okupowanych powstała w konspiracji Delegatura Rządu na Kraj, stanowiąca łącznik z polską państwowością na emigracji i obejmująca swoją aktywnością różne dziedziny życia polskiego społeczeństwa, oraz namiastka krajowego parlamentu – Rada Jedności Narodowej. Funkcjonowały tajne szkoły – począwszy od szczebla podstawowego, a na akademickim skończywszy – i sądy wydające wyroki na przedstawicieli niemieckiego aparatu terroru, jego współpracowników, zdrajców i osoby, które dla zysku wydawały Żydów Niemcom. Działały wydawnictwa, teatry, organizacje społeczne (m.in. harcerstwo Szare Szeregi) oraz partie polityczne.

Polskie Państwo Podziemne dysponowało również własnymi siłami zbrojnymi, podporządkowanymi krajowej Komendzie Głównej, na której czele stali kolejno ukrywający się pod konspiracyjnymi pseudonimami generałowie: Michał Tokarzewski-Karaszewicz, Stefan Grot-Rowecki, Tadeusz Bór-Komorowski i Leopold Okulicki-Niedźwiadek. Początkowo tę „podziemną armię" stanowiła Służba Zwycięstwu Polski, zastąpiona przez Związek Walki Zbrojnej, a następnie najbardziej znaną Armię Krajową. Liczebność tej ostatniej organizacji – powstałej w wyniku scalenia ze Związkiem Walki Zbrojnej wielu utworzonych wcześniej struktur zbrojnych – sięgnęła kilkuset tysięcy gotowych do akcji żołnierzy operujących w miastach, wsiach i lasach okupowanej Polski. ■

FOT. NAC

eprasa.pl 37b1e8a2c0

REPARACJE WOJENNE 45 LAT TEMU



PIOTR ŁYSAKOWSKI

JEST 1953 r. 5 MARCA ZMARŁ JÓZEF STALIN. „POSTĘPOWY ŚWIAT" POGRĄŻA SIĘ W ROZPACZY. RZĄDZĄCY NIM WPADAJĄ W POWAŻNE „ROZEDRGANIE" – BRAKUJE „DROGOWSKAZU I ŚWIATŁA" PŁYNĄCYCH Z MOSKWY

Skutkiem tego były tarapaty, w jakie wpadł obóz postępu. Jednym z symptomów tych problemów było powstanie berlińskie z 16–17 czerwca 1953 r. Jego krwawe stłumienie i późniejsze represje zmusiły rządzących w NRD i ZSRS do ustępstw, pokazania marchewki. Kija już użyto. Nastąpiły sowieckie awanse, pojawiły się sugestie dotyczące możliwej neutralizacji Niemiec i ich (ewentualnego) zjednoczenia wrzucane zarówno niemieckiej, jak i zachodniej opinii publicznej.

Zjednoczenia Niemiec już czas

Cel tych działań był jasny. Z biegiem czasu (gdyby doszło do sugerowanych zmian) cały obszar wcześniej zneutralizowanych i już zjednoczonych Niemiec miał się znaleźć pod kuratelą ZSRS. Dla rzą-



Antykomunistyczne powstanie w Berlinie Wschodnim, 17 czerwca 1953 r.

dzących PRL mogło to mieć opłakane skutki. Nie dziwi więc niepokój (by nie rzec panika) polskich komunistów: „[...] Potępiamy z całą ostrością prowokacje skierowane przeciwko narodom walczącym o pokój, zwrócone swym ostrzem również przeciwko narodowi polskiemu i granicy pokoju na Odrze i Nysie [...]" – wydawałoby się, że zupełnie od czapy pisał „Express Wieczorny" (27.06.1953). Jednak tym ezopowym językiem pokazywano suwerenowi w Moskwie swoje niezadowolenie i strach. Równocześnie jako pewnego rodzaju odtrutkę na to, co stało się na obszarze NRD, wyolbrzymiano brutalność policji na Zachodzie: „...w Monachium doszło 20 bm. do ... starć między ludnością pracującą a policją" – zasada „łapaj złodzieja" obowiązuje nie od dzisiaj. „Dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta wyległy na ulice, aby demonstrować przeciwko próbom pracodawców pogorszenia warunków pracy... Zostali oni brutalnie napadnięci przez policję... robotnicy monachijscy stawiali zaciekły opór..." („Express Wieczorny", 22.06.1953).

Pojawiają się opinie w historiografii, że powstanie berlińskie wzmocniło pozycję komunistycznej partii SED i równocześnie stało się później pewnego rodzaju inspiracją dla Polaków i Węgrów w 1956 r. To ostatnie można zakwestionować z pełnym przekonaniem. Powiem nawet więcej – jestem pewien, że w przypadku Polski wpływ powstania berlińskiego był bardzo mały, jeśli był w ogóle zauważony przez społeczeństwo. Uważny czytelnik zapyta więc, po co powyższy opis. Odpowiem – otóż po to, by zasygnalizować przyczyny tego, co stało się mniej więcej dwa miesiące później i co ma niestety spory wpływ na nasze dzisiaj.

Niewątpliwie nie bez związku z wydarzeniami z czerwca 1953 r. rząd ZSRS wystąpił na forum międzynarodowym (wobec Zachodu będącego sygnatariuszem porozumień poczdamskich) z inicjatywą dotyczącą Niemiec. Proponowano złagodzenie finansowo-gospodarczych zobowiązań Niemiec powstałych w wyniku wojny. Inaczej mówiąc, sugerowano rezygnację z wypłaty odszkodowań, jakie ciążyły na tychże i były efektem przegranej wojny oraz powojennych postanowień „Rząd radziecki uznaje za rzecz konieczną, aby poczynając od 1 stycznia 1954 r., Niemcy zwolnione zostały całkowicie od spłaty odszkodowań [...]. Sugerowano też (opinia o tym wyżej) zjednoczenie Niemiec: „[...] Niemcy zostają odbudowane jako jednolite państwo. [...] jednolite Niemcy uzyskują możliwość rozwoju jako państwo niezawisłe, demokratyczne i miłujące pokój... Nie nakłada się na Niemcy żadnych ograniczeń w dziedzinie rozwoju i gospodarki pokojowej [...]" („Express Wieczorny", 18.08.1953). Kilka dni później Sowieci od sugestii przeszli do czynów i na podstawie podpisanego z przebywającą w Moskwie delegacją rządu NRD podpisano (szefowie rządów – Malenkow i Grotewohl) protokół, na mocy którego rezygnowano z dochodzenia wszelkich odszkodowań od tego państwa. Powtórzmy, nie ma wątpliwości, że ze strony ZSRS początkowo była to poważna gra obliczona na neutralizację.

Okoliczności rezygnacji

Wbrew swoim obawom rządzący w PRL komuniści musieli (i nie ma tu szczególnego znaczenia, czy czynili to pod presją, czy z oportunizmu, czy z jednego i drugiego powodu razem) robić dobrą minę do złej gry i grzecznie przytakiwać wszystkiemu, co ustalano w Moskwie. Nawet jeśli miało to szkodzić szeroko rozumianemu polskiemu interesowi narodowemu. Rozkazy z Moskwy wykonywano bez gadania „Rząd radziecki po uzgodnieniu tego z rządem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej (odnośnie do jej części reparacji) całkowicie przerywa z dniem 1 stycznia 1954 r. pobieranie od Niemieckiej Republiki Demokratycznej reparacji zarówno w postaci dostaw towarowych, jak i we wszelkiej innej postaci. W ten sposób Niemiecka Republika Demokratyczna zostaje zwolniona z obowiązku spłacenia pozostałej po 1 stycznia 1954 r. sumy reparacji wynoszącej zgodnie z oświadczeniem rządu radzieckiego z 15 maja 1950 r. w sprawie zmniejszenia dostaw reparacyjnych dla Związku Radzieckiego 2.537 milionów dolarów według cen z 1938 r. [...]" (z protokołu w sprawie zaprzestania pobierania reperacji, podpisanego między ZSRR a NRD, „Express Wieczorny" za Agencją TASS, 24.08.1953).

Jak echo odezwał się też wywołany do tablicy rząd PRL, który w specjalnym oświadczeniu informował opinię publiczną o tym, że Niemcy w zasadzie już zadośćuczyniły wszystkim ciążącym na nich zobowiązaniom. W związku z tym Polska Ludowa zdecydowała się wnieść aport w pokojowe rozwiązywanie konfliktów i udzielić pomocy niemieckim demokratom, co oczywiście ściśle wiązało się z „polskim interesem narodowym" (!!!) i co też w końcowym efekcie musiało skutkować powzięciem decyzji o „zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski." (z oświadczenia rządu PRL, za „Trybuną Ludu", 24.08.1953). Decyzje te miały wzmacniać bezpieczeństwo Polski, a naród polski „gorąco je witał i wspierał", gdyż przyczyniał się do wzmocnienia NRD będącej „ostoją i opoką demokratycznych i pokojowych sił narodu niemieckiego, która jest jego siłą przewodnią w walce o nowe Niemcy, w walce o nową epokę w historii narodu niemieckiego" („Trybuna Ludu", 25.08.1953).

Siły postępu nadchodzą

Ów entuzjazm był potwierdzany licznymi listami nadsyłanymi do redakcji gazet. Nie wszystkie jednak listy były po linii i na bazie (ciekawe, ile w tym było ustawki, a jeśli jej nie było, czy autor niżej cytowanej korespondencji nie wylądował wkrótce po jej przeprowadzeniu w więzieniu). I tak „Obywatel Zygmunt Zaleski, który kocha swój kraj", rozumiejąc rolę i znaczenie naszych kontaktów z NRD, prosił o wyjaśnienie, z jakiego powodu „krok ten oświadczenie Rządu PRL nazywa wniesieniem przez Polskę wkładu w dzieło pokojowego uregulowania problemu niemieckiego". Pytający otrzymał na tak postawione pytanie precyzyjną odpowiedź anonimowego redaktora: „[...] Niemcy są rozbite. Stan ten trwa już od 8 lat. Jest on wynikiem polityki mocarstw imperialistycznych... Amerykańsko-adenauerowska propaganda jawnie i bez osłonek mówi o nowym »Drang nach Osten«, mówi o konieczności zbrojnego rewidowania granic, a w pierwszym rzędzie granicy na Odrze i Nysie. Czy realizacja tych planów byłaby do pomyślenia, gdyby istniało zjednoczone, pokojowe, demokratyczne, suwerenne i nieuczestniczące w żadnych agresywnych blokach państwo niemieckie? [...] Pomoc ta ułatwi zwycięstwo sił pokoju i demokracji w całych Niemczech, [...] sił, które bez zastrzeżeń uznały granicę na Odrze i Nysie jako granicę pokoju. Udzielając pomocy Niemieckiej Republice »

FOT. AKG-IMAGES / GERT SCH

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» Demokratycznej, wzmacniamy tym samym bezpieczeństwo naszej Ojczyzny" („Express Wieczorny", 26.08.1953).

Temat bieżący

Pytania, jakie się w tym miejscu pojawiają, powinny brzmieć: czy podjęte przez rząd PRL decyzje mają dziś obowiązującą moc prawną oraz czy istnieją dokumenty potwierdzające tę decyzję (bo tu opinie są podzielone)? Jak w końcu wyglądała procedura dochodzenia do „tak" w rozmowach z sowieckim suwerenem dotyczących „dobrowolnego zrzeczenia się" reparacji? Pytania te są istotne choćby z takiego punktu widzenia jak ten, który zaprezentował jeden z twitterowiczów występujący jako „Facecjonista": „Dopóki Państwo Niemieckie nie wynagrodzi krzywd i zniszczeń, których doświadczył Naród Polski z waszej strony w latach 1939–1945, niemieccy dziennikarze są ostatnimi, którzy mają moralne prawo pouczać kogokolwiek" (29.05.2019). Reparacje ważne są też ze względu na dzisiejsze stosunki polsko-niemieckie, które niemiecki politolog Roland Freudenstein określa jako „złe", odpowiadając na pytanie Deutsche Welle: „[...] Są absolutnie napięte. W Berlinie panuje bezradność, wrażenie »my zrobiliśmy wszystko, a oni nadal nie chcą podać nam ręki«. Ja wiem, że są takie sprawy jak Nord Stream 2, który sam uważam za błąd i wynik krótkowzrocznej polityki niemieckiej. A to daje nacjonalistom w Polsce doskonałą okazję, żeby dalej polaryzować stosunki z Niemcami i mobilizować istniejące w Polsce lęki przeciwko Niemcom. Efektem jest niestety niewyobrażalne pogorszenie stosunków polsko-niemieckich" (Deutsche Welle – Niemiecki politolog: „Kaczyński w Brukseli nie istnieje", 23.06.2019). Warto tu zwrócić uwagę na to, że Freudenstein, wspominając o kwestii NS2, nie zająknął się jednak o reparacjach właśnie, przerzucając kwestię odpowiedzialności za pogorszenie się stosunków na stronę polską i nie odnosząc się bezpośrednio do „bolesnej przeszłości". O tejże wypowiedział się mądrze przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (portal wPolityce.pl, 23.06.19): „[...] Jestem Niemcem, znam historię. Biorąc to pod uwagę, uważam, że powinniśmy się skupić na utrzymaniu stabilności niemieckiej demokracji [...]", także nie zwracając uwagi na interesujące nas kwestie. Zupełnie na marginesie trzeba stwierdzić, że przy okazji jednak zauważył to, czego nie chcą dzisiaj widzieć niemieccy politycy: „Z kolei my, Niemcy, nie zapominamy, że zjednoczenie Niemiec zaczęło się w Polsce, w Gdańsku, od Solidarności".


FOT. PAP/CAF

Premier PRL Józef Cyrankiewicz (z prawej) i premier NRD Otto Grotewohl po podpisaniu układu o uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, Zgorzelec, lipiec 1953 r.

Zwracam uwagę na wypowiedzi Freudensteina i Schäublego z tej banalnej przyczyny, że ze strony niemieckiej nie ma (w zasadzie) szerszego oficjalnego odniesienia się do kwestii reparacji (z wyjątkiem stwierdzeń rządu RFN, że nie ma podstaw do jakichkolwiek roszczeń i ich wypłat). Działają natomiast w obu krajowych parlamentach grupy zajmujące się tymi sprawami: „Zgodnie z opinią Biura Analiz Sejmowych [...] zasadne jest twierdzenie, że Rzeczypospolitej Polskiej przysługują wobec Republiki Federalnej Niemiec roszczenia odszkodowawcze, a twierdzenie, że roszczenia te wygasły lub uległy przedawnieniu, jest nieuzasadnione. Z opinii zespołu naukowców Bundestagu zaś wynika, że polskie roszczenia są bezzasadne" (poseł PiS Arkadiusz Mularczyk o reparacjach dla Polski, portal Interia.pl, 13.05.2019).

Niemieckie lęki

To, czego po niemieckiej stronie nie artykułuje się oficjalnie, jest wypowiadane mocno przez dziennikarzy. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na tekst Svena Felixa Kellerhoffa „Reparationszahlungen heilen nicht – sie schaffen neue Probleme" zamieszczony w „Die Welt" 20.05.2019. Kellerhoff zwraca uwagę na to, że efekty wyegzekwowanych reparacji mogłyby być niszczące dla Europy. Straszy też wzrostem nacjonalizmu: „Równocześnie doszłoby do wzrostu resentymentów, a skutkiem byłby ogromy wzrost nacjonalizmu". Przy okazji wraca do stanowiska rządu RFN z okresu rokowań 2+4 (1990), kiedy zdaniem oficjalnych kół niemieckich zamknięto ostatecznie kwestie odszkodowań. Dodaje przy tym, że „z jednej strony chodzi w nich o naprawę konkretnych szkód materialnych, z drugiej zaś o upokorzenie pokonanego przeciwnika. [...] Krajom, które w przeszłości otrzymały reparacje, rzadko wyszły one na zdrowie. [...] reparacje są błędną drogą, tym bardziej że od wojny dzielą nas już dwa pokolenia [...]". Argumentacja niekoniecznie logiczna i zupełnie ahistoryczna. Inna sprawa, że opinię tę podziela większość Niemców, którzy zapoznali się z tekstem. Koronnym argumentem tej grupy na rzecz odrzucenia polskich (i nie tylko) roszczeń jest to, że te miały się przedawnić, a także to, że dzisiejszy „polski zachód" stał się wystarczającą zapłatą za niemieckie zbrodnie popełnione w latach 1939–1945. W końcu zaś wspomina się o korzyściach, jakie ponosi Polska z racji obecności w Unii Europejskiej, jakby jedno miało z drugim cokolwiek wspólnego.

Nieco inną opinię wyraził we wcześniejszym tekście zamieszczonym w dzienniku „Tagesspiegel" (06.05.2019) Christoph von Marschall. To jednak głos odosobniony. I kończąc już, kwestia reparacji wywołała także niemiecką reakcję odnoszącą się do polsko-żydowskiego sporu (JUST Act 447) – co ciekawe, piszący o tym nie wspominają (generalnie), że „Act" dotyczy mienia bezspadkowego. Jest też pewien pozytyw – Florian Mausbach wystąpił jakiś czas temu z inicjatywą budowy w Berlinie pomnika Polaków ofiar III Rzeszy, do której polski rząd powinien się (moim zdaniem) przyłączyć, a przynajmniej ją wesprzeć.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



PROBLEM WSZYSTKICH REPARACJI, A TAKŻE ZBRODNI ZWIĄZANYCH Z II WOJNĄ ŚWIATOWĄ, MA SWOJĄ GENEZĘ W SOWIECKIEJ DOKTRYNIE WOJENNEJ, KTÓRĄ SFORMUŁOWAŁ JÓZEF STALIN

SIÓDME: NIE KRADNIJ



KRZYSZTOF JASIEWICZ

Trzeba to jasno powiedzieć, że wojnę wywołali Sowieci, Hitler był tylko ich narzędziem, chętnym i twórczym. 10 stycznia 1925 r., prawie rok przed XIV zjazdem RKP (b), na którym zmieniono nazwę partii bolszewickiej z RKP (b) na WKP (b), obradowało plenum. Na tym właśnie forum Stalin zaprezentował ową doktrynę strategiczną. Jego zdaniem ZSRS powinien wykorzystać ewentualność każdej nadarzającej się wojny, włączając się do niej w ostatniej fazie i przechylając w ten sposób szalę korzyści na swoją stronę. Z powodzeniem można uznać właśnie Stalina i Sowietów za głównych podżegaczy wojennych, którzy głodni zdobyczy terytorialnych i pełni skrywanych żądz odbudowy dawnego imperium carów wywołali wojnę. I nikt im w tym nie przeszkodził. Śmierć „Gospodarza" w daczy w Kuncewie w kałuży moczu, w symbolicznej dacie 5 marca 1953 r., dokładnie w 13. rocznicę decyzji katyńskiej Politbiura, być może uchroniła świat przed III wojną światową, którą przygotowywano, a skończyłaby się ona zapewne zagładą całej ludzkości.

FOT. SHUTTERSTOCK

Decyzja Stalina

Naturalną konsekwencją doktryny Stalina stał się podpisany 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie pakt Ribbentrop–Mołotow. Jego rozległe konsekwencje i zbrodnie do dziś nie zostały wyjaśnione ani ukarane. Skutki tego odczuwamy współcześnie, bo to nam imputuje się rozpętanie II wojny światowej i zwierzęcy antysemityzm jako wizytówkę polskiej dyplomacji, a nawet cechę szczególną Polaków. I to nas stawia się w roli oprawcy, zamiast – zgodnie z faktami – w roli ofiary, którą z pewnością byliśmy.

Decyzję o rozpętaniu II wojny światowej podjęto w Moskwie kilka dni wcześniej. »

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» Prof. Jurij Afanasjew dotarł do oryginału protokołu Politbiura z 19 sierpnia 1939 r. Przebieg posiedzenia opisał następująco: „Informując Biuro Polityczne o decyzji podpisania układu z Berlinem, Stalin tłumaczył, że ważą się losy Europy. Zapewnił zebranych, że jeśli Moskwa zawrze porozumienie z Francją i Wielką Brytanią, Niemcy zrezygnują z Polski i zaczną szukać modus vivendi z zachodnimi mocarstwami. Pokój więc będzie uratowany, ale późniejszy rozwój wypadków może okazać się niekorzystny dla ZSRS. Natomiast jeśli Związek Radziecki, przyjmując propozycję Niemiec, podpisze pakt z Berlinem, Hitler napadnie na Polskę, a Francja i Wielka Brytania na pewno nie pozostaną bierne. A ZSRS będzie stać z boku, czekając na moment, kiedy »będziemy się mogli włączyć do wojny w korzystnej dla nas sytuacji«."

Wydaje się, że nadszedł już ostatni moment, kiedy świat powinien zamknąć definitywnie i kompleksowo rozdział poświęcony II wojnie światowej. Trzeba wznowić i dokończyć proces norymberski. Nie ma żadnego znaczenia, że sowiecka ława oskarżonych będzie pusta, bo poszła do gleby już wiele lat temu. Trzeba ich uczciwie osądzić. Sowieci popełnili dokładnie te same zbrodnie, co Niemcy, i tym największym oraz najstraszniejszym paradoksem historii jest to, że głównym oskarżycielem sowieckim w Norymberdze był gen. Roman Andriejewicz Rudenko, ten sam, który z ramienia centralnych władz partii nadzorował zabijanie więźniów w okresie Wielkiej Czystki.

Druga Norymberga

Koronnym argumentem – i to powinno paść z ust władz polskich – powinno być stwierdzenie, że wojna mogła wybuchnąć tylko dzięki paktowi Ribbentrop–Mołotow wyrastającemu z doktryny Stalina. A Holocaust mógł się dokonać tylko podczas tej właśnie okrutnej wojny i równie okrutnej okupacji niemieckiej na podbitych terytoriach. Większość zamordowanych Żydów wywodziła się z Polski, nawet na naszych ziemiach połapano niemieckich Żydów, którzy do nas uciekli z III Rzeszy po dojściu Hitlera do władzy i uchwaleniu ustaw norymberskich, Kryształowej Nocy itd., itp. Tak więc w prostej linii współodpowiedzialnymi za Shoah są także Sowieci. Skala antysemityzmu zarówno w carskiej Rosji, jak i Związku Sowieckim plasuje imperium wraz z Niemcami na pierwszym miejscu. A jak pan Putin nie pamięta, to warto mu przypomnieć jeszcze sprawę „lekarzy kremlowskich", strefy osiedlenia i parę innych rzeczy. Postsowieckie podejście do kwestii antysemityzmu, poza garstką klasy politycznej Izraela, nie spotka się z aprobatą żydowskiej diaspory, zwłaszcza Żydów amerykańskich. Wznowienie prac trybunału norymberskiego powinno się podobać Stanom Zjednoczonym czy Chinom i paru innym wpływowym państwom, które są zainteresowane w osłabieniu pozycji postsowietów na arenie międzynarodowej. Nawet Niemcom to się może przydać, dla poprawy własnego wizerunku. Demoniczny obraz Niemców nieco blednie właśnie w zestawieniu z bolszewikami.

Jeśli pierwszy niemiecki obóz koncentracyjny w Dachau został założony w 1933 r. i do 1945 r. przezeń (licząc z podobozami) przeszło ponad 160 tys. więźniów, zginęło 66 tys. osób, to pierwsze łagry powstały zaraz po rewolucji bolszewickiej, a więc mniej więcej 15 lat wcześniej od obozów niemieckich, a do 1945 r. przeszło przez nie wiele milionów osób, w tym wiele zakończyło pobyt zejściem śmiertelnym. Główny organ represyjny, osławiona CzeKa, powstała 7 grudnia 1917 r., a pierwsze deportacje zaczęły się już w 1918 r.

Jako argumentów należy także użyć – to dodatkowo dla poparcia naszej idei przez Niemcy – iż wojska sowieckie w końcu wojny dopuściły się masowych mordów na ludności cywilnej, dokonano też masowych samosądów oraz zgwałcono – zazwyczaj w masowych gwałtach – ponad dwa miliony Niemek, co dla wielu skończyło się śmiercią. I zgwałcono kilkaset tysięcy kobiet innych narodowości, w tym nawet więźniarki wyzwalanych obozów.

Dekomunizacja umysłów

Proces norymberski II jednak może coś nakazać współczesnej Rosji, która kontynuuje tradycje stalinowskie. Skoro dla Niemców zaordynowano denazyfikację, tak Federację Rosyjską powinno się leczyć dekomunizacją. Zaczynając od rozbiórki mauzoleum Lenina z jego ciałem (?) czy z czymś ciałopodobnym. Należałoby też pozbyć się grobów wszystkich przywódców sowieckich, którzy zalegają zaraz za mauzoleum, i wydłubać z muru kremlowskiego urny z prochami „wybitnych" Sowietów czy ludzi dla nich pracujących, jak najsłynniejszy agent Brytyjczyk Kim Philby. Do usunięcia byłoby też wiele pomników, należałoby pozmieniać nazwy wielu ulic itd., a przede wszystkim zdelegalizować istniejącą partię komunistyczną oraz usunąć z obiegu wiele pozycji książkowych gloryfikujących Stalina i jego epokę. Bracia Gruzini powinni też zamknąć muzeum poświęcone Stalinowi, ich rodakowi, w Gori, bo może to i atrakcja turystyczna, ale jeszcze większy wstyd, zwłaszcza gdy aspiruje się do Europy.

Osądzenie zbrodniarzy sowieckich powinno wykroczyć poza ramy chronologiczne II wojny światowej i objąć okres do 1991 r., tj. do rozpadu Związku Sowieckiego. Po wojnie zwasalizowano Europę Środkowo-Wschodnią. Przeprowadzano masowe aresztowania, dopuszczano się masowych mordów, choćby w lecie 1945 r., już w trakcie pokojowej konferencji poczdamskiej przeprowadzono obławę augustowską, gdzie liczbę ofiar można oceniać nawet na blisko 2 tys.

Plan maksimum

Odszkodowania (reparacje) od Rosji należy widzieć w dwóch płaszczyznach, a w przypadku Polski i kilku innych krajów trzeba jeszcze dostrzec trzecią. Zacznijmy od niej, bo jest najważniejsza. W wyniku agresji niemieckiej i sowieckiej z 17 września 1939 r. doszło do IV rozbioru Polski. W ręce Sowietów dostało się ok. 52 proc. powierzchni II Rzeczypospolitej (ok. 201 tys. km kw.) i ok. 25 proc. jej ludności (ponad 13 mln), z czego na Polaków przypadło 5597,6 tys. (43 proc.), 1079,1 tys. Żydów (8,3 proc.), 3151 tys. Ukraińców (24,2 proc.), Rusinów 1150,1 tys. (8,8 proc.) i 989,7 tys. Białorusinów (7,6 proc.). Niniejsza statystyka nie obejmuje tzw. tutejszych (ok. 800 tys.) i najmniej licznych mniejszości (głównie Rosjan, Litwinów, Niemców, Czechów, Ormian, Tatarów, Karaimów itd.). Te ziemie, zgodnie z prawem międzynarodowym, stanowiły część Państwa Polskiego. Przeprowadzone na nich 22 października 1939 r. „wybory" do Zgromadzeń Ludowych (Narodowych) Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy były nielegalne z mocy prawa. Zabrania się bowiem jakichkolwiek wyborów na terytoriach okupowanych, pomijając to, że były one sfałszowane. Zachowało się mnóstwo świadectw tego haniebnego procederu, zmuszano nawet rodziny zmarłych do oddawania za nich głosów, głosowanie zasadniczo było jawne, a na „kartach wyborczych" najczęściej figurował jeden kandydat. Wybrane w ten sposób Zgromadzenia na

eprasa.pl 37b1e8a2c0

przełomie października i listopada 1939 r. przegłosowały m.in. konfiskatę „ziem obszarniczych" oraz nacjonalizację banków i wielkiego przemysłu, z tym że w praktyce przejęto wszystko, co się dało, oczywiście bez odszkodowań, na zakończenie swej misji Zgromadzenia zgłosiły akces przynależności odpowiednio do BSRS i USRS, czyli do Związku Sowieckiego, a ich prośbę o inkorporację zatwierdziła Rada Najwyższa ZSRS. Miało to dalekosiężne skutki, gdyż Sowieci konsekwentnie aż do Poczdamu włącznie powoływali się na owe wybory i przyjęte przez Zgromadzenia Ludowe deklaracje, co skończyło się pospolitą kradzieżą tych ziem, z udziałem „braci" Białorusinów, Ukraińców i Litwinów. W przybliżeniu można oszacować wartość zagarniętych ziem. 1 km kw. to 100 ha. 201 tys. km kw. to ponad 20 mln ha. Przyjmując najniższą z możliwych cen ziemi za 1 ha, to na Polesiu wynosiła ona 364 zł w 1933 r. (brak danych z lat późniejszych). Dodajmy, że w woj. śląskim hektar kosztował 1398 zł, w krakowskim 1428 zł, we lwowskim 1089 zł, w stanisławowskim 903 zł, a w tarnopolskim 843 zł. Ale przecież obok terenów rolniczych były lasy (wyższe ceny), tereny pod zabudowę miejską lub infrastrukturę przemysłowo-komunikacyjną (też zdecydowanie wyższe ceny), to przyjmując skromnie 1000 zł za ha zagrabionych terytoriów wschodnich II RP, wychodzi nam ogromna kwota ponad 100 mld zł, a jeśli do tego doliczyć to, co stoi na tej ziemi (budynki i jakieś drobne obiekty przemysłowe, warsztaty rzemieślnicze, obiekty handlowe itd.), wartość tę należy podnieść kilka-kilkanaście razy. Więc może to być i bilion złotych. I jeszcze to zależy, jak przeliczymy tę sumę na dolary i jaką wartość miał dolar w tamtych, a jaką ma w obecnych czasach, to też wychodzi gigantyczna suma: kilkaset miliardów do biliona dolarów.

W przypadku kontrargumentu, że Polska dostała rekompensatę pod postacią Ziem Odzyskanych, trzeba odpowiedzieć, że te ziemie się nam należały za lata niemiłego sąsiedztwa niemieckiego i liczne stamtąd najazdy i rabunki, a także za ostatnią wojnę. Warto też dodać, że Ziemie Odzyskane były solidnie zniszczone wojną, oraz doszczętnie ograbione przez Sowietów, którzy stamtąd wywozili wszystko, co dało się wywieźć.

Polska powinna odzyskać część Kresów Wschodnich z Wilnem, Grodnem i Lwowem. Na tych ziemiach powinni zamieszkać Polacy i może Żydzi, ewentualnie potomkowie innych nacji, o ile udowodnią, że ich przodkowie zamieszkiwali te ziemie – a bardziej chodzi o miasta – przed 1939 r. i nie brali udziału w antypolskich akcjach w momencie agresji sowieckiej. Powinniśmy też, albo zamiennie, dostać odszkodowanie za bezprawne użytkowanie znacjonalizowanego mienia (to zwłaszcza dotyczyłoby polskich Żydów). Rosja wina nam wypłacić odszkodowania za aresztowania, łagry, deportacje i osoby zamordowane w tej samej wielkości, co – mam nadzieję – zrobią to Niemcy. To jest jedyna akceptowalna droga dla Polski, by Żydom z tych pieniędzy przekazać stosowną część, zaznaczając, że nie płacimy za udział w Holocauście, lecz upomnieliśmy się skutecznie o ich mienie.



Zdjęcie z procesu norymberskiego w 1946 r. Na pierwszym planie oskarżyciel z ramienia ZSRS Roman Andriejewicz Rudenko

Niepoprawne fakty

Oczywiście takie pomysły nie spodobają się ani Rosjanom, ani tym bardziej naszym tym i owym „braciom". Dwa drobne fakty. W Moskwie na własne oczy widziałem dokument, z którego wynikało, że z jakiejś małej stacji kolejowej na Kresach Wschodnich w październiku 1939 r. odjechał pociąg specjalny, który przewoził zrabowane polskie kosztowności: złote monstrancje, kielichy liturgiczne i inne przedmioty typu sakralnego, liczne srebrne zastawy, świeczniki itp., obrazy, rzeźby, starodruki, zabytkowe meble.

Fakt drugi. Jakieś 8–10 lat temu w Sopocie zorganizowano wystawę obrazów ze zbiorów ukraińskich. Jakoś nikt nie miał odwagi powiedzieć, że były to przede wszystkim zrabowane dzieła sztuki z polskich pałaców, dworów i kresowych muzeów.

Nie jest to otwieranie puszki Pandory. Ciągle w świecie dokonują się jakieś korekty granic, spójrzmy choćby na Kosowo itp. Świat musi też dać sobie pozytywną odpowiedź na pytanie: czy można żyć bez Rosji? Gdyby w nią – czego wszak jej nie życzę – uderzył jakiś dużo większy meteoryt tunguski, to co stałoby się z resztą świata bez jej zasobów naturalnych? Nic. Jakoś by przeżył. Dziś imperializm i szowinizm wielkoruski są zagrożeniem dla całego świata i tylko idiota może myśleć, że jacyś „demokraci", „przyjaciele Moskale", „demokratyczna opozycja" etc. zmienią linię polityki tego państwa. Nie zmienią. Oni tak mają i tak mieć będą. Trzeba ich zredukować do regionalnego mocarstewka, takiego buforu między Chinami a Europą.

W ostatnim czasie w Rosji wszedł do użytku we wszystkich typach szkół i uczelni podręcznik historii Rosji pod redakcją „uczonego" zaliczanego do „opozycji" – prof. Andrieja Zubowa. Przeczytajmy fragment: „Wiek XX był dla narodów Rosji bezgranicznie tragiczny. W XX wieku Rosja się rozpadła, a odłamków po tym rozpadzie do dziś na powrót nie połączono". Ale pocieszmy Zubowa. Pan Putin w tej sprawie już coś zrobił: Krym, Donbas, trochę Gruzji. I pewnie ma dużo ambitniejsze plany...

FOT. COLLECTIONS.USHMM.ORG

eprasa.pl 37b1e8a2c0

INDIANIE W KANADZIE

HISTORIA PODBOJU KANADYJSKIEJ CZĘŚCI AMERYKI PÓŁNOCNEJ JEST NIEZWYKŁA, Z JEJ WSZYSTKIMI ATRYBUTAMI POZYTYWNYMI I NEGATYWNYMI, ZWŁASZCZA GDY CHODZIŁO O STOSUNKI Z TUBYLCZĄ LUDNOŚCIĄ INDIAŃSKĄ



Handel futrami z Indianami w XVIII w. w Kanadzie, rycina z 1777 r. z książki Williama Fadena

FOT. EAST NEWS



MACIEJ JABŁOŃSKI

Ludność tubylcza w Kanadzie miała dwa wyjścia: pierwsze – dążyć do względnej akomodacji i współistnienia z białymi, drugie – walczyć na śmierć i życie, by starać się obronić tradycyjne prawa i kulturę indiańską. Tradycja ta była i jest dotąd niezwykle zróżnicowana i niemożliwa do omówienia w niniejszym artykule. Celem jego jest li tylko zaznaczenie najważniejszych historycznych dylematów Indian w Kanadzie na początku obecnego XXI w.

Według ostatniego powszechnego spisu ludności z 2016 r. Kanadę zamieszkuje 34 460 065 osób, z czego 1 673 785, czyli 4,86 proc., stanowią ci, którzy posiadają status Indian (Indian Status). Z tej liczby 1 629 805 osób, czyli 97,37 proc., podało się za „pełnych" Indian (przypuszczalnie ze strony obojga rodziców). Wśród nich za pochodzących z tzw. Pierwszych Narodów (First Nations) uważa się 977 325 osób: 587 345 za Metysów, 65 030 za Inuitów (Inuits), 21 310 za Indian kanadyjskich różnego pochodzenia oraz 22 670 za innych Indian. Obowiązujący do dziś, uchwalony w 1876 r., Indian Act określił tę grupę etniczną jako rdzenną ludność Kanady, ustanowił ich relacje z rządem i system rezerwatów. W spisie z 2016 r. nie było kategorii Non-status Indian, czyli Indianin bez statusu. Podana ponadmilionowa liczba obejmuje więc zarówno Indian posiadających status Indianina i żyjących w rezerwatach, jak i tych, którzy żyją już także w ośrodkach miejskich i nie są w świetle prawa federalnego Indianami.

Wzajemne relacje

Historię stosunków pomiędzy Indianami a nowymi przybyszami w kanadyjskiej części Ameryki Północnej aż do najnowszych czasów można podzielić na kilka głównych okresów:

eprasa.pl 37b1e8a2c0

1. Okres zmagań i walk o panowanie nad kontynentem (1600–1815);
2. Okres schyłku świetności plemion indiańskich (właściwie we wszystkich krainach geograficznych);
3. Okres postępującej asymilacji i udziału w wojnach światowych po stronie Kanady (1914 – do czasów współczesnych).

Najważniejszym etapem w pierwszym okresie był trwający niemal 100 lat krwawy konflikt o kontrolę handlu futrami, m.in. w postaci długotrwałej wojny z walecznymi Irokezami, zakończony podpisaniem wieczystego pokoju w 1701 r. Dodatkowo plemiona szczególnie na wschodzie brały udział praktycznie we wszystkich konfliktach między Francją a Wielką Brytanią, i to zwykle po obu stronach. Wojny te były niezmiernie wyczerpujące dla Indian, ale pozwoliły im na zaadaptowanie broni palnej i koni wierzchowych jako środka transportu, a także używanie metalowych grotów do strzał. W początkowej fazie Indianie sprzyjali Francuzom, ale po załamaniu się kolonizacji francuskiej w drugiej połowie XVIII w. przeszli w większości na stronę brytyjską. Znalazło to wyraz w wojnie 1812–1815, czyli starciu już niepodległych Stanów Zjednoczonych z wiernymi koronie brytyjskiej koloniami. Dochodziło również do krwawych lokalnych wojen pomiędzy samymi Indianami, np. konflikt między Huronami i Irokezami. Ogromna decentralizacja plemion stwarzała dodatkowe trudności dla podboju nawet pokojowego, zastosowanego w końcu przez białych, szczególnie Brytyjczyków, którzy byli zmuszeni podpisać ogromną liczbę traktatów z Indianami. Mają one w dalszym ciągu ogromne znaczenie.

Przymus prawny

Przełomową datą był 1830 r., czyli przekazanie przez wojsko jurysdykcji spraw indiańskich gubernatorom cywilnym Dolnej i Górnej Kanady. Górna Kanada (Upper Canada) stanie się z czasem przyszłą prowincją Ontario, a Dolna Kanada (Lower Canada) przyszłą prowincją Quebec. Z tych czasów pochodziła też plejada ważnych kanadyjskich świętych, w tym świętych męczenników, zwykle zamęczonych w okrutny sposób przez tubylców.

Mniej więcej w połowie XIX w. podsekretarzem stanu ds. indiańskich został profesor ekonomii politycznej z Oxfordu, Herman Merivale. W 1841 r. zaproponował on i wprowadził cztery zasady politycznego rozwiązania problemu indiańskiego:

- przez eksterminację (przez śmierć lub całkowitą utratę statusu Indianina, tzw. enfranchisement),
- przez wprowadzenie niewolnictwa,
- izolację Indian w rezerwatach,
- asymilację.

SYSTEM SZKÓŁ Z INTERNATEM MIAŁ WPROWADZAĆ WYMUSZONĄ SEPARACJĘ TYSIĘCY DZIECI INDIAŃSKICH W CELU ODERWANIA ICH OD WŁASNEJ KULTURY I PRZYMUSOWEGO PRZYSTOSOWANIA DO ŻYCIA W INNYCH WARUNKACH

Była to polityka o charakterze segregacyjnym i na poziomie stałego prześladowania. W 1857 r. uchwalono tzw. prawo postępującej cywilizacji – The Gradual Civilization Act. Prawo to wprowadzało automatyczną utratę statusu indiańskiego przez każdego mężczyznę w wieku powyżej 21 lat, który spełniał trzy warunki:

- potrafił mówić i czytać po angielsku lub po francusku,
- posiadał dobry moralny charakter,
- był wolny od jakichkolwiek długów finansowych.

Równocześnie, z formalnym powstaniem Konfederacji Kanadyjskiej, czyli wolnej Kanady (Dominion of Canada) w 1867 r., wprowadzono też prawo asymilacji plemion indiańskich i ich transformację z plemion tzw. dzikich (savage) do cywilizowanych (civilized). Te wszystkie prawne posunięcia spowodowały dalszy głęboki rozdźwięk pomiędzy białymi a Indianami. W 1885 r. rząd Kanady zadeklarował, że wszystkie tradycyjne ceremonie indiańskie są nielegalne. Ze zdziwieniem można zauważyć, że prawo to przetrwało prawie przez 50 lat, aż zostało anulowane w kolejnych poprawkach w federalnym prawie indiańskim (Federal Indian Act).

Edukacja

Najważniejszym narzędziem podboju stała się jednak edukacja, zarówno świecka, jak i religijna skutkująca konwersją Indian na wiarę chrześcijańską. Pierwsze misyjne szkoły dla tubylców powstały w Quebec City już w latach 1620–1629. W latach 1842–1844 komisja sir Charlesa Bagota zaproponowała system szkół internatowych dla dzieci indiańskich w całej ówczesnej Kanadzie. System tych szkół miał wprowadzać wymuszoną separację tysięcy dzieci indiańskich od rodziców w celu oderwania ich od kultury indiańskiej i przymusowego przystosowania do życia w innych warunkach. Pierwsza taka szkoła powstała w 1848 r. w Alderville (Alnwick) w Ontario. W 1892 r. rząd Dominium Kanady zawarł oficjalne umowy z Kościołami głównych denominacji: rzymsko-katolickim, anglikańskim (Church of England), unitariańskim (metodystów) i prezbiteriańskim na temat prowadzenia szkół internatowych dla dzieci indiańskich w całym kraju. Wybór denominacji zależał od największych wpływów, jakie miały te Kościoły na różnych terytoriach ówczesnej Kanady. Postawiono Indian przed wyborem: albo zostaniesz do końca życia Indianinem, z bardzo ograniczonymi prawami i bez prawa w życiu publicznym oraz politycznym kraju, albo będziesz nowym poddanym brytyjskiej korony ze wszystkimi prawami. Szkoły te niewątpliwie, choć nie z założenia, miały charakter szkół rasowych i przetrwały aż do obecnych czasów. Przysposabiano tam dzieci i młodzież do pracy w rolnictwie, obróbki drewna, szewstwa, kowalstwa i blacharstwa, oraz w przypadku dziewcząt do szycia, gotowania, prania, prasowania i innych obowiązków domowych.

System szkół z internatem okazał się jednym z najbardziej zapalnych elementów stosunków kanadyjsko-indiańskich. Przez ich pryzmat ocenia się znaczenie wprowadzania cywilizacji europejskiej i wiary chrześcijańskiej, nie zawsze »

eprasa.pl 37b1e8a2c0





FOT. LIBRARY AND ARCHIVES CANADA

Thomas Moore, po lewej stronie przed wpisaniem do indiańskiej szkoły z internatem, Regina Indian Industrial School, około 1887 r., a po prawej stronie po ukończeniu tej szkoły, około 1897 r.

» uwzględniając ich ewidentne pozytywy. Jeszcze na początku XX w. można było znaleźć w podręczniku historii dla szkół średnich w Ontario następujący passus: „Wszyscy Indianie są bardzo zabobonni, posiadają dziwne wierzenia na temat natury. Wierzą, że ptaki i inne dzikie zwierzęta są jak ludzie. Niedawno jeden Indianin był znany z tego, że wygłosił długą przepraszającą mowę nad zabitym przez siebie niedźwiedziem. Tacy zawsze byli tubylcy, których spotykali nasi pionierzy. Tubylcy, którzy rządzili na całym kontynencie północnej Ameryki, byli dzicy nie do opanowania i nie chcieli przyjąć europejskiego stylu życia"... [„History of Canada", textbook for Ontario Public Schools, 1910, Toronto].

W 1920 r. wprowadzono przymusowe nauczanie w szkołach internatowych dla Indian, którzy nie chcieli zrezygnować ze statusu indiańskiego. W 1931 r. liczba tych placówek doszła do 82. Były to 44 szkoły katolickie, 21 anglikańskich, 13 unitariańskich (prowadzone przez metodystów) i 2 prezbiteriańskie.

Po II wojnie światowej (dokładnie w 1948 r.) zniesiono przymus uczęszczania do szkół internatowych. Ostatnią taką szkołę zamknięto w 1996 r. w rezerwacie Gordon, ok. 100 km na północ od Reginy, stolicy prowincji Saskathewan, na kanadyjskich preriach.

Po II wojnie światowej liczba dzieci indiańskich uczęszczających do szkół z internatami pod zarządem federalnym nie obejmowała wszystkich dzieci pochodzenia indiańskiego, co może świadczyć o tym, że pewna ich część poza rezerwatami uczęszczała jednak do szkół publicznych czy innych bez internatów. W świetle ówczesnego prawa jednak te dzieci nie były już uważane za Indian.

Ku prawdzie i pogodzeniu

Właściwa ocena działalności specjalnego i wydzielonego szkolnictwa dla Indian w Kanadzie nie jest i nie będzie zadaniem łatwym, m.in. z powodu wykorzystywania tego zagadnienia do innych celów, łącznie z dyskredytacją Kościołów chrześcijańskich w Kanadzie.

Działalność szkół internatowych była przedmiotem badań wielu komisji. 10 lat temu została powołana Komisja Prawdy i Pogodzenia (The Truth and Reconcillation Commission), której zadaniem jest przedstawienie raportu o nieprawidłowościach w tym systemie (Indian Residential Schools – IRS). Dzieci indiańskie były przymusowo separowane od zrozpaczonych rodziców i często wywożone tysiące kilometrów od swego miejsca zamieszkania. Nie wolno im było używać strojów indiańskich, zmuszano je do przyjęcia nowej wiary, nowego, obcego im systemu wartości, tak bardzo różnego od ich tradycyjnych wierzeń. Często były także przedmiotem przestępstw seksualnych. Przed wynalezieniem antybiotyków i innych szczepień w szkołach zdarzały się małe epidemie i umieralność dzieci była wysoka (szczególnie w niższych klasach). Rodzice, by zobaczyć swoje dzieci z daleka, często koczowali w rejonie danej szkoły. Autor rozmawiał z członkami plemion w rejonie Ottawy (osiedlonych w dolinie rzeki Gatineau w Quebecku na północ od stolicy Kanady). Ich opinie o przymusowym systemie kształcenia Indian w Kanadzie były bardzo surowe. Z drugiej strony system ten skłaniał Indian do stopniowego porzucania koczowniczego trybu życia, tak dalekiego od doświadczeń i stylu życia europejskiego.

Rekompensaty

W 2006 r., po trudnych negocjacjach, doszło do podpisania układu pomiędzy rządem federalnym Kanady a grupą ok. 86 tys. Metysów i Inuitów, którzy w latach 1879–1996 byli zarejestrowanymi uczniami w kanadyjskich federalnych indiańskich szkołach internatowych (Canadian Indian Residential School System). Podpisano wtedy specjalną umowę, tzw. Indian Residential Schools Settlements Agreement (IRSSA). Umowa ta potwierdziła nadużycia, które miały miejsce w tych szkołach, i ustanowiła pakiet finansowych rekompensat/odszkodowań dla wszystkich poszkodowanych w łącznej wysokości 1,9 mld dolarów kanadyjskich. To rozstrzygnięcie było największe w historii Kanady. Do końca 2016 r. wypłacono z tej sumy ponad 1,622 mld dol. indywidualnych odszkodowań, a do końca 2018 r. dodatkowo wypłacono ponad 3,174 mld dol. na podstawie tzw. niezależnego szacunkowego procesu dotyczącego osób poszkodowanych powyżej norm przyjętych przez IRSSA.

Po zakończeniu pracy Komisja Prawdy i Pogodzenia wydała wielotomowe opracowanie, z którego wynikało, że na społeczności indiańskiej w Kanadzie dokonano kulturowego ludobójstwa (cultural genoicide). Było to najcięższe oskarżenie tej skali w historii nowożytnej Kanady. Postanowiono też założyć Narodowe Centrum Prawdy i Pogodzenia (National Centre for Truth and Reconciliation) na University of Manitoba w Winnipegu, w stolicy prowincji Manitoba. Do tej pory centrum to wydało elektroniczne wersje publikacji dotyczącej złożonej problematyki nieprawidłowości i kulturowego ludobójstwa w federalnych szkołach internatowych w Kanadzie. Ocenia się, że w okresie przymusowego nauczania ok. 4 tys. dzieci zmarło (łącznie z ofiarami małych epidemii) w szkołach z internatami w Kanadzie.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

LOSY SKARBU RUMUŃSKIEGO W ROSJI PO 1916 r.



RUMUNIA PRZYSTĄPIŁA DO WIELKIEJ WOJNY PO STRONIE ENTENTY POD KONIEC SIERPNIA 1916 r. ZAWARTO WÓWCZAS POROZUMIENIE UŚCIŚLAJĄCE OBOWIĄZKI MIĘDZYALIANCKIE, W TYM KONIECZNOŚĆ UDZIELENIA RUMUNII POMOCY



ANDRZEJ DUBICKI

Zgodnie z tą umową przez terytorium Rosji miały do Rumunii przybywać dostawy wojskowe, Petersburg miał także skierować na front rumuński odpowiednie siły, tak aby wesprzeć Rumunów w walce, przede wszystkim z Bułgarami. Sytuacja jednak nie rozwinęła się zgodnie z przewidywaniami Ententy i po początkowych sukcesach w Transylwanii siły rumuńskie znalazły się w głębokiej defensywie. Sytuację pogorszył atak z południa, którego doradcy rosyjscy się nie spodziewali. W takich warunkach upadek Bukaresztu był jedynie kwestią czasu, a dowódcy państw centralnych rywalizowali o zajęcie rumuńskiej stolicy, która ostatecznie została zdobyta przez wojska niemieckie w początkach grudnia 1916 r.

Ewakuacja

W takich warunkach rumuńskie władze zdecydowały się na opuszczenie Bukaresztu i wyjazd do historycznej stolicy Mołdawii – Jassy, w danym momencie niezagrożonej bezpośrednio atakiem nieprzyjaciela. W październiku 1916 r. także zarząd Rumuńskiego Banku Narodowego [Bancă Naţională Româna – BNR] podjął decyzję o opuszczeniu stolicy razem z rządem. Zdecydowano o wywiezieniu z Bukaresztu zasobów złota oraz osobistej własności rodziny królewskiej. Początkowym celem były Jassy, dokąd siedziba BNR została oficjalnie przeniesiona 15 listopada 1916 r., jednak wobec niepewności co do dalszych losów wojny pod koniec 1916 r. zdecydowano się na dalszą ewakuację. Pierwsze kroki poczyniono 2 grudnia 1916 r., gdy rada powiernicza banku zaaprobowała możliwość wywozu skarbu do Rosji. 8 grudnia rząd rumuński zatwierdził ten pomysł, przy decydującym głosie ministra finansów Emila Costinescu wskazującego na precedens Francji, która zdeponowała swój skarb w USA. Warto jednak nadmienić, że Mauriciu Blank, jeden z finansistów rumuńskich, w prywatnych rozmowach sprzeciwiał się wariantowi rosyjskiemu, wskazując na niepewną sytuację w imperium carskim. Sugerował depozyt skarbu w Wielkiej Brytanii lub Norwegii. 11 grudnia zgodę rządu carskiego na przesłanie skarbu i gwarancję jego bezpieczeństwa przekazał Rumunom poseł rosyjski w Jassach gen. Aleksandr Mosołow.

Kierunek Moskwa

Ewakuacja skarbu do Moskwy w grudniu 1916 r. wydawała się rozsądnym posunięciem. Od czasów napoleońskich nikomu nie udało się nawet zbliżyć do stolic rosyjskich, więc pozornie stanowiło to dobre zabezpieczenie. Swoje z pewnością zrobiło także uzyskanie poręczenia dla walorów rumuńskich przez dwór carski. Pierwszy transport rumuński dotarł do Moskwy 21 grudnia 1916 r.; „złoty pociąg" liczył 17 wagonów załadowanych monetami stanowiącymi przede wszystkim zabezpieczenie depozytów prywatnych »



Rumuński dyktator Nicolae Ceauşescu (po prawej) witany przez prezydenta Związku Sowieckiego Leonida Breżniewa na Krymie, ZSRS, 1977 r.

FOT. EAST NEWS/AP PHOTO; EAST NEWS/AKG-IMAGES

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» banków rumuńskich (o wadze 91 ton). Były tam także dwie szkatuły z biżuterią królowej Marii (wartości ok. 7 mln franków). Skarb uzupełniały jeszcze dwie tony złotego złomu, należącego do BNR. Złoto i pozostałe kosztowności znajdowały się w 1738 skrzyniach. Podczas kontrolnego przeliczenia, które nastąpiło 16 lutego 1917 r., określono wartość depozytu rumuńskiego na 314 580 456,84 franków (lei) w złocie. Drugi transport wyruszył już w innych okolicznościach politycznych i wojennych. W lipcu 1917 r. zakończył się okres względnego spokoju na froncie rumuńskim. Siły rumuńsko-rosyjskie przeszły do ofensywy (22 lipca – 1 sierpnia bitwa pod Mărăşti), która po początkowych sukcesach jednak została zatrzymana wobec niepowodzenia ofensywy Kiereńskiego. Oczekiwanie na kontratak państw centralnych przyspieszyło decyzję o ewakuacji pozostałej części skarbu do Moskwy, i to pomimo niestabilnej sytuacji wewnętrznej widocznej po rewolucji lutowej. W związku z niepewną sytuacją na froncie ówczesny minister finansów Nicolae Titulescu zasugerował 18 lipca 1917 r. przeniesienie działalności BNR i innych instytucji finansowych na teren Rosji. W związku z tym w dniach 23–27 lipca 1917 r. przygotowano kolejny transport z kosztownościami i złotem, tym razem należącym przede wszystkim do BNR. Transport przekroczył granicę rumuńsko-rosyjską w Ungheni na rzece Prut 28 lipca 1917 r., składał się z 24 wagonów. Trzy z nich zawierały część skarbu rumuńskiego (188 skrzyń) o wartości 574 523,57 lei w złocie. Dodatkowo znajdowały się tam obligacje państwowe, depozyty złożone w BNR w obliczu wojny i inne dobra o wartości 1 593 762,52 franków. Pozostałe wagony zawierały 1521 skrzyń z depozytami innych banków rumuńskich, w tym przede wszystkim Banku Depozytowego (CEC – odpowiednika polskiej PKO), a także dokumentami z archiwów państwowych, cennymi eksponatami z muzeów i kolekcji prywatnych, inkunabułami i manuskryptami pochodzącymi z kolekcji Akademii Rumuńskiej. W transporcie znajdowały się także cenne paramenta liturgiczne. Pociąg dotarł do Moskwy 3 sierpnia. Łącznie wartość skarbu wysłanego do Rosji ocenia się na 2–3 mld dzisiejszych dolarów.

Początkowo ów drugi transport został umieszczony na Kremlu, potem jego część została przeniesiona do moskiewskiego Banku Depozytowego. Finalnie walory rumuńskie zostały w Moskwie rozproszone w trzech miejscach: na Kremlu, w Banku Depozytowym oraz w Banku Lombardowym. Przy przenosinach często dochodziło do strajków żołnierzy rosyjskich, którzy domagali się podwyżki żołdu z powodu wykonywania dosłownie ciężkiej, niemniej jednak dość bezpiecznej w realiach wojny, pracy. Przy okazji rozładunku okazało się, że nie wszystkie skrzynie zawierały dokumenty lub kosztowności. Nadzorujący operację z ramienia rumuńskiego ministerstwa sztuki Alexandru Lapediatu odnotował, że w uszkodzonych w czasie transportu skrzyniach należących do MSZ znajdowano ubrania, a nawet masło, które po letnim transporcie roztopiło się i zjełczało. W końcu sierpnia odkryto skrzynię z szampanem i mydłem do prania, te z kolei w warunkach wojennych rzeczywiście mogły być potraktowane jako skarby.

Rewolucyjne zawirowania i konfiskata skarbu

Rewolucja bolszewicka radykalnie zmieniła sytuację, już w listopadzie 1917 r. Komitet Wojskowo-Rewolucyjny w Moskwie zakomunikował bowiem konsulowi rumuńskiemu Pierre Guerinowi, że nie gwarantuje dalszego zabezpieczenia skarbu. Konsul w odpowiedzi zasugerował przeniesienie go w bezpieczniejsze miejsce i jednocześnie poprosił o pomoc przedstawicieli pozostałych krajów Ententy. Dodatkowo z misją ochrony skarbu wysłano do Moskwy 20 żandarmów rumuńskich, jednak wobec braku zgody bolszewików nie byli oni w stanie wypełnić zadania. Do interwencji dyplomatycznej doszło dopiero w lutym 1918 r., za sprawą konsulów Wielkiej Brytanii i Francji. Jednocześnie ustnych gwarancji udzielił ówczesnemu posłowi rumuńskiemu w Paryżu Victorowi Antonescu premier francuski Georges Clemenceau. Zapewnienia pozostały jedynie w sferze werbalnej, ani Anglicy, ani Francuzi nie mieli bowiem realnego wpływu na sytuację w Rosji. Ta zaś w momencie podejmowania przez przedstawicieli Ententy interwencji była jeszcze bardziej skomplikowana z uwagi na zerwanie 26 stycznia 1918 r. stosunków dyplomatycznych między Rumunią a rządem bolszewickim. Wówczas Lew Trocki potwierdził konfiskatę skarbu rumuńskiego, który miał być „zwrócony w odpowiednim czasie ludowi rumuńskiemu". Rumuni przekazali misję reprezentacji własnych interesów Francji, później wraz z wyjazdami/relegacją kolejnych dyplomatów z Rosji: Danii i Norwegii, których reprezentanci byli w posiadaniu kluczy do rumuńskiego skarbu. We wrześniu 1918 r. wraz z wyjazdem ostatnich pracowników rumuńskiego MSZ z Rosji bolszewickiej Rumunia utraciła choćby iluzoryczną możliwość kontroli losów skarbu.

Próby odzyskania i połowiczne sukcesy

Po rewolucji bolszewickiej i podpisanym przez Rosję separatystycznym pokoju brzeskim rozpoczęły się starania Rumunów o odzyskanie skarbu. Sytuację dodatkowo komplikował brak stosunków dyplomatycznych między oboma krajami. Było to przede wszystkim pokłosiem konfliktu o Besarabię, niemniej jednak kwestia skarbu niewątpliwie odgrywała tu swoją rolę. Jego rewindykację Rumuni czynili przedmiotem negocjacji międzynarodowych. Pierwszą próbę odzyskania przynajmniej równowartości depozytu podjęto podczas konferencji pokojowej w Paryżu, żądając od Niemiec prawie 330 mln złotych lei (franków). Uzasadniano to sprowokowaniem przez Niemcy konieczności wywozu skarbu do Moskwy. Argument ten nie jest przekonujący, jako że to de facto Rumunia zaatakowała państwa centralne w 1916 r. Drugi argument był słuszniejszy, ale i potencjalnie niosący daleko większe konsekwencje, bezpośrednio czynił bowiem Niemców odpowiedzialnymi za rewolucję w Rosji, ergo za niemożność odzyskania skarbu. Jak wiadomo, traktat wersalski odroczył kwestie reparacji do decyzji specjalnej komisji, która odrzuciła te żądania. Prawa rumuńskie potwierdziła konferencja gospodarcza w Genewie w 1922 r.

Do częściowego zwrotu skarbu rumuńskiego doszło w 1935 r., rok po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z ZSRS. Ważną rolę w odzyskaniu części depozytu odegrał ówczesny rumuński minister spraw zagranicznych Nicolae Titulescu, którego polityka doprowadziła do czasowego zbliżenia stanowisk Bukaresztu i Moskwy. Protokół zwrotu został podpisany 31 maja 1935 r. przez rumuńskiego posła w Moskwie Edmunda Ciuntu i radzieckiego przedstawiciela przy Lidze Narodów – Borysa Steina.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Rumunii zwrócono wówczas przede wszystkim 1443 skrzynie z dokumentami pochodzącymi z archiwów państwowych i część zbiorów Akademii Rumuńskiej, niewiele w odniesieniu do złota i kosztowności. Pierwsza transza zwróconych dóbr przybyła do Bukaresztu 16 czerwca 1935 r. 28 czerwca 1935 r. Rumuni pokwitowali odbiór z adnotacją o braku złota, złotych monet czy biżuterii.

Propagandowe gesty komunistów

Po przejęciu władzy w Rumunii komuniści nie podejmowali starań w tej mierze, niemniej jednak na fali destalinizacji 12 czerwca 1956 r. do Rumunii powróciła druga transza skarbu. Według oficjalnej propagandy „rząd i naród sowiecki uznały te dobra za mające wielką wartość dla narodu rumuńskiego". Zwrócono wówczas przede wszystkim obiekty o wartości artystycznej oraz historycznej, w tym tzw. skarb z Petroasa (odkopane w 1837 r. 22 ozdoby i naczynia z czystego złota, pochodzące z IV w., z czasów kultury Gotów, o łącznej wadze 19 kg). Oficjalne źródła ogłosiły jednak odzyskanie całości skarbu, przedstawiając to jako gest dobrej woli i wyraz przyjaźni władzy oraz narodu sowieckiego dla Rumunów. Faktycznie nie zwrócono złota w sztabach i części monet. Był to raczej gest polityczny mający na celu przekonanie ówczesnego lidera rumuńskiego Gheorghe Gh. Deja, uznawanego za stalinistę, że nawet w czasie chruszczowowskiej odwilży jest on traktowany jako poważny partner polityczny, a Moskwa nie będzie poszukiwać pretekstu do jego odwołania. Nie był to gest decydujący, niemniej jednak został pozytywnie odebrany w Bukareszcie, zwłaszcza że współgrał z innymi działaniami de facto oznaczającymi koniec okupacji sowieckiej Rumunii. Moskwa chciała w ten sposób zakończyć sprawę i we wrześniu 1956 r. zaproponowano podpisanie finalnego protokołu mającego zamknąć wszelkie rozliczenia w tej kwestii. Został on podpisany jedynie przez przedstawiciela Akademii Rumuńskiej Mihaia Raleę.

Nicolae Ceauşescu podczas swej pierwszej oficjalnej wizyty w Moskwie (1965) również próbował podjąć kwestię zwrotu złota, jednak Leonid Breżniew kategorycznie odrzucił taką możliwość. Po stanowczej odmowie Ceauşescu nie wracał już do tematu.





Klejnoty z przełomu IV i V w. ze skarbu Petroasa odzyskane w 1956 r., obecnie w Rumuńskim Muzeum Narodowym

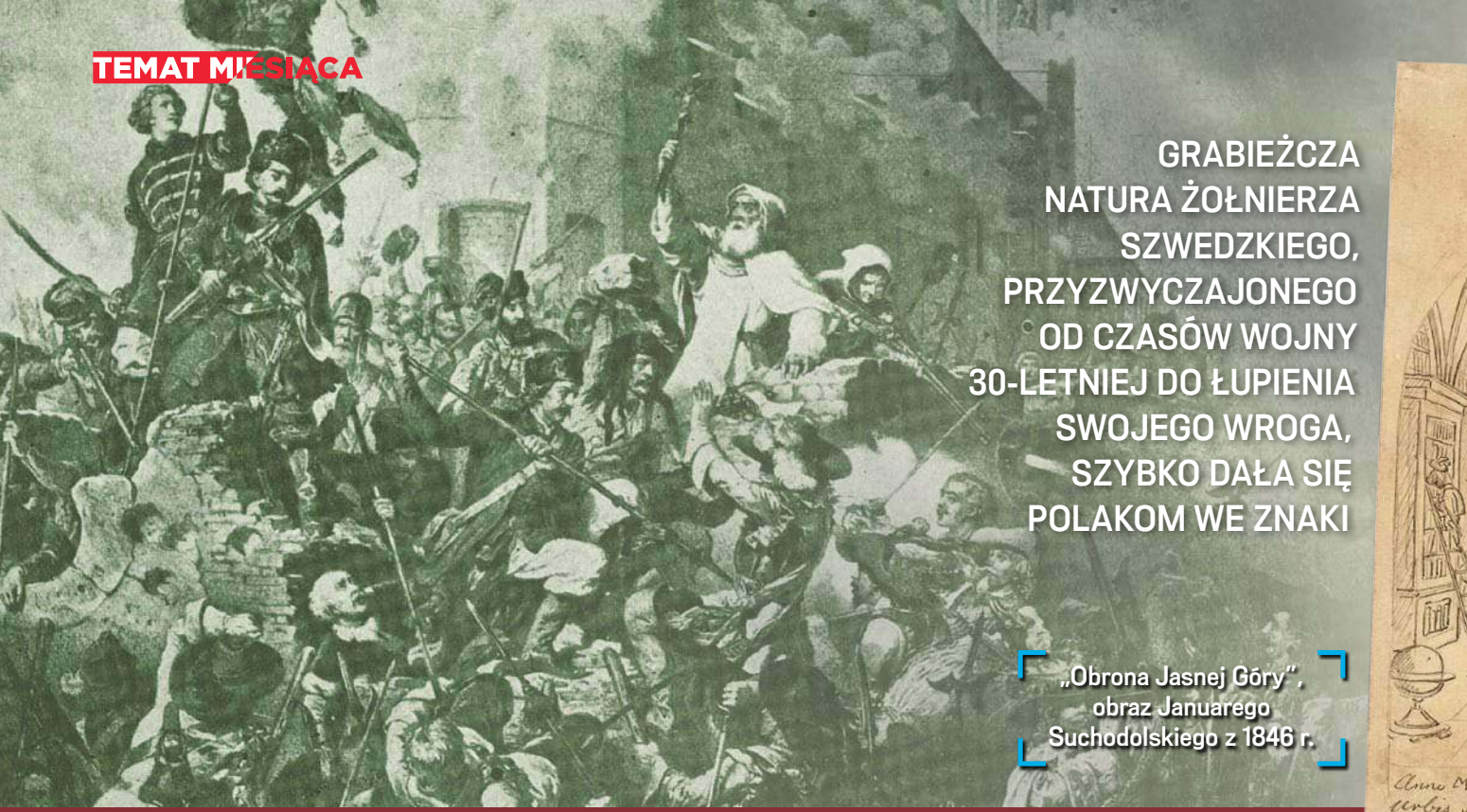
Kwadratura koła

Ostatnią, jak dotąd, próbę odzyskania skarbu Rumunia podjęła w 1994 r. w nowych warunkach geopolitycznych. Ówczesny prezydent Ion Iliescu zlecił wówczas dyplomatom w Moskwie wznowienie rozmów w tej sprawie. Oficjalna odpowiedź rosyjska odwoływała się do protokołu z 1956 r. i uznawała sprawę oficjalnie za zamkniętą. Wydaje się, że Rosjanie próbowali wykorzystać kwestię skarbu do odzyskania utraconych w Rumunii od czasów Ceauşescu pozycji politycznych i gospodarczych, oferując częściowy zwrot skarbu wśród innych projektów o charakterze ekonomicznym. Początkowo Iliescu był skłonny przyjąć tę ofertę, jednak Rumuni zażądali weryfikacji propozycji rosyjskiej poprzez zwrot charakterystycznego zestawu 12 monet pochodzących według inwentarza z 16 lutego 1917 r. z pierwszej skrzyni skarbu. Rosjanie przekazali je w grudniu 1994 r., co poświadczyło, że skarb faktycznie ciągle znajduje się w rękach rosyjskich. Strona rumuńska o dziwo odmówiła wówczas przyjęcia tego dowodu, dopiero w 2008 r. ostatecznie decydując się na włączenie tych monet w skład skarbca historycznego w Muzeum Narodowym w Bukareszcie. Funkcjonuje także wspólna rumuńsko-rosyjska komisja ds. trudnych, której działania nie przyniosły konstruktywnego rozwiązania.

Główną przeszkodą w restytucji skarbu jest jej forma. Rumuni bowiem domagają się oficjalnego jego przekazania (na szczeblu państwowym); Rosja byłaby skłonna do restytucji skarbu, ale drogą półoficjalną, np. za pośrednictwem firm niemieckich. Dodatkowym utrudnieniem jest oficjalne stanowisko Rosji w odniesieniu do ewentualnego zwrotu. Wymagałoby to odpowiedniej ustawy uchwalonej przez Dumę i – co więcej – wymagałoby stosownej kompensaty na rzecz Rosji. Trudno zaś przypuszczać, by Rumuni byli skłonni do odkupienia swego złota, gdyż stawiałoby to pod znakiem zapytania opłacalność całej operacji. W ten sposób można prawdopodobnie odzyskać jedynie dobra kulturalne, pozostające od ponad 100 lat w Rosji. W taki właśnie sposób część swego dziedzictwa kulturowego odzyskali Węgrzy, którym Rosjanie w 2006 r. zwrócili przynajmniej częściowo tzw. skarb z Sárospatak. Składał się on przede wszystkim z rzadkich rękopisów oraz inkunabułów. Sytuację w sprawie węgierskiej paradoksalnie ułatwiało to, że wspomniane dobra były de facto łupami wojennymi, co zapewne nieco uelastyczniło węgierskie podejście. Rumuni zaś powierzyli Rosji swój skarb dobrowolnie, co oznacza inną sytuację prawną. Stanowi to kolejny „trójkąt bermudzki" rumuńskiej polityki zagranicznej. Rumuni dobre stosunki z Rosją uzależniają od zwrotu skarbu, Rosjanie zaś zwrot skarbu uzależniają od dobrych stosunków z Rumunią, co kreuje kwadraturę koła.

FOT. SHUTTERSTOCK (2X)

eprasa.pl 37b1e8a2c0



GRABIEŻCZA NATURA ŻOŁNIERZA SZWEDZKIEGO, PRZYZWYCZAJONEGO OD CZASÓW WOJNY 30-LETNIEJ DO ŁUPIENIA SWOJEGO WROGA, SZYBKO DAŁA SIĘ POLAKOM WE ZNAKI

„Obrona Jasnej Góry", obraz Januarego Suchodolskiego z 1846 r.

BLUŹNIERCZE RAMIONA HERETYK WYCIĄGA

REPRESJE WOBEC POLSKIEGO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO I KATOLIKÓW W OKRESIE POTOPU SZWEDZKIEGO



BARTOSZ STARĘGOWSKI

Gdy 25 lipca 1655 r. wojewodowie i kasztelanowie Wielkopolski właściwej podpisywali akt kapitulacji pod Ujściem, klęska wojska polskiego, broniącego się na wałach nadnoteckich, była przypieczętowana. Choć według relacji źródłowych szlachta żywo protestowała przeciwko tej decyzji, ostatecznie została zmuszona do przyjęcia za fakt okupacji szwedzkiej. Nie wszyscy jednak znamienici obywatele Rzeczypospolitej wywodzący się z Wielkopolski złożyli swoje podpisy pod aktem kapitulacji.

Pakta ujskie były tak sformułowane, by nie wywoływać w Polakach poczucia odwetu. Szlachcie zagwarantowano wolność osobistą i możliwość swobodnego odjazdu do domu, nienaruszalność majątków szlacheckich oraz zachowanie ciągłości prac urzędów i instytucji lokalnego samorządu. Za dyscyplinę w wojsku szwedzkim odpowiedzialny był feldmarszałek Arvid Wittenberg, który początkowo surowo karał wszelkie zjawiska niesubordynacji, łamania dyscypliny żołnierskiej i zawartych postanowień.

Rozluźnienie dyscypliny

Oddajmy głos Hieronimowi Holstenowi, żołnierzowi niemieckiemu, będącemu bezpośrednim uczestnikiem tych wydarzeń: „Tak wkroczyliśmy do Wielkopolski i doszliśmy bez żadnego oporu do jej stolicy Poznania... Pod karą śmierci zakazano nam złodziejskich wypadów. Zgodnie z tym gen. Wittenberg rozkazał wieszać każdego (rabusia) bez względu na osobę. Przybyliśmy w końcu pod małe miasteczko zwane Koło... Wtedy to nie chcieliśmy rezygnować z tak surowo zabronionej kradzieży... Pojechaliśmy tam, gdzie był dwór szlachecki i duża wieś, ale wszystko było puste... Uzyskaliśmy jednak wiadomość, bijąc jakiegoś chłopa,

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Szwedzi łupią bibliotekę akademicką. Rysunek Michała Stachowicza

o dworze szlacheckim niespełna pół mili stąd. Znaleźliśmy tam wszystko według naszych życzeń i pragnień... większość panien i dziewek, do tego srebra i inne kosztowne rzeczy... w stajni cztery dobre konie, obładowaliśmy je najcenniejszymi zdobytymi rzeczami i ruszyliśmy pośpiesznie w dobrym nastroju...". Było to preludium do późniejszego przebiegu wydarzeń nie tylko na terenie Wielkopolski, lecz i całego kraju. Łamane postanowienia ujskie doprowadziły w następstwie do powstania ruchu oporu, który ogarnął cały kraj. Oprócz grabienia majątków Szwedzi zaatakowali również bardzo ważny w życiu polskiego chłopa aspekt, a mianowicie religię i parafię, z którą się utożsamiał, a która jednoczyła bardziej niż państwo, w którym mieszkał.

Ciężka opresja Kościoła

„Jeno się obaczyć, już ci to czynią: kościoły wszędzie złupione, kapłani ze wszystkiego obrani, niektórzy pomęczeni, poranieni, pozabijani okrutną szubieniczną śmiercią, panny zakonne pogwałcone, domy szlacheckie porabowane, siła szlachty pozabijanych, lud wszystek nader uciśniony" – takimi słowami opisał politykę Szwedów wielokrotny poseł na sejmy, a wówczas członek konfederacji tyszowieckiej, Daniel Żytkiewicz, dodając równocześnie, że nic nie chroni już majątku i życia mieszkańca Rzeczypospolitej: ani jego pochodzenie, ani przynależność społeczna. Szwedzi, będąc wyznania luterańskiego, za nic mieli świętość przybytków kościelnych i ich szczególne znaczenie dla mieszkańców podbijanych terytoriów. Z budynków sakralnych kradziono wyposażenie i wszystko, co miało jakąś wartość, a następnie po ich ogołoceniu przystępowano do niszczenia. Miało to oprócz symbolicznego aspektu także praktyczny, gdyż takie budowle mogły zostać wykorzystane jako przyczółki oporu. W 1657 r. podczas oblężenia Poznania wojska szwedzko-brandenburskie po opuszczeniu kolejnych placówek obronnych, za które służyły poznańskie świątynie, palili je lub burzyli, czym doprowadzili do poważnego uszczerbku w miejskiej zabudowie. Chłopów co prawda nie karano od razu śmiercią, ale wyznaczano ich do bardzo ciężkiej pracy przy naprawie fortyfikacji, a także obciążano kontyngentami i ich dostawą armii szwedzkiej.

Bardzo obszernie problemy polskiego Kościoła i społeczeństwa opisał Wespazjan Kochowski, historyk i poeta, a wówczas husarz: „Pod płaszczykiem praw i swobód od Króla szwedzkiego ciężką cierpimy niewolą, religią katolicką głaszcze słowami, a samą rzeczą gwałci... chłopów ciężarami przyciska, egzekucją ostatnie wydziera substancje, miasta opanowane nie traktuje za ojczyzny synów, klasztory w niewoli zostają, tak ozdoby z ołtarzów zdzierają, jako szlachtę rabują, za to żeśmy się dla łaskawości pana w protekcję Króla oddali, gnuśność nam przypisuje, a którzy jeszcze opierają się, rebeliantami zowią: dajmy to, że zbrojną szlachtę, gdy ojczyzny bronią, jako nieprzyjaciel traktuje, a księży za co tak ciemiężą? Za co Bogu poświęconych kapłanów okrutnie męczą? Ci żadnej broni nie noszą, w żadną emulacją z Szwedami nie wchodzą; niedawno Jana Branickiego..., Sufragana poznańskiego, w domu własnym zamordowali; Wojciecha Gawarzewskiego, Archidyakona poznańskiego, w drodze spotkawszy, pod Zbąszyniem obcięli ręce i w wodę wrzucili z mostu; jednych Franciszkanów, kapłanów 20 zabili; a nie dosyć okrutność nad ludźmi czynić, już na sumienie nasze więzy kładą, zakazują kaznodziejom słowa Bożego opowiadać, spowiednikom spowiedzi słuchać...".

Zwycięski marsz ciemiężców zahamowało dopiero oblężenie klasztoru jasnogórskiego, który dzięki bohaterskiej obronie Polaków został uchroniony przed losem świętych przybytków z innych obszarów kraju. Obrona Częstochowy stała się także symbolem obrony polskiej wiary przed zakusami heretyków, jak Szwedów określali wówczas Polacy.

Heretycy i ich wierni w zdradzie sojusznicy

Nie tylko postępowanie wojsk szwedzkich mogło budzić odrazę. Niektórzy mieszkańcy jawnie kolaborowali ze Szwedami, licząc na wzbogacenie się czy odegranie się na sąsiadach, wykorzystując przy tym wojska okupantów. Przykładów takich w Wielkopolsce, która pierwsza dotknięta została najazdem, można wymienić kilka. Osoby takie jak Henryk Lossow, Henryk Zajdlicz, Zofia Rozbicka, Seweryn Kęsicki, Jan i Aleksander Bronikowscy, Andrzej i Mikołaj Kromoliccy zapisały się negatywnie podczas potopu. Swój negatywny udział mieli również: zasłużony w okresie powstania Bohdana Chmielnickiego wojskowy Krzysztof Unrug i jego brat Aleksander. W Zbąszyniu zamordowali oni dwóch księży i troje mieszczan, obrabowali kościół oraz spalili Trzciel, w którym zamordowali dwóch księży i kilkunastu mieszczan. Rodzina Dziembowskich >> z kolei brała udział w grabieży i zniszczeniu majątków szlacheckich oraz duchownych w Babimoście.

Najbardziej jednak podłą postawę przyjął Mikołaj Rej, potomek Mikołaja Reja z Nagłowic. W swojej rezydencji w Skokach podejmował oficerów i żołnierzy szwedzkich, informując ich o najlepiej uposażonych dobrach kościelnych i wskazując je jako potencjalne miejsca łupiestwa. Rej, sam będąc kalwinem, szczególnie mocno prześladował przedstawicieli Kościoła katolickiego, ale okrucieństwo przejawiał także wobec własnych poddanych, szczególnie tych, których podejrzewał o niechętne nastroje wobec Szwedów. Dręczył również sąsiadów, którzy odmówili współpracy z nimi, czego przykładem był atak na Adama Padniewskiego. Lista grzechów wnuka sławnego pisarza jest znacznie dłuższa. Odpowiadał on m.in. za obrabowanie konwentu inowrocławskiego, spustoszenie jego dóbr, zamordowanie kilku zakonników i spalenie plebanii. Podczas gdy >>

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» mieszkańcy okolicznych wsi cierpieli w wyniku gwałtów i grabieży, Rej organizował przyjęcia w swojej posiadłości. Jego zdrada sięgała jednak dalej. Zarzucano mu namawianie szlachty na odchodzenie od króla polskiego i jawne popieranie Karola Gustawa. W swoich listach życzył nawet Rzeczypospolitej rychłego upadku. Pomimo tylu niegodziwości nie dosięgła go żadna kara, podobnie jak innych kolaborantów. W końcowym okresie potopu otrzymał nawet od króla list przypowiedni na 50-osobową chorągiew piechoty polsko-węgierskiej, którą łaskawie wsparł armię koronną.

Odwet

Na postępowanie Szwedów nie dało się bezczynnie patrzeć. Dość szybko przeciwko nim wystąpili chłopi, do których dołączyła szlachta, tworząc partyzanckie grupy pospolitego ruszenia. Zwalczały one mniejsze oddziały szwedzkie, sabotowały przemarsze wojskowe, przecinały linie zaopatrzeniowe, a nawet zdobywały miasta. Największy ruch partyzancki powstał na terenie Wielkopolski, gdzie jego przywódcą był szanowany i poważany wojewoda podlaski Jan Piotr Opaliński. Do walki przeciwko Szwedom zachęcano także duchownych. Prymas Polski Andrzej Leszczyński w swoim uniwersale z 25 października 1655 r., pisanym z Głogówka na Śląsku, wzywał wszystkich mieszkańców Wielkopolski do wspólnego oporu przeciwko najeźdźcy i zbierania pospolitego ruszenia tak, by „snadniej... Kościołów Bożych... bronić".


Andrzej Leszczyński, prymas Polski (1653-1658)

Najbardziej dobitnym przykładem zaangażowania się w walkę ze Szwedami jest postać księdza kanonika Jana Zapolskiego, opata klasztoru w Lądzie. W maju 1656 r. zwołał on lokalne siły szlachecko-chłopskie i rozpoczął oblężenie Koła, które po pewnym czasie zdobył, wypierając z niego szwedzką załogę. W październiku tegoż roku jego chorągiew licząca 65 koni i 16 pocztów wzięła udział w wyprawie pospolitego ruszenia. Jej celem była demonstracja zbrojna na terenie Marchii Brandenburskiej i nakłonienie tym samym elektora brandenburskiego, który zawarł sojusz z królem szwedzkim, do jego zerwania i zwrotu Wielkopolanom twierdz uzyskanych przez Brandenburczyków na mocy porozumień ze Szwedami.

Podsumowanie

Skala okrucieństw i niegodziwości dokonywanych przez Szwedów na podbitych terytoriach była tak wielka, że szybko doprowadziła społeczeństwo polskie do zorganizowania akcji odwetowych i obronnych. Pojawiające się tu i ówdzie lokalne konfederacje zwalczały w ramach swoich możliwości oddziały szwedzkie, łącząc się w większe związki jak konfederacja tyszowiecka, łańcucka czy wrocławska. Ze szczególną zawziętością dręczony był Kościół katolicki, gdyż dla wyznających luteranizm Szwedów oprócz pobudek czysto materialnych ważne były także pobudki religijne. Bardzo często przypisywano zdradę polskim innowiercom, arianom i kalwinistom. Jednak w procederze kolaboracji z najeźdźcami brała udział również szlachta katolicka, co było najsmutniejszą odsłoną potopu szwedzkiego. Najbardziej bulwersujące jest to, że żaden ze złoczyńców nie został pociągnięty do odpowiedzialności, ba, niektórzy nawet otrzymali dowództwo nad własnymi oddziałami wojskowymi.

Straty i roszczenia

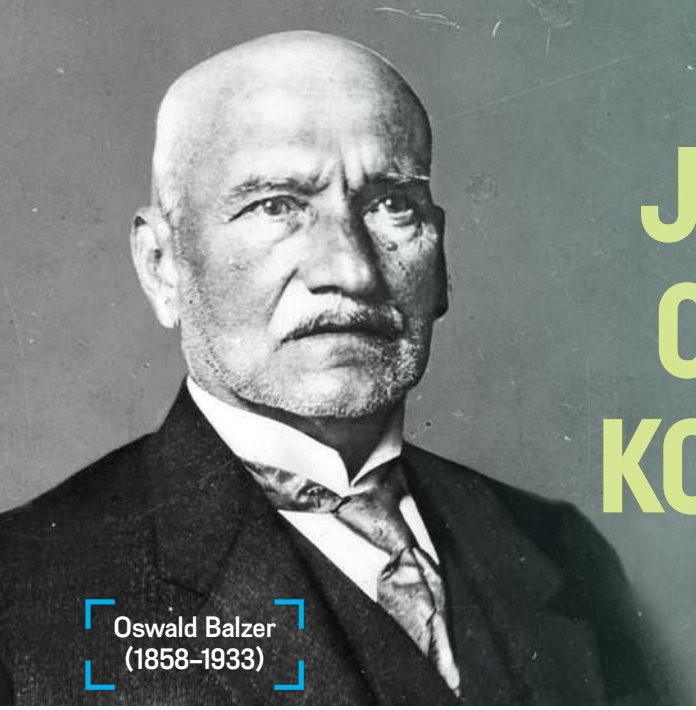
Skutki, jakie wywołała inwazja szwedzka, Rzeczpospolita odczuwała jeszcze wiele lat. Grabiono i wywożono bowiem wszystko, co miało jakąś wartość, dokumenty i księgozbiory, w niektórych przypadkach nawet zdrapywano złocenia z fragmentów pomieszczeń, rozbierano całe budynki w poszukiwaniu kosztowności.

Punkt dziewiąty zawartego w Oliwie w 1660 r. traktatu pokojowego ze Szwecją zobowiązywał najeźdźców do zwrotu wywiezionych archiwów, księgozbiorów i dokumentów publicznych. Niestety problemem było nieprecyzyjne określenie, o jakie dobra chodzi, w tym niezbyt jasne zaznaczenie konieczności zwrotu dzieł sztuki. Szwedzi opieszale oddawali nawet zagrabioną dokumentację i przekazywali ją etapowo w bardzo niewielkich partiach. Dotąd w Szwecji znajdują się polskie dokumenty z krajowych archiwów i pokaźna liczba polskich dzieł sztuki. W wywiadzie dla portalu wPolityce.pl opublikowanym 12 sierpnia 2012 r. ówczesny dyrektor Muzeum Zamku Królewskiego w Warszawie prof. Andrzej Rottermund zauważył, że prawnicy zwracali uwagę na powszechny wtedy brak zgody na kradzież dóbr kultury podczas wojen, który choć oficjalnie niezapisany, obowiązywał już w XVII-wiecznej doktrynie wojennej. Według nich dawało to Polsce prawo do restytucji dóbr, zwłaszcza że ustęp dotyczący zwrotu zagrabionych dóbr pojawił się w zawartym w Oliwie traktacie pokojowym. Profesor zwracał jednak uwagę na nieprecyzyjność samego zapisu traktatowego dotyczącego zwrotu dóbr (czy chodziło jedynie o księgozbiory i archiwa, czy też inne dobra) oraz na problemy, jakie światowemu muzealnictwu sprawiłby zwrot obiektów po tak wielu latach. Największym utrudnieniem był i jest wypływ dóbr do kolekcji i zbiorów prywatnych, co niezwykle spowalnia proces poszukiwawczy i restytucyjny. O ile restytucja jest procesem trudnym i złożonym, o tyle jest też możliwe uzyskanie odszkodowań. Jednak problem stanowi realna wycena tego typu roszczeń. Próby takiej podjął się Sławian Krzywiński, przedsiębiorca z Warszawy, zajmujący się zagadnieniem jako prezes Fundacji Odbudowy Zniszczeń podczas Potopu Szwedzkiego. Wycenił on straty Rzeczypospolitej na ok. 4 mld zł. Władze nie podjęły jednak inicjatywy w tym kierunku. Konieczna jest współpraca na tym polu ze Szwecją, gdyż cały czas w jej posiadaniu znajduje się niezmiernie istotny fragment polskiego dziedzictwa.



Temat grabieży polskich dóbr materialnych i kultury w trakcie potopu jest obecny w polskim środowisku naukowym. W 2015 r. nakładem wydawnictwa DIG ukazała się publikacja autorstwa M. Nagielskiego, K. Kossarzeckiego, Ł. Przybyłka i A. Haratyma „Zniszczenia szwedzkie na terenie Korony w okresie potopu 1655–1660".

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Oswald Balzer (1858–1933)

JAK SZLACHETNA CUDKA STAŁA SIĘ KOCHANKĄ KRÓLA KAZIMIERZA

NIEWŁAŚCIWA INTERPRETACJA ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH MOŻE MIEĆ DALEKOSIĘŻNE SKUTKI. DOBRZE WIDAĆ TO NA PRZYKŁADZIE CUDKI, KTÓRĄ PRZYPOMINA SIĘ ZWYKLE PRZY OKAZJI OMAWIANIA ŻYCIA PRYWATNEGO OSTATNIEGO PIASTA NA TRONIE POLSKI

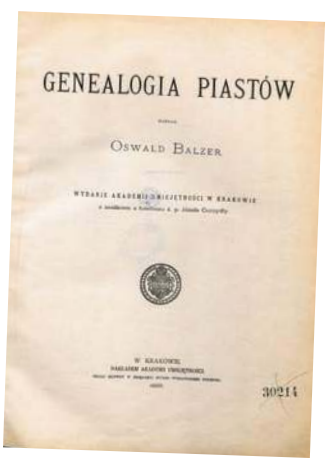


MALWINA LANGE

Cudka była jedyną córką kasztelana sieciechowskiego Pełki z Rzochowa h. Połukoza i Małgorzaty. W wieku ok. 12 lat została wydana za mąż za rycerza Niemierzę z Gołczy – zaufanego posła Kazimierza Wielkiego, a w posagu otrzymała od rodziców wszystkie dobra do nich należące. Mimo że małżonków często dzieliły długie okresy rozłąki, to doczekali się czwórki dzieci: Niemierzy, Pełki, Elżbiety i Pachny.

Cudka przez stulecia była postacią zapomnianą. Nie ma się czemu dziwić – za życia pozostawała jedynie w tle ważnych wydarzeń. Dopiero w XIX w. została przypomniana, ale w niezbyt chlubnym kontekście – jako kobieta zdradzająca męża z samym królem Kazimierzem Wielkim.

Historyk Julian Bartoszewicz w latach 50. XIX w. przygotowywał do druku tom trzeci słynnego „Codex Diplomaticus Poloniae". Analizując dokument wystawiony w 1379 r. przez Niemierzę z Galowa, syna Pełki, chciał ustalić, kim byli owi możnowładcy. Spostrzegł, że noszone przez nich imiona są zbieżne z imionami dwóch synów Kazimierza Wielkiego z nieprawego łoża – również Niemierzy i Pełki. Stwierdził zatem, że musieli oni pochodzić z królewskiego rodu, po pierwsze bowiem nosili te same imiona, co królewscy synowie, a po drugie, istniał zwyczaj nadawania dzieciom imion po przodkach (o czym będzie jeszcze mowa). Nie sprecyzował jednak, jaki stopień pokrewieństwa łączył wystawcę dokumentu z królem zapewne z powodu braku jakichkolwiek informacji na ten temat. Niemniej jednak cytowany dokument opatrzył stosowną notatką z własnymi spostrzeżeniami i przeszedł do następnego.



Zamiast Esterki

W końcu lat 90. XIX w. temat ten podjął mediewista Oswald Balzer (1858–1933) w pracy „Genealogia Piastów". Wziął pod lupę wszystkie znane kobiety, które mogły być potencjalnymi matkami trzech znanych z imienia królewskich synów, Niemierzy i Pełki wspominanych w „Chronica Polonorum" Jana Długosza oraz Jana pojawiającego się w „Kronice" Janka z Czarnkowa. Żadnej z nich nie mógł jednak dopasować do budowanego przez siebie obrazu życia prywatnego króla. Analizując zachowane dokumenty z poł. XIV w. i XV w. wyszukiwał braci, u których występowało chociaż jedno z interesujących go imion, i usiłował znaleźć powiązania z królem Kazimierzem. Pod lupę wziął rodzeństwo: Niemierzę, Jana i Abrahama pochodzących z Nowego Dworu i mogących być synami Esterki, ponieważ jeden z nich nosił właśnie biblijne imię. Jednak w toku swego wywodu uznał, iż to nie ta rodzina. Imię Abraham było „pospolite" wśród szlachty. Zaczął więc omawiać inną parę braci, Niemierzę i Pełkę z Galowa h. Mądrostki, którzy z większym >>

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» prawdopodobieństwem mogli być potomkami monarchy.

Balzer poddał analizie dokumenty wystawiane w II poł. XIV w. przez możnowładców z Galowa noszących owe imiona. Co więcej, zapisane w królewskim testamencie Bogucice na rzecz Niemierzy znajdują się w bliskim sąsiedztwie kluczy majątkowych Gołeckich, pozostałe wsie zaś ogólnie położone są w ziemi sandomierskiej. Zauważył też, że m.in. sprzedawane przez nich wsie wchodziły w skład posagu kasztelanki Cudki. Doszedł zatem do wniosku, że to właśnie ona musiała być matką królewskich synów (!), a Długosz najpewniej wymyślił postać Esterki. Balzer wyszukał jeszcze wiele innych, w jego przekonaniu, niezbitych dowodów na poparcie tej tezy – wszystkie trzy imiona miały być imionami rodowymi możnowładców wywodzących się z Galowa, które odziedziczyli po królewskich synach, bardzo często powtarzały się one bowiem w rodzie Gołeckich, szczególnie Niemierza, a od XV w. również Jan. Z tego powodu badacz próbował dodatkowo przypisać Cudce urodzenie trzeciego syna, Jana. Został on wymieniony w parze z Niemierzą w testamencie Kazimierza Wielkiego. Balzer wiele miejsca poświęcił pominięciu Pełki w tym dokumencie, wskazując, iż ten być może zmarł jeszcze za życia Kazimierza i mógł otrzymać od niego dużo wcześniej bliżej nieokreślone nadania ziemskie. Jako ciekawostkę przytoczył też jeden z wystawionych w 1365 r. przez Pełkę dokumentów, który został opatrzony pieczęcią z wizerunkiem brodatego mężczyzny. Zinterpretował ją jako wizerunek Kazimierza, co w jego opinii stanowiło odwołanie się tegoż Pełki do swego królewskiego pochodzenia.

Kwestią dyskusyjną pozostawać mogło jedynie to, kiedy romans obojga miał miejsce, czy jeszcze za życia czy po śmierci męża Cudki, a na pewno po 1341 r., po oddaleniu królowej Adelajdy Heskiej.

W 1352 r. Cudka, będąc już wdową, otrzymała od Kazimierza Wielkiego pokwitowanie na sumę 107 grzywien z wypłacanego księciu bawarskiemu Ludwikowi VI Rzymskiemu posagu jego żony a córki Kazimierza Kunegundy. Miało to stanowić w opinii mediewisty niepodważalny dowód na to, iż obaj panowie, zarówno Ludwik, jak i Kazimierz, zabezpieczali swe interesy przed nieokreślonymi, przyszłymi roszczeniami synów tego ostatniego. Wymieniona suma mogła stanowić też część ustalonej przez obie strony kwoty, którą w ratach wypłacano wdowie.

Wydawać by się mogło, że zagadka została rozwiązana. Żydówkę Esterkę, opisywaną przez Długosza, funkcjonującą w ówczesnej literaturze przedmiotu i mogącą teoretycznie być ich matką, Oswald Balzer uznał ostatecznie za „postać zupełnie urojoną".

Przywrócona cześć

Argumenty Balzera, ewidentnie dobierane pod z góry określoną tezę, spotkały się z ostrą krytyką innego mediewisty – Stosława Łaguny (1833–1900). Na łamach „Kwartalnika Historycznego" w pracy „Rodowód Piastów" badacz przedstawił mocne kontrargumenty. W jednej kwestii zgodził się z opinią Oswalda Balzera, że wspomniany wyżej ród wywodzący się z Nowego Dworu nie był spokrewniony ani spowinowacony z ostatnim Piastem na tronie Polski, ponieważ był na tyle zamożny i potężny, że z pewnością nie dopuściłby do unieważnienia testamentowych zapisów króla na rzecz jego synów. Co więcej, nie ma dowodów, by jakakolwiek jego gałąź osiedliła się w ziemi sandomierskiej. Łaguna uzupełnił tę argumentację o przytoczenie Długoszowej wzmianki o zajmowanej przez Niemierzę Kazimierzowicza pozycji. Mianowicie za rządów Jagiełły pełnił mało prestiżowe stanowisko i zginął podczas pobierania podwodów w Koprzywnicy.

Zwrócił zwłaszcza uwagę na pokwitowanie na kwotę 107 grzywien, które otrzymała Cudka. Było ono w rzeczywistości zaległym, aczkolwiek nie tak wielkim jak chciał Oswald Balzer, wynagrodzeniem, jakie miał otrzymać jej zmarły mąż. W 1345 r., kilka miesięcy przed śmiercią, Niemierza w imieniu polskiego króla ustalał z Ludwikiem VI Rzymskim warunki zawarcia małżeństwa z królewną Kunegundą; wobec pomyślnie zakończonych rokowań otrzymał od niego wówczas bliżej nieznane nadania ziemskie.

Jeżeli chodzi z kolei o imiona, to nie można wyłącznie na ich podstawie ustalać rodzinnych powiązań, mimo że rzeczywiście w rodach możnowładców imiona były dziedziczone po przodkach (w tym konkretnym przypadku synowie Cudki otrzymali imię po ojcu i dziadku) i dlatego mogą być pomocne w ustaleniu pokrewieństwa. Poza tym Niemierza, Pełka i Jan należały do popularnych imion nadawanych dzieciom w XIV i XV w. Każdą osobę w średniowieczu określano według ścisłych kryteriów: miejscowość, z której pochodzi, piastowany urząd oraz noszony przez nią herb. Skądinąd wiadomo, iż synowie Cudki pieczętowali się rodowym herbem ich ojca, a mianowicie Mądrostki, natomiast synom króla nadano herb Mieszaniec. Balzer, mówiąc o możnowładcach wywodzących się z Galowa, w ogóle nie wziął tego pod uwagę. Wszystkich Mądrostów będących potomkami Cudki uznał jednocześnie za potomków Kazimierza. Jak wielką wagę przywiązywano do pochodzenia, widać na poniższym przykładzie: rodzice Cudki w chwili wydawania córki za mąż wystosowali do papieża suplikę o uprawomocnienie swego małżeństwa, aby nikt ani jej, ani jej dzieciom nie zarzucił nieprawego pochodzenia. Synowie Niemierzy i Cudki sami uważali się za ich dzieci i posiadali pełnię praw do odziedziczonych po ojcu i matce dóbr oraz do współpatronatu nad kościołem w Gołczy ufundowanym przez ich przodków. Co więcej, królewscy synowie najprawdopodobniej zmarli bezpotomnie, podczas gdy o Pełce Niemierzycu wiadomo, iż był protoplastą rodów Gołeckich, Gałowskich i Bydlińskich. Oswald Balzer tego również nie dostrzegł, rozpisując się o powodach pominięcia w królewskim testamencie domniemanych wnuków pochodzących od jego nieślubnego syna Pełki.

Nasuwa się zatem jeden wniosek: obie pary braci – Niemierzę i Pełkę – łączyła jedynie zbieżność imion. Jednak do dziś ustalenia Oswalda Balzera są bardziej popularne niż Stosława Łaguny. Zwłaszcza w kinematografii Cudkę przedstawia się jako niewierną żonę Niemierzy. Nic dziwnego, wątek romansu z całą pewnością dodaje „pikanterii" filmom poświęconym ostatniemu piastowskiemu władcy. Stanowi jednak, co należy wyraźnie podkreślić, wprowadzanie odbiorców w błąd.

Podsumowując: Cudka nie mogła być kochanką króla. Może powiązanie jej z monarchą było o tyle łatwiejsze, iż od najmłodszych lat pozostawała blisko dworu – jej ojciec był w końcu królewskim urzędnikiem, a mąż posłem. Kim jednak była matka królewskich synów, Niemierzy i Pełki, oraz Jana? Niestety jej postać ginie w mrokach dziejów i prawdopodobnie nigdy nie poznamy jej imienia.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

POLITYKA RUSKA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA



ADRIAN JUSUPOVIĆ

Z RACJI POŁOŻENIA ZIEMI MAZOWIECKIEJ WŁADYSŁAW ŁOKIETEK BYŁ BARDZO DOBRZE ZORIENTOWANY W SYTUACJI POLITYCZNEJ RUSI

Pierwsza połowa XIII w. to czas intensyfikacji kontaktów mazowiecko-ruskich. W latach 40. XIII w. zacieśniła się współpraca między Konradem Mazowieckim a Danielem Romanowiczem. Przejawiała się ona nie tylko we wspólnych wyprawach wojennych »



Władysław Łokietek, obraz M. Barwickiego, 1905 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

W tym roku przypada 700. rocznica koronacji Władysława Łokietka. Z tej okazji 17–18 stycznia br. na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się konferencja naukowa „Władztwo Władysława Łokietka". Na stronach 27–35 prezentujemy tezy niektórych referatów napisane specjalnie dla czytelników „wSieci Historii"

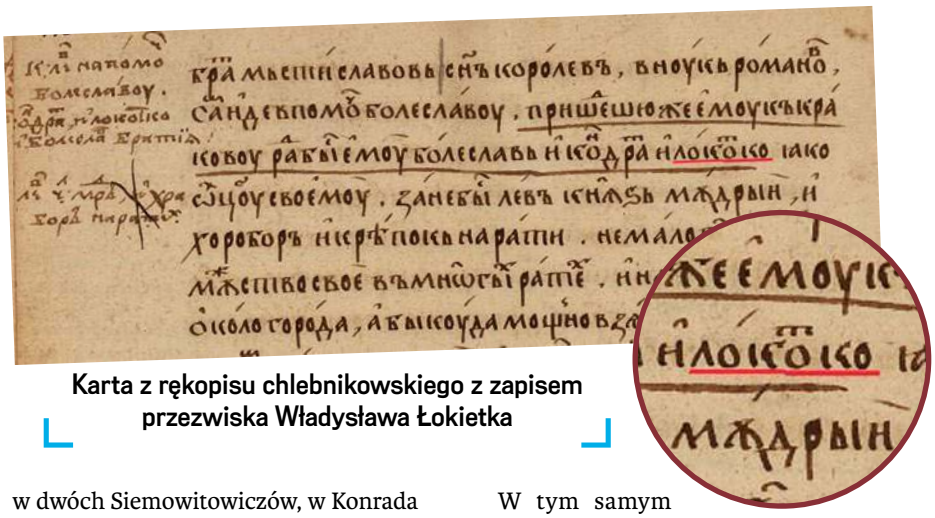
eprasa.pl/37b1e8a2c0

» na Małopolskę czy Jaćwingów, lecz również w polityce dynastycznej. Doszło zatem do małżeństwa Bolesława Kondratowica z Anastazją Wasylkówną, Siemowita z Perejasławą Daniłówną. Po śmierci Konrada Mazowieckiego równie dobrze wyglądały kontakty małopolsko-ruskie. Warto przypomnieć, że Bolesław Wstydliwy należał do osób namawiających Daniela Romanowicza, by przyjął koronę królewską, którą ostatecznie otrzymał od papieża Innocentego IV w 1253 r. Koronacja odbyła się w Drohiczynie. Po śmierci Daniela i Wasylka Romanowiczów ich potomkowie nadal aktywnie ingerowali w sprawy polskie. W „Kronice halicko-wołyńskiej", podstawowym źródle do dziejów Mazowsza i Małopolski w drugiej połowie XIII w., czytamy, że Włodzimierz Wasylkowicz, książę włodzimierski (rządził we Włodzimierzu od 1269 r. do śmierci, która nastąpiła 10 grudnia 1288 r.), wziął księcia z Mazowsza „pod swoją opiekę". Władca ruski wspierał Konrada czerskiego w jego walkach z bratem Bolesławem płockim, posiłkowanym przez Leszka Czarnego oraz Władysława Łokietka.

Trudne relacje za Leszka

W „Kronice halicko-wołyńskiej" pod datą 7 grudnia 1279 r. odnotowano: „Zmarł wielki książę krakowski Bolesław dobry i spokojny, łagodny i pokorny, braci kochający, niegniewliwy. Przeżył lata mnogie. I tak oto w starości dobrej odszedł do Boga. Ciało jego przygotowawszy do pogrzebu, złożyli w cerkwi świętego Franciszka w grodzie, w Krakowie. Po śmierci wielkiego księcia Bolesława nie było komu panować w lackiej ziemi, bowiem nie miał on syna. I zapragnął Lew [Daniłowicz władca halicki] ziemi dla siebie, ale bojarzy byli silni i nie dali jemu ziemi. Było zaś u Bolesława synowców 5, Siemowitowicze 2, Konrad i Bolesław, a Kazimierzowicze trzej: Lestko, Ziemomysł i Władysław". Leszek Czarny wspierany przez braci, w tym Władysława Łokietka, sięgnął po stolec krakowski. W 1280 r. najechał ziemię Lwa Daniłowicza, zdobywając jego gród Przeworsk i postępując w kierunku Brześcia. Przez cały okres życia Leszka władca halicki pozostawał jego wrogiem.

Po raz kolejny Władysław Łokietek miał okazje zetknąć się z księciem ruskim w roku 1282. Jak informuje nas źródło ruskie: „Włożył diabeł w serce nienawiść,



Karta z rękopisu chlebnikowskiego z zapisem przezwiska Władysława Łokietka

w dwóch Siemowitowiczów, w Konrada [II czerskiego] i Bolesława [II płockiego]. Zaczęli być we wrogości wobec siebie i zwalczać się. Konrad żył z bratem swoim Włodzimierzem [Wasylkowiczem księciem włodzimierskim] w jedności, a Bolesław żył z Lestkiem [Leszkiem Czarnym] i z bratem jego Władysławem [Łokietkiem] w jedności. Bolesław skupił wojsko swoje i wziął pomoc sobie

WRAZ Z WYSUNIĘCIEM PRETENSJI DO KRAKOWA W 1289 r. WŁADYSŁAW ŁOKIETEK STAŁ SIĘ ISTOTNYM GRACZEM NA ARENIE MIĘDZYNARODOWEJ

od Władysława [Łokietka] i poszedł na brata swojego na Konrada, na gród Jazdów. Konrada nie było wówczas w grodzie i tak oto przystąpiwszy, wzięli gród. Prawo zaś było u Lachów takie: czeladzi nie zabierać, ani nie bić, lecz łupić. Gdy gród wzięli, zagarnęli w nim dóbr dużo i ludzi złupili. I jątrew [żonę brata] swoją obłupili, księżnę Konradową i synowicę swoją obłupił i uczynił hańbę wielką bratu swojemu Konradowi". Powodem konfliktu był zapewne zbyt mały dział ojcowizny wydzielony przez Konrada na rzecz Bolesława.

W tym samym roku miała miejsce wyprawa odwetowa Konrada II, którą wsparł swoimi oddziałami Włodzimierz Wasylkowicz. W jej czasie został zdobyty Gostynin, ulubiony gród Bolesława II. Koalicja książąt polskich nie pozostawała dłużna, już w 1283 r. lub 1284 najechali ziemię wołyńską. Kolejna wyprawa miała miejsce w roku 1285, wówczas celem był Szczekarzew (obecny Krasnystaw). Władcy polscy wykorzystali to, że książęta wołyńsko-haliccy zostali przymuszeni przez Tatarów do wyprawy na Węgry. W bardzo krótkim czasie Lew Daniłowicz, zwolniony przez Tatarów z powodu najazdu, najechał na Wyszogród, Włodzimierz posłał zaś Litwinów na ziemię lubelską. W kolejnym roku z powodu działań koalicji książąt mazowieckich, Bolesława oraz Władysława Łokietka, Włodzimierz Wasylkowicz oraz Jerzy Lwowicz posłali swoje wojsko wraz z posiłkami litewskimi na Sochaczew, który został zdobyty. Jan Długosz podaje, że w czasie wyprawy został zdobyty gród Władysława Łokietka Gostynin.

Nowe pokolenie

Walki trwały do śmierci Leszka Czarnego, która nastąpiła 30 września 1288 r. Jego zgon przyniósł zupełnie nowe relacje pomiędzy książętami ruskimi a polskimi. Wówczas również we Włodzimierzu doszło do zmiany na stolcu. Cierpiący zapewne na trąd Włodzimierz Wasylkowicz namaścił na swojego następcę Mścisława Daniłowicza – swojego kuzyna, a zarazem przyrodniego brata Lwa Daniłowicza. Mścisław miał przejąć nie tylko schedę, ale również sojusze swojego poprzednika, także z Konradem II Czerskim, który udał się w tym czasie na Ruś, aby utwierdzić alians mazowiecko-wołyński z przyszłym władcą Wołynia. Tam też zastała go informacja

eprasa.pl 37b1e8a2c0

o śmierci Leszka Czarnego oraz zaproszenie mieszkańców Lublina do panowania w mieście. Naprędce zorganizowana wyprawa zakończyła się klęską, ponieważ Lublin zamknął wrota przed Konradem. Okazało się ponadto, że posłano nie tylko do niego, lecz także do Lwa Daniłowicza, który przysłał pod miasto swojego syna Jerzego. Oba wojska w zaistniałej sytuacji odstąpiły od miasta.

Rusini oraz Konrad II, z powodów, o których za chwilę, w zasadzie do pierwszej połowy 1289 r. nie uczestniczyli w walkach o stolec krakowski. Dnia 10 grudnia 1288 r. zmarł Włodzimierz Wasylkowicz. Niemal natychmiast Jerzy I Lwowicz, inspirowany przez swojego ojca, zajął gród Brześć. Niewykluczone, że władca halicki liczył na przejęcie całości schedy po zmarłym kuzynie. Mścisław do kwietnia walczył z buntem bojarów brzeskich. Ostatecznie, zagroziwszy przyrodniemu bratu Lwu wmieszaniem do sporu Tatarów, spowodował wycofanie się go z dalszej walki o Wołyń. Mścisław zaś 10 kwietnia 1289 r. posadzony został na stolcu włodzimierskim. W uroczystościach uczestniczył również Konrad II Czerski. Ze źródeł ruskich dowiadujemy się, że władca Mazowsza namówił księcia włodzimierskiego do przydzielenia mu wojska, by ruszyć na ziemię sandomierską. Otwartym pytaniem pozostaje, czy w tym czasie był już w sojuszu z Bolesławem II, Władysławem Łokietkiem, Lwem Daniłowiczem oraz Wacławem II, czy też przystąpił do niego w efekcie aneksji nowych ziem. Być może obietnica zachowania nowo zdobytej ziemi skłoniła go do walki przeciwko Henrykowi IV Prawemu, po stronie niegdysiejszych przeciwników. Niewykluczone, że podobnie wyglądała sytuacja z Lwem Daniłowiczem, który w tym czasie zajął ziemię lubelską. Źródło ruskie informuje nas jedynie o efekcie porozumienia: „Tego zaś lata książę Lew, brat Mścisława, syn króla, wnuk Romana, sam poszedł na pomoc Bolesławowi. Gdy przyszedł do Krakowa, rad był jemu Bolesław i Konrad i Łokietek [w źródle ruskim: Локотокъ], niczym ojcu swojemu, ponieważ był Lew księciem mądrym i chrobrym i twardym w boju, niemało bowiem pokazał męstwa swojego w wielu bitwach". Lew wziął również udział w wyprawie lipcowej na księcia wrocławskiego. Dowiadujemy się, że wziął on „niezliczone mnóstwo czeladzi i bydła i koni i towaru, ponieważ nie wchodziło wcześniej żadne wojsko tak głęboko w ziemię jego".

Łokietek wkracza do akcji

W czasie zjazdu w Opawie 15 sierpnia 1289 r., w której uczestniczyli koalicjanci Wacława II, książę halicki uzyskał potwierdzenie na ziemię lubelską. W tym czasie również Łokietek postanowił umocnić kontakty ze wschodnim sąsiadem. Wydał siostrę Eufemię za Jerzego Lwowicza, co mogło nastąpić między wrześniem 1289 r. a 23 czerwca 1290 r. Śmierć Henryka IV głogowskiego, który był głównym rywalem o tron krakowski koalicji polsko-czesko-ruskiej, postawiła jednak władcę Halicza w niedogodnym położeniu, ponieważ Władysław Łokietek stał się rywalem Wacława II o tron krakowski. Należy w tym miejscu podkreślić, że przez cały okres walki o Małopolskę Lew pozostawał wiernym sojusznikiem Wacława II. O ścisłym związku obu monarchów może świadczyć ich zjazd w Brnie w 1299 r. oraz wydany w tym samym roku dokument Grzegorza komesa beregowskiego, który poprzez określenie się urzędnikiem księcia halickiego daje do zrozumienia, że Lew poszerzył swoje terytorium kosztem Węgier. Pośrednio może to świadczyć o opowiedzeniu się po stronie Czech w ich walkach o stolec węgierski.

W literaturze powszechnie się uznaje, że Władysław Łokietek w czasie swojego wygnania w okresie 1300–1303 przebywał na Rusi, wskazując błędnie na Lwa Daniłowicza jako na władcę, który zapewnił mu schronienie. Pewną podpowiedź w tej kwestii daje nam polityka dynastyczna Łokietka. Wiemy, że w okresie 1296–1300 doszło do ślubu brata władcy kujawskiego Siemowita z Anastazją córką Mścisława (błędnie utożsamianą przez starszą literaturę z córką Lwa Daniłowicza). Niewykluczone, że przebywający do 1296 r. w niewoli litewskiej Siemowit został uwolniony dzięki zabiegom księcia włodzimierskiego. Należy pamiętać, że Mścisław był synem Daniela Romanowicza oraz księżniczki litewskiej. Ponadto po śmierci 21 października 1294 r. Konrada II Czerskiego Łokietek stawał się naturalnym sojusznikiem dla Mścisława. Według mnie to właśnie ten ostatni monarcha był księciem wspierającym działania polskiego księcia.

Zmiana orientacji

Śmierć Lwa Daniłowicza, która nastąpiła około 1300/1301 r., przyniosła zupełną reorientację polityki halickiej w Polsce. Być może była to zasługa Eufemii Kazimierzówny, siostry Władysława Łokietka, która zapewne miała duży wpływ na męża Jerzego Lwowicza (od około 1300–1305 r. również władcy włodzimierskiego), jak i, przynajmniej do śmierci w 1308 r., na synów Andrzeja i Lwa. Praktycznie od tego momentu władcy wołyńsko-haliccy prowadzą propolską politykę. Z ich pomocą w 1302 r. Łokietek najechał ziemię sandomierską. W wyniku akcji odwetowej Rusini utracili ziemię lubelską. Być może to wydarzenie spowodowało, że Jerzy do 1306 r. ostrożnie podchodził do kwestii wsparcia swojego szwagra. Po tym okresie spotykamy oddziały ruskie wspierające zachodniego sąsiada w akcjach militarnych Władysława Łokietka. Polskie miasta z kolei dostawały przywileje na handel z Rusią (np.: przywileje dla mieszkańców Krakowa z 27 sierpnia 1320 r.). Po bezdzietnej śmierci w 1323 r. synów Jerzego Lwowicza, Andrzeja i Lwa, stolec wołyńsko-halicki wakował. Król polski z pomocą węgierską osadził na nim Bolesława Jerzego syna Marii (córki Jerzego i Eufemii) oraz Trojdena Bolesławowica.

* * *

Z racji położenia ziemi mazowieckiej Władysław Łokietek był bardzo dobrze zorientowany w sytuacji politycznej Rusi. Śmierć Bolesława Wstydliwego doprowadziła do ostrych konfliktów w Polsce i silnego zaangażowania się w nie Rusinów. Praktycznie do śmierci Leszka Czarnego książę kujawski pozostawał w cieniu swojego brata, wiernie wspierając jego politykę. Wraz z wysunięciem pretensji do Krakowa w 1289 r. stał się istotnym graczem na arenie międzynarodowej. Sytuacja wymusiła na nim ułożenie dobrych relacji ze wschodnim sąsiadem, co realizował skutecznie poprzez politykę dynastyczną. Po 1306 r. jego działania w pewien sposób nawiązywały do znakomitych przodków, Kazimierza Sprawiedliwego czy też Leszka Białego, którzy prowadzili aktywną politykę w ziemi halicko-włodzimierskiej. Rusini stali się w tym okresie ważnym czynnikiem w polityce zagranicznej Władysława Łokietka.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



eprasa.pl 37b1e8a2c0



KIEDY 20 STYCZNIA 1320 r. WŁADYSŁAW ŁOKIETEK W KATEDRZE WAWELSKIEJ POCZUŁ NA SKRONI CIĘŻAR KRÓLEWSKIEJ KORONY, STOSUNKI Z JEGO NAJWAŻNIEJSZYM SOJUSZNIKIEM, WĘGRAMI, LICZYŁY JUŻ TRZY I PÓŁ WIEKU

Władysław IV Kumański; wszystkie ilustracje użyte w tekście to miniatury z Kroniki obrazkowej za: Chronica Picta, Budapest 1991 (faksymile kodeksu nr 404 Országos Széchényi Könyvtár)

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK I WĘGRZY

KONTYNUACJA DŁUGIEJ TRADYCJI



RYSZARD GRZESIK

Sięgały one początków obu państw. Rozwijały się przez lata z różną intensywnością, ale zawsze Węgrzy byli w większym lub mniejszym stopniu obecni w świadomości polskich elit.

Zanim bliżej przypatrzymy się wydarzeniom ze wspólnej przeszłości, musimy zwrócić uwagę na to, jak uprawiano w tym czasie politykę zagraniczną. Stosunki międzynarodowe to stałe zawiązywanie i zrywanie sojuszy. To okres pokojowego współistnienia, a zarazem ciągłych wojen, dotkliwych dla ludności, bo niosących z sobą rabunek majątku i spustoszenia, jednak ze względu na ówczesną technikę ograniczonych terytorialnie. Emanacją sojuszy bywały małżeństwa dynastyczne, budujące między władcami skomplikowane sieci wzajemnego pokrewieństwa i niekiedy przyprawiające o ból głowy kanonistów, pilnujących, by para młoda nie była zbyt ściśle ze sobą spokrewniona. Osobami prowadzącymi politykę zagraniczną byli oczywiście władcy, lecz stopniowo, w miarę przebudowy stosunków społecznych, do głosu dochodziły również grupy ludności. Byli to najważniejsi ludzie w państwie, współuczestniczący w zarządzaniu tym państwem i formujący tzw. naród państwowy, spajany emocjonalną więzią z Państwem – Ojczyzną. Ale możni baronowie byli już tak silni, że potrafili prowadzić własną politykę, nieraz na przekór władcy.

Polska i Węgry – podobieństwa i różnice

Polska pod koniec XIII w. przeżywała wciąż rozbicie dzielnicowe. Stosunki między poszczególnymi księstwami coraz częściej przypominały relacje międzynarodowe, władcy bili się o terytoria pograniczne. Kształtowała się lokalna hierarchia urzędnicza dająca początek późniejszym godnościom ziemskim Polski Jagiellońskiej oraz I Rzeczypospolitej. Zarazem istniało poczucie jedności całego kraju wzmacniane przez jednolitą organizację kościelną i wspólną tradycję historyczną oraz ideologię polityczną. Ludzie powoli mieli dość ciągłych starć o władzę, pragnęli spokoju w jednolitym państwie. Rozumieli to książęta piastowscy, którzy zaczęli akcję zjednoczeniową.

Węgry nie przeszły przez okres rozbicia dzielnicowego, w XIII w. były wciąż silnym i scentralizowanym państwem. Jednak i tam wzrastała rola baronów, którym przeciwstawiło się średnie rycerstwo. W 1222 r. król Andrzej II wystawił Złotą Bullę gwarantującą rycerstwu te same przywileje, którymi cieszyli się możni: wolność osobistą, zwolnienia podatkowe, zapłatę za wyprawy wojenne poza granice kraju, sądownictwo nad »

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» chłopami, zakaz powoływania cudzoziemców na urzędy. Jego syn Béla IV próbował wzmocnić pozycję króla, chwilami w komiczny dla nas sposób: zabronił baronom siedzieć w swojej obecności podczas obrad rady królewskiej i spalił ich krzesła. Jednak najazd tatarski w latach 1241–1242 unieważnił te starania. Trzeba było wykorzystać siłę baronów, by wzmocnić siłę państwa. Pociągnęło to za sobą skutek w postaci ich usamodzielnienia się. Dodatkowo wojna toczona przez Bélę IV z jego synem Stefanem V wzmocniła rody możnowładcze, przerzucające poparcie tam, gdzie można było uzyskać więcej korzyści. Doszło do tego, że baronowie stawali się udzielnymi panami w swoich włościach, toczącymi ciągłe walki z przeciwnikami i bezkarnie więżącymi nawet monarchę i członków panującej dynastii.

Gry o trony

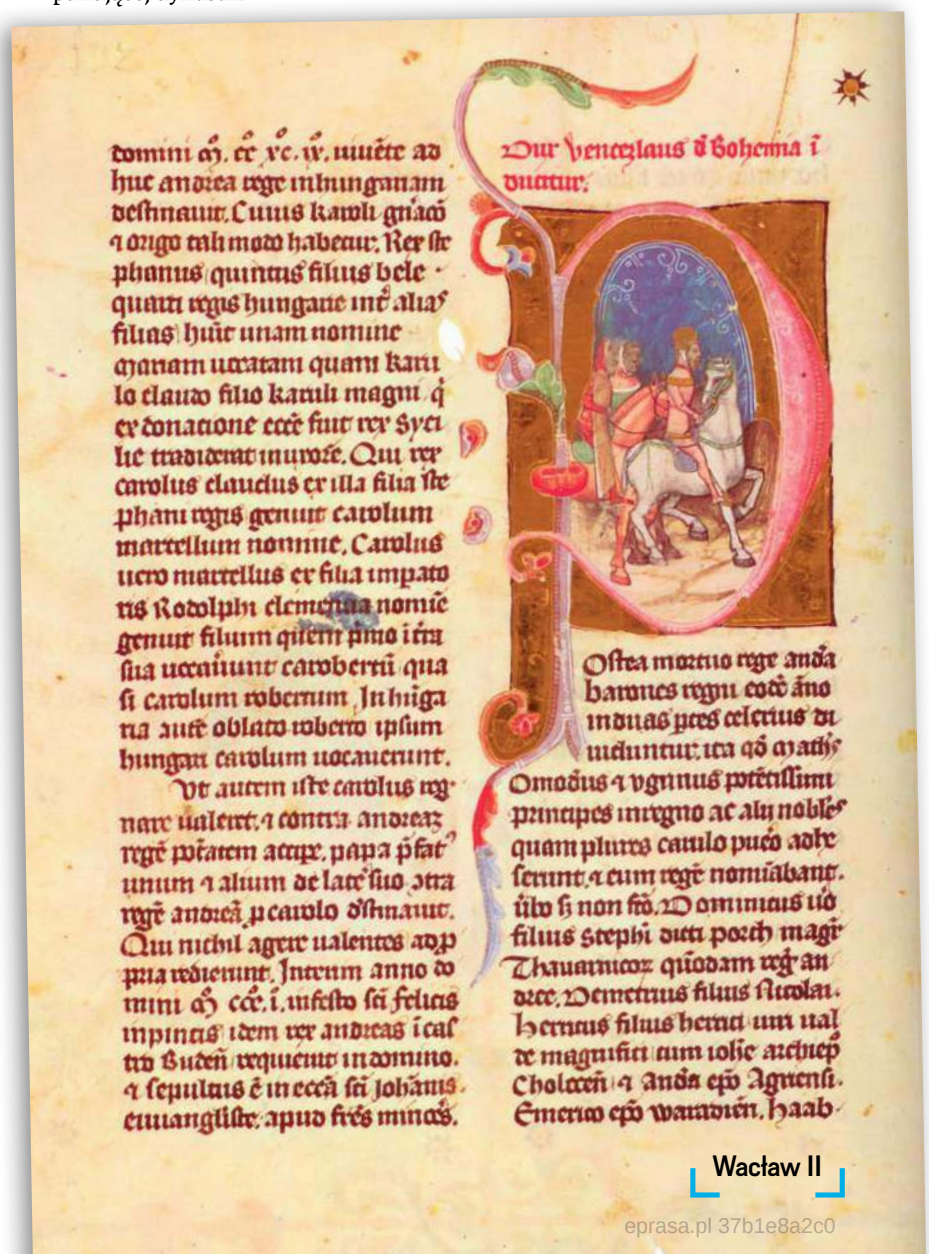
W takich właśnie warunkach zaczął działać młody książę brzesko-kujawski, Władysław Łokietek. Jego starszy przyrodni brat, Leszek Czarny, władający Małopolską, pozostawał w przyjaznych stosunkach z Władysławem IV Kumańskim. Był to władca węgierski wychowany przez matkę, księżniczkę kumańską, na Kumana, jak Węgrzy nazywali lud turecki z grupy kipczackiej, który przez Słowian, szczególnie wschodnich, zapamiętany został jako Połowcy (przypomnijmy sobie słynne „Tańce połowieckie" z opery „Kniaź Igor" Aleksandra Borodina). W 1285 r. posiłki węgierskie przywróciły władzę Leszka w Krakowie po buncie możnych. Dowódca posiłków, Jerzy z rodu Baksa, otrzymał nawet w nagrodę od polskiego księcia nadanie na ziemi sądeckiej.

Po śmierci Leszka tron na krótko opanował książę wrocławski Henryk IV Prawy (Probus), a po jego rychłej śmierci w czerwcu 1290 r. Małopolskę podzielili dwaj książęta. Przemysł II wielkopolski zajął Kraków, a Łokietkowi przypadła ziemia sandomierska. Przejął kontakty swego brata, ale już nie z Władysławem, który niespodziewanie w lipcu 1290 r. został zamordowany przez swoich ukochanych Kumanów w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Na jego miejsce sprowadzono z Wenecji Andrzeja III, pochodzącego z nieuznawanej, bocznej linii Arpadów. Ponoć jego babka spłodziła jego ojca Stefana nie z królem Andrzejem II, lecz z kochankiem, któremu zresztą syn Andrzeja II, Béla IV, kazał wyłupić oczy. Andrzej III natychmiast nawiązał kontakty z Łokietkiem, poślubiając jego bratanicę Fenennę.

Lecz opozycyjne wobec Władysława IV i jego następcy, a także Leszka Czarnego i Władysława Łokietka stronnictwo wysunęło własnego kandydata na tron. Był to inny Andrzej, młodszy brat Władysława Kumańskiego, uznany w ojczyźnie za zmarłego. Wiemy z „Żywota św. Kingi", że młodzieniec pojawił się u swej ciotki, pani sądeckiej, która rozpoznała w nim bratanka. Został osadzony w książęcej posiadłości w Chrobrzu n. Nidą, a potem utopiony w tej rzece przez pewnych węgierskich uchodźców. Wiemy z jednego dokumentu Andrzeja III, że znany nam Jerzy z rodu Baksa miał zasługi w zwalczaniu pewnego uzurpatora Andrzeja. Można sobie wyobrazić, że on i jego ludzie byli rzekomymi uchodźcami, którzy „zlikwidowali" rzekomego czy prawdziwego Andrzeja, młodszego syna Stefana V.

Do akcji wkraczają Czesi

Do gry o polski tron włączył się władca czeski Wacław II. Jeszcze w tym samym 1290 r. uznali go prawie wszyscy książęta piastowscy, bo Czechy były wtedy wiodącym i bardzo atrakcyjnym pod względem cywilizacyjnym państwem. Tylko Łokietek nie chciał uznać jego władzy i na początku 1291 r. uderzył na graniczące z dzielnicą sandomierską ziemie krakowskie. Wspomagali go Węgrzy, w tym Jerzy Baksa. Lecz pomoc węgierska wkrótce się skończyła, gdyż król Andrzej III wdał się w konflikt z Albrechtem Habsburgiem,



Wacław II

eprasa.pl 37b1e8a2c0

w dodatku rozpoczęła się nowa wojna między stronnictwami możnych. Stąd kapitulacja Łokietka przed Wacławem. Co gorsza, w 1295 r. zmarła Fenenna, a już rok później Andrzej III poślubił córkę Albrechta Habsburga, co oznaczało wejście w sojusz z Habsburgiem i Czechami. Mimo to w 1297 r. Węgrzy wspomogli Łokietka walczącego z Henrykiem głogowskim o wielkopolskie dziedzictwo pozostałe po zamordowanym rok wcześniej królu Przemyśle II. Węgrów spotykamy u boku Łokietka jeszcze w 1300 r., kiedy spustoszyli Miechów. Wybitny znawca tej epoki prof. Jan Dąbrowski sądził, że wyprawa ta była już prywatnym przedsięwzięciem możnych, chcących wykorzystać do zagarnięcia łupów pragnienie zemsty Łokietka na zwolennikach opcji czeskiej zjednoczenia Polski.

W 1301 r. po bezpotomnej śmierci Andrzeja III wygasła dynastia Arpadów. Węgry podzieliły się na dwa stronnictwa. Jedno z nich było proczeskie i wybrało na króla syna Wacława II, Wacława III, który przybrał imię Władysława V. Drugie było andegaweńskie i widziało na tronie młodziutkiego Karola Roberta, reprezentanta neapolitańskiej dynastii Andegawenów, będących boczną linią francuskich Kapetyngów wywodzącą się od młodszego brata św. Ludwika. Pierwsze dziesięciolecie XIV w. obfitowało w skandale, naruszenia prawa (koronację Karola Roberta trzeba było trzy razy powtarzać, bo dwa razy nie przestrzegano procedur legalizujących i była przez to nieważna – to memento, jak istotne jest przestrzeganie procedur prawnych), a nawet zgubienie korony (szczęśliwie odnalezionej na drodze). Ale widzimy jasno, że uzyskanie pomocy przez wygnane książątko było praktycznie nie do wyobrażenia.

W kierunku długofalowego sojuszu

Jednak koniunktura zaczęła się zmieniać. Przede wszystkim możni z ziem północnych i zachodnich (dzisiejszej Słowacji) zaczęli opuszczać obóz czeski, przyłączając się do andegaweńskiego. Jednym z nich był Amadej z rodu Aba. U niego wygnany Łokietek znalazł posłuch i pomoc. Amadej chciał w ten sposób znaleźć sprzymierzeńca przeciw Czechom, kto poparłby go również w walce z sympatyzującymi z Czechami mieszkańcami Koszyc. W 1304 r. Łokietek z węgierskimi posiłkami wkroczył do



Bitwa pod Rozhanovcami

Małopolski i zajął Wiślicę leżącą naprzeciwko ujścia Dunajca do Wisły. A doliną Popradu i Dunajca wiodła jedna z dróg łączących Węgry z Polską. Szybka śmierć Wacława II, a potem jego syna Wacława III, otworzyła przed księciem Władysławem władzę nad polskimi ziemiami oraz drogę do tronu królewskiego, przed Andegawenami zaś niekwestionowaną władzę na Węgrzech. Związani z Amadejem Węgrzy pozostawali przez kilka lat w Polsce, pomagając księciu Królestwa Polskiego, jak brzmiała jego ówczesna tytulatura. Tłumili m.in. bunt mieszczan krakowskich dowodzonych przez wójta Alberta. Pomoc skończyła się w 1311 r. wraz ze śmiercią Amadeja zabitego przez Koszyczan. Mieszkańców Koszyc wziął w obronę Karol Robert. 13 czerwca 1312 r. rozegrała się wielka bitwa pod Rozhanovcami (Rozgony), która położyła kres świetności rodu Aba. Większość synów Amadeja oddała swe życie w bitwie, reszta uciekła do Polski, gdzie stopiła się z polskim rycerstwem. Był to początek końca panoszenia się oligarchów magnackich na Węgrzech. A dla Władysława Łokietka przyszedł czas szukania sojuszu z władcą Węgier Karolem Robertem, który mógłby stanowić obronę przed Czechami władanymi przez nową dynastię Luksemburgów i króla Jana. Do ostatecznego zawarcia sojuszu doszło ok. 1320 r., a jego wyrazem było małżeństwo Karola Roberta z córką Władysława Łokietka Elżbietą. Otworzyło ono okres intensywnych kontaktów międzypaństwowych i chyba szczerej przyjaźni, która kilkadziesiąt lat później, po bezpotomnej śmierci brata Elżbiety, Kazimierza Wielkiego, doprowadziła do personalnej unii polsko-węgierskiej w osobie siostrzeńca Kazimierza, Ludwika Wielkiego, w Polsce zwanego Węgierskim.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA I KAROL ROBERT

MAŁŻEŃSTWO NIE TYLKO POLITYCZNE

PÓŁ ROKU PO KRÓLEWSKIEJ KORONACJI WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA DOSZŁO DO JEDNEGO Z NAJWAŻNIEJSZYCH MARIAŻY DYNASTYCZNYCH W DZIEJACH POLSKI PIASTOWSKIEJ





Po lewej: Elżbieta Łokietkówna z dziećmi, po prawej: Karol Robert, miniatury z Kroniki obrazkowej za: Chronica Picta, Budapest 1991 (faksymile kodeksu nr 404 Országos Széchényi Könyvtár)



STANISŁAW A. SROKA

Córka Łokietka, Elżbieta, została w Budzie na Węgrzech poślubiona pochodzącemu z dynastii Andegawenów Karolowi Robertowi, królowi Węgier. Mariaż ten dosyć lapidarnie odnotowały źródła węgierskie. Znacznie więcej danych przechowały polskie źródła. Jan Długosz w swoich „Annales" pisze o konieczności stłumienia przez króla Węgier wojen wewnętrznych, toczonych zwłaszcza z Mateuszem Csakiem, a następnie o problemie jego bezdzietności, choć monarcha był żonaty z dwiema znakomitymi rodem kobietami. Polski kronikarz świetnie orientuje się w życiu małżeńskim Karola Roberta; podaje imiona jego poprzednich małżonek (Piastówna śląska Maria i Beatrycze czeska) oraz powody braku dziedzica królestwa (bezpłodność pierwszej żony oraz poronienie przez drugą małżonkę). Utrzymuje zatem, że u genezy małżeństwa Andegawena z Piastówną leżała chęć zapewnienia przez Karola Roberta ciągłości dynastii. Tym powodowany wysłał on posłów do króla polskiego Władysława, prosząc o rękę jego córki Elżbiety. Długosz odnotowuje także dokładną datę ślubu (6 lipca 1320 r.) oraz ukoronowanie Elżbiety na królową Węgier, co odbyło się zgodnie z obyczajem w stołecznym Białogrodzie. Dodam już od siebie, że aktu

eprasa.pl 37b1e8a2c0

koronacji królowej, także zgodnie z wielowiekową już tradycją, dokonał zapewne biskup weszprymski. Zanim jednak doszło do ślubu, Karol Robert postarał się w kurii papieskiej o dyspensę, ponieważ pomiędzy małżonkami zachodziło pokrewieństwo w stopniu czwartym, dotykającym trzeciego (ich wspólnym przodkiem był król węgierski Bela IV).

W kręgu wielkiej polityki

Nie ulega wątpliwości, że Jan Długosz przyczynę mariażu Elżbiety z Karolem wykoncypował z przebiegu późniejszych wydarzeń, czyli licznych porodów królowej i zapewnienia następcy tronu. We współczesnej historiografii dominuje jednak pogląd, zaprezentowany przez Jana Dąbrowskiego, który ślub Elżbiety widzi na szerokim tle międzynarodowym, zwłaszcza konfrontacji Habsburgów z Wittelsbachami i w tym kontekście tworzenia się obozów politycznych. Dążność Władysława Łokietka do zbliżenia z Węgrami wynikała z obawy polskiego księcia przed Janem czeskim z dynastii Luksemburgów, który podnosił swoje pretensje do polskiego tronu. Wcześniejsza, podjęta w 1317 r., próba skłonienia Karola Roberta do porzucenia Jana czeskiego nie udała się, a władca Węgier ożenił się nadto w roku następnym z Beatryczą Luksemburską. Dopiero jej śmierć w 1319 r. rozluźniła więzy łączące króla Węgier z Janem. Zdaniem Dąbrowskiego ślub Elżbiety z Karolem Robertem i koronacja królewska Władysława Łokietka pozostają ze sobą w związku. Udało się wówczas, po przejściu Polski do obozu antybawarskiego, w czasie starań o koronację Łokietka, stworzyć nowy blok państw europejskich (Austria, Węgry, Polska), który w najbliższych latach będzie solidarnie występował na arenie politycznej.

W kręgu rodziny

Zaraz po ślubie i koronacji Elżbieta osiadła w Timiszoarze, ówczesnej siedzibie dworu królewskiego, gdzie spędzała większość czasu. Potem, od 1323 r., zamieszkała na zamku w Wyszehradzie. W 1346 r., po przeniesieniu się dworu do Budy, królowa dzieliła czas pomiędzy Budę i Wyszehrad. W czasie swojego panowania (1320–1380) odbyła dwie wielkie wyprawy zagraniczne: w latach 1343–1344 do Neapolu i Rzymu, a w 1357 r. do grobu swojej patronki św. Elżbiety w Marburgu. Po objęciu tronu w Krakowie przez jej syna Ludwika, Elżbieta krótko przebywała też kilka razy w Polsce. Oprócz wspomnianych siedzib z biegiem czasu ulubionymi miejscami pobytu królowej stały się też zamki w Diósgyőr (był w posiadaniu królowej od 1340 r.) i w Starej Budzie (ten ostatni otrzymała Elżbieta od syna Ludwika w 1343 r.). Na zamku w Diósgyőr zachowała się jej piękna podobizna. Została ona odkryta w 1934 r. i przedstawia Elżbietę bez korony, ale ze wspaniałym nakryciem głowy, tzw. kruzelerem, znanym też z miniatury z „Kroniki ilustrowanej". Władczyni ma szeroki nos i wygląd matrony.

Niewątpliwie dosyć stacjonarny – w porównaniu z innymi władczyniami węgierskimi – tryb życia Elżbiety, przynajmniej za czasów jej małżonka, wynikał z częstych porodów królowej. Para królewska doczekała się bowiem licznego potomstwa, a mianowicie synów: Karola, Władysława, Ludwika, Andrzeja i Stefana. Prawdopodobnie król i królowa mieli też dwie córki, które poślubiły książąt śląskich. Elżbieta miała zostać żoną księcia niemodlińskiego Bolesława, natomiast Katarzyna wyszła za Henryka świdnickiego.

Polak – Węgier...

Małżeństwo Elżbiety Łokietkówny z królem Węgier umocniło wzajemne relacje Polski i Węgier, a obopólny sojusz był podstawą stosunków międzynarodowych Polski w ciągu półwiecza (1320–1370). Jak pisał Janusz Kurtyka: „Współpraca polsko-węgierska, przejawiająca się przede wszystkim w koordynowaniu polityki dynastycznej i stałym przysyłaniu przez Węgry posiłków wojskowych, dobrze poświadczona jest aż do śmierci Łokietka". Natomiast od 1335 (lub 1327) osią wzajemnych relacji polsko-węgierskich była sprawa sukcesji andegaweńskiej w Polsce. Sojusz z Węgrami zapewniał królowi polskiemu także pomoc dyplomatyczną na arenie międzynarodowej.

Małżeństwo Elżbiety z Karolem Robertem zaowocowało też licznymi karierami Piastów na Węgrzech. Były to kariery zarówno kościelne, jak i świeckie. Jeśli idzie o te pierwsze, to już w 1321 r. książę bytomski Bolesław został arcybiskupem Ostrzyhomia, czyli zwierzchnikiem ówczesnego węgierskiego Kościoła, natomiast jego młodszy brat Mieszko w 1328 r. zajął stolec biskupi w Nitrze, a od 1334 r. był biskupem weszprymskim. Dużą karierę kościelną na Węgrzech zrobił także niejaki Mikołaj Polak (Nicolaus Polonus), który w 1345 r. ubiegał się o arcybiskupstwo w Kalocsy (na Węgrzech były w średniowieczu dwa arcybiskupstwa: w Ostrzyhomiu i Kalocsy), a wcześniej był wychowawcą króla Ludwika. W historiografii węgierskiej jest znany jako Neszmélyi Miklós od nazwy miejscowości Neszmély, którą otrzymał od króla w 1339 r. Popierany przez Elżbietę przybyły ze Śląska skromny kleryk został nie tylko wychowawcą Ludwika, lecz otrzymał także kanonie w Győr, Weszprym, Ostrzyhomiu, Peczu i Siedmiogrodzie. Wspomnianego arcybiskupstwa w Kalocsy nie otrzymał w wyniku konfliktu z kurią papieską. Ostatecznie Mikołaj został w 1346 r. biskupem w Peczu i zasiadał na tym stolcu biskupim do czasu swej śmierci w 1360 r.

Największą karierę świecką na Węgrzech zrobił niewątpliwie książę Władysław Opolczyk, który w 1367 r. objął stanowisko palatyna, czyli najważniejszej po królu osoby w państwie. Z nim wiąże się zmiana w polityce zagranicznej Węgier w przededniu sukcesji andegaweńskiej w Polsce. W 1372 r. Opolczyk został pozbawiony palatynatu i przeniesiony na Ruś, którą otrzymał w zarząd od króla Ludwika Wielkiego. Tym samym błyskawiczna kariera księcia śląskiego na Węgrzech została przerwana. Opolczyk nie został jednak pozbawiony wszystkich posiadanych tam dóbr i godności. Niektóre z nich jeszcze przez wiele lat pozostały w jego rękach. Jako osoba wpływowa na wielu dworach Europy Środkowo-Wschodniej mógł się jeszcze nieraz przydać władcy Węgier, zwłaszcza w służbie dyplomatycznej.

W podsumowaniu warto jeszcze raz podkreślić wielkie znaczenie zawartego w 1320 r. małżeństwa Elżbiety Łokietkówny z Karolem Robertem. Królowi węgierskiemu Elżbieta dała długo wyczekiwanego następcę tronu, Łokietek zyskał zaś ważnego sprzymierzeńca na arenie międzynarodowej. Dzięki Elżbiecie wielu Piastów, głównie pochodzących z podzielonego na wiele małych księstw Śląska, przybyło na Węgry i niektórzy z nich zrobili tam znaczące kariery. Śmierć Elżbiety Łokietkówny w 1380 r., a potem króla Ludwika, zamknęły pewien etap w stosunkach polsko-węgierskich.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

DOKUMENTY WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA

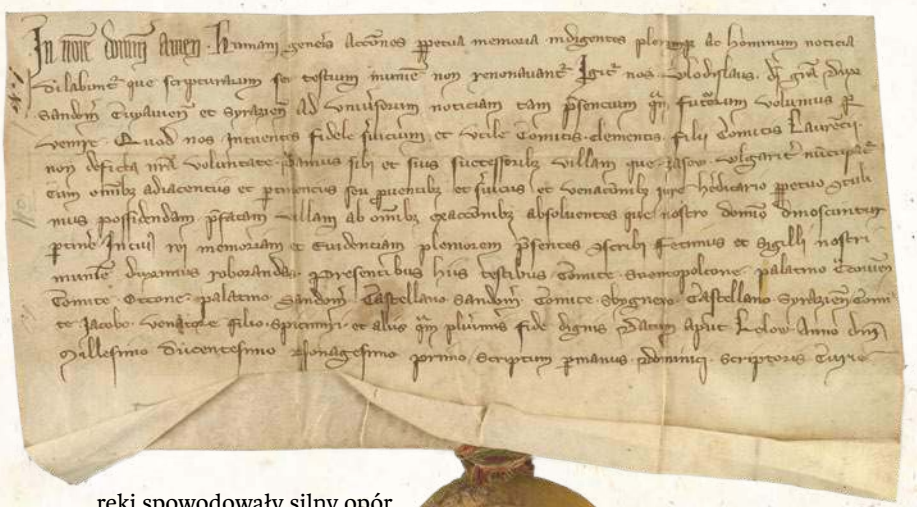
SIEDEMSETNA ROCZNICA KORONACJI KRÓLEWSKIEJ WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA SKŁANIA DO REFLEKSJI NAD TYM WAŻNYM WYDARZENIEM. JEGO ZNACZENIE POLEGAŁO NA TRWAŁYM ODNOWIENIU KRÓLESTWA POLSKIEGO, KTÓREGO SYMBOLEM STAŁ SIĘ PIASTOWSKI ORZEŁ W KORONIE



Pieczęć królewska Władysława Łokietka, z wizerunkiem Orła w koronie



JACEK KROCHMAL



Władysław, książę sandomierski, kujawski i sieradzki, nadaje komesowi Klemensowi wieś Zasów (1291 r.)

Władysław Łokietek (1260–1333) z kujawskiej linii Piastów był księciem najdłużej dążącym do zjednoczenia Królestwa Polskiego. Rządy rozpoczął od panowania nad księstwami brzesko-kujawskim i łęczyckim. W 1288 r. po bracie Leszku Czarnym odziedziczył ziemię sieradzką, a w latach 1288–1292 panował w ziemi sandomierskiej. Po śmierci króla Przemysła II w 1296 r., z rąk zgromadzonego na pogrzebie możnowładztwa, przejął władzę nad Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim. Deklarację tę potwierdziła ugoda z księciem Henrykiem głogowskim zawarta w Krzywiniu 10 marca 1296 r. Łokietek stał się najpoważniejszym pretendentem do zjednoczenia Polski. Dla podkreślenia swego programu politycznego przyjął wówczas tytuł księcia Królestwa Polskiego. Jednak wiele błędnych posunięć w połączeniu z rządami twardej ręki spowodowały silny opór wobec władzy Łokietka. Wkrótce też utracił on swe ziemie na rzecz czeskiego monarchy Wacława II, który w 1300 r. koronował się w katedrze gnieźnieńskiej na króla Polski. Pozbawiony swych księstw Władysław schronił się na Rusi Halicko-Włodzimierskiej, gdzie panowali zaprzyjaźnieni kniaziowie Lew Daniłowicz i jego syn Jerzy, szwagier Łokietka.

Kwestia praw do korony polskiej zaczęła być ponownie aktualna po śmierci Wacława II (†1305), a wkrótce potem jego syna Wacława III (†1306). Ten nie zdążył koronować się na króla Polski, podczas podróży zginął w zamachu zorganizowanym w Ołomuńcu. Wygaśnięcie czeskiej dynastii Przemyślidów otworzyło nowy rozdział w dziejach

eprasa.pl 37b1e8a2c0

starań o odnowienie Królestwa Polskiego. W 1306 r. ponownie głównym pretendentem do korony polskiej stał się Władysław Łokietek. Książę jeszcze w 1304 r. powrócił do Polski, ponawiając akcję zjednoczeniową przy wsparciu Węgier i rycerstwa małopolskiego. Dzięki temu objął we władanie senioralny Kraków. Znalazł tam jednak silnego przeciwnika w biskupie i zarazem staroście krakowskim Janie Muskacie, dawnym kapelanie króla Wacława II, wspieranym przez mieszczan niemieckich na czele z wójtem krakowskim Albertem. Ten był stronnikiem króla czeskiego Jana Luksemburczyka, który zgłosił roszczenia do korony polskiej, rzekomo odziedziczone po Przemyślidach. Narastający spór doprowadził w 1311 r. do wybuchu głośnego buntu wójta Alberta skierowanego przeciwko władzy Łokietka. Po dwóch miesiącach oblężenia Kraków został zdobyty przez Łokietka wspieranego przez małopolskie i węgierskie rycerstwo oraz miasta i klasztory. Majątki buntowników skonfiskowano, ważniejsze jednak były zmiany ustrojowe w mieście. Zlikwidowano urząd wójta dziedzicznego Krakowa, ograniczono władzę samorządu miejskiego, a w kancelarii miejskiej zakazano używania języka niemieckiego.

Zwycięstwo to było przełomem w politycznej drodze Władysława Łokietka do korony polskiej. Dotychczas książę wielokrotnie stawał się panem poszczególnych dzielnic, by równie szybko utracić je w wyniku błędnej polityki. Jej przykładem było fatalne w skutkach zaproszenie w 1308 r. Krzyżaków do pomocy w odbiciu Gdańska z rąk Brandenburczyków. Zapewne doświadczenia związane z licznymi niepowodzeniami sprawiły, że książę z czasem zaczął prowadzić bardziej rozważną i przemyślaną politykę. Szybko też zaczęła ona przynosić sukcesy. W 1314 r. Władysław Łokietek zajął Wielkopolskę, co upamiętnia dokument księcia potwierdzający dawne przywileje miasta Kalisza. Uwagę zwraca w nim tytulatura Władysława, który nazwał się dziedzicem Królestwa Polskiego. Sukcesy te sprawiły, że wokół Łokietka zaczęło się skupiać coraz liczniejsze grono dostojników świeckich i duchownych dążących do odnowienia królestwa. Szczególna rola przypadła w udziale arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Janisławowi, który przez rok przebywał na awinioński dworze papieża Jana XXII, by wyjednać koronę królewską dla księcia Władysława. Zabiegi te okazały się skuteczne, a Janisław dostąpił zaszczytu przewodniczenia uroczystej ceremonii koronacyjnej króla Władysława, przeprowadzonej 20 stycznia 1320 r. Po raz pierwszy w dziejach koronacja królewska miała miejsce w katedrze na Wawelu. Akt ten ugruntował pozycję Krakowa jako nowej stolicy Polski.

W zasobie Archiwum Głównego Akt Dawnych znajduje się kilkanaście dokumentów pergaminowych wystawionych przez Władysława Łokietka. Uwagę zwraca jego tytulatura nawiązująca do władztwa terytorialnego, nad jakim panował w danym okresie. W 1291 r. Władysław, jako książę sandomierski, kujawski i sieradzki, nadał komesowi Klemensowi wieś Zasów. Cztery lata później Łokietek był już tylko księciem kujawskim i sieradzkim, zatwierdzając w 1295 r. układ w sprawie lasu kościoła w Pajęcznie. W 1298 r. wystawił dla klasztorów cystersów w Lądzie i Sulejowie cztery dokumenty, w których nazwał się księciem Królestwa Polskiego oraz panem Pomorza, Kujaw, Łęczycy i Sieradza. Nieco innej tytulatury Łokietek użył w dokumentach z 1314 i 1318 r. Wyraźnie zaznaczył w niej swe dążenia do koronacji królewskiej, nazywając się dziedzicem Królestwa Polskiego. Tytuł ten uzupełnił godnością księcia krakowskiego, czym wyraził swe prawa do dzielnicy senioralnej. Po koronacji królewskiej Władysław tytułował się już z Bożej łaski królem Polski, z dodaniem terytoriów znajdujących się w jego władaniu, a więc ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej i Kujaw. Z królewskiego okresu panowania Łokietka w AGAD zachowały się dokumenty dla klasztorów benedyktynów w Sieciechowie (1320 r.) i cystersów w Koronowie (1325 r.) oraz dokument lokacyjny z 1327 r.

Królewska koronacja Władysława Łokietka z 1320 r. była zwieńczeniem jego kilkudziesięcioletnich starań o zjednoczenie Polski. Proces przyłączania pozostałych dzielnic był jednak długotrwały i przebiegał jeszcze przez dwa stulecia.



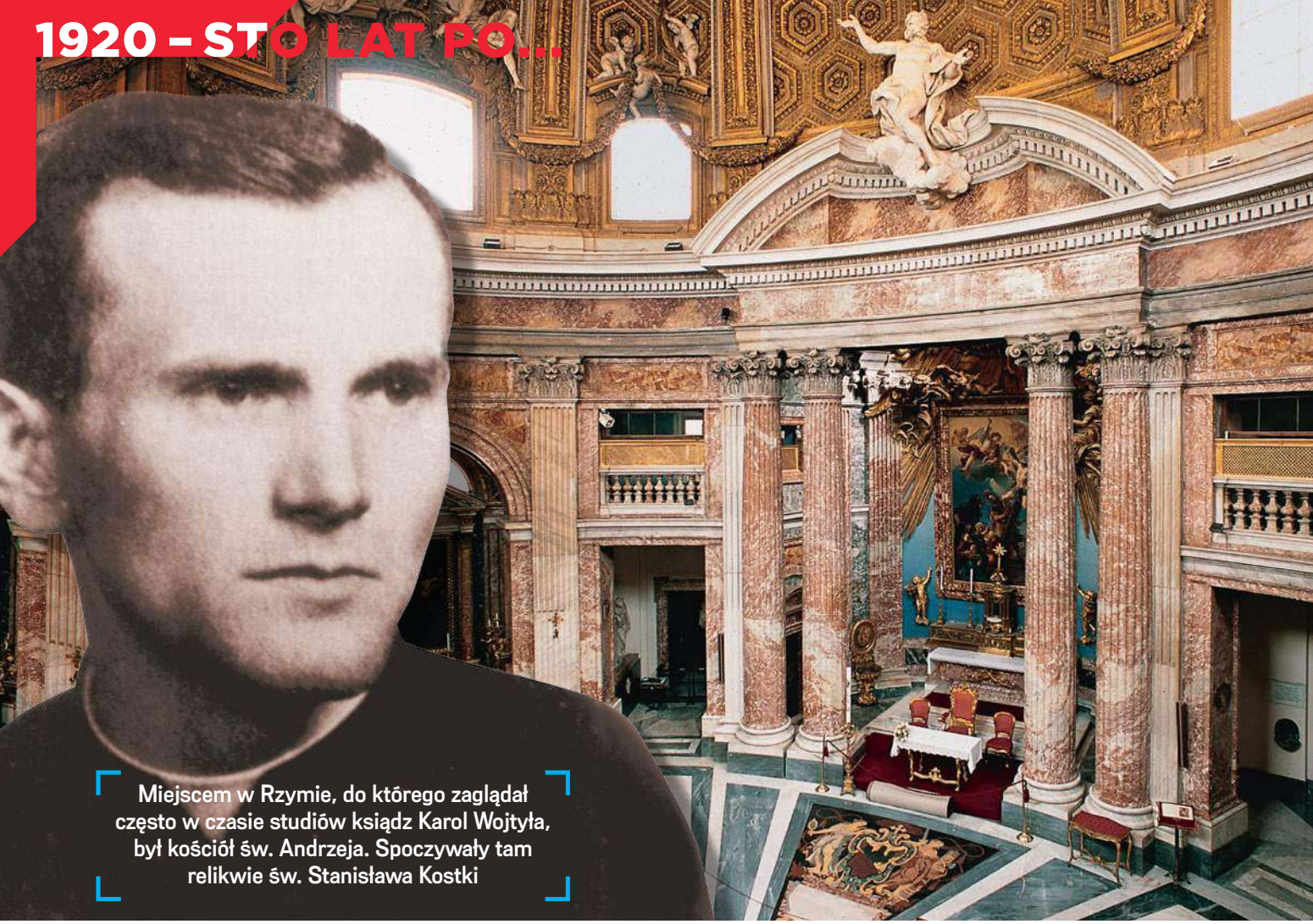
Król Władysław zamienia z klasztorem benedyktynów w Sieciechowie kościół św. Idziego w Krakowie na kościół św. Andrzeja w Krakowie (1320 r.)



Władysław, książę krakowski i dziedzic Królestwa Polskiego, potwierdza nadanie dla biskupa kujawskiego Gerwarda (1318 r.)

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Miejscem w Rzymie, do którego zaglądał często w czasie studiów ksiądz Karol Wojtyła, był kościół św. Andrzeja. Spoczywały tam relikwie św. Stanisława Kostki

UCZENIE SIĘ EUROPY. KAROL WOJTYŁA NA RZYMSKICH STUDIACH

KAROL WOJTYŁA Z RZYMSKICH STUDIÓW I POBYTU W ZACHODNIEJ EUROPIE PRZYWIÓZŁ NIE TYLKO POGŁĘBIONE WYKSZTAŁCENIE TEOLOGICZNE, LECZ RÓWNIEŻ UGRUNTOWANIE SWOJEGO KAPŁAŃSTWA I WPISANIE GO W UNIWERSALNY, EUROPEJSKI WYMIAR. POD KONIEC ŻYCIA OKREŚLIŁ TEN OKRES JAKO „DECYDUJĄCE DOŚWIADCZENIE" W FORMOWANIU SIĘ JEGO WIZJI KOŚCIOŁA I KAPŁAŃSTWA

FOT. EAST NEWS/@ELECTA/LEEMAGE; EAST NEWS/WOJTEK LASKI

eprasa.pl 37b1e8a2c0



KAROL KALINOWSKI

W latach 1946–1948 młody ksiądz Karol Wojtyła studiował w Rzymie i poznawał zachodnią Europę. Dzięki mądrości swojego mentora kard. Adama Stefana Sapiehy, który go tam wysłał, przyszły papież mógł pogłębić swoją formację kapłańską i doświadczyć powszechności Kościoła. Miał też okazję, aby przemyśleć odpowiedź, jakiej powinien udzielić katolicyzm na wyzwania postawione mu na Zachodzie przez procesy sekularyzacyjne, a na Wschodzie przez komunistyczny totalitaryzm.

Pierwszy raz za granicą

1 listopada 1946 r. Wojtyła przyjął święcenia prezbiteratu z rąk kard. Sapiehy w kaplicy pałacu arcybiskupów krakowskich. Dzień później, w krypcie św. Leonarda na Wawelu, w otoczeniu grobów królów i wieszczów, odprawił swoją mszę prymicyjną. Kardynał przyspieszył datę święceń kapłańskich o pół roku, ponieważ postanowił wysłać swojego wychowanka do Rzymu na dalsze studia teologiczne, które miały się zakończyć doktoratem. Książę Niezłomny był przekonany, że wychowanie dobrze wykształconych i aktywnych społecznie kapłanów jest niezbędne dla Kościoła w Polsce, aby sprostać wyzwaniom nowej, komunistycznej rzeczywistości. Wysyłając zdolnego księdza do Europy Zachodniej, dawał mu możliwość nie tylko rozwoju naukowego i duchowego, lecz usuwał go także z pola widzenia bezpieki, w której aktach nazwisko Wojtyły pojawiło się po raz pierwszy właśnie w tym roku.

W swoją pierwszą zagraniczną podróż ks. Karol wyruszył w towarzystwie dwa lata młodszego przyjaciela Stanisława Starowieyskiego. Ten młody alumn miał odbyć w Rzymie całe studia teologiczne potrzebne do otrzymania święceń kapłańskich. Ich bliska relacja będzie trwać nie tylko podczas wspólnego pobytu na obczyźnie, lecz również w kolejnych latach. Gdy władze komunistyczne odmówiły zgody na powrót Starowieyskiego do kraju, udał się on na misję do Brazylii (zmarł tam w 1986 r.). Do końca życia podtrzymywał korespondencję z Wojtyłą i spotykał się z nim w czasie papieskich pielgrzymek do Ameryki Południowej.

W stolicy chrześcijaństwa Karol Wojtyła podjął studia na dominikańskim Papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza z Akwinu, znanym powszechnie jako Angelicum i uważanym za jeden z najlepszych w katolickim świecie. Zgodnie z życzeniem Sapiehy zamieszkał w Kolegium Belgijskim na wzgórzu Kwirynał. Rektorem był tam Maximilien de Furstenberg, późniejszy kardynał, który w czasie październikowego konklawe w 1978 r. będzie wspierał wybór Wojtyły. Warto wspomnieć, że lokum udało się uzyskać m.in. dzięki pomocy prymasa Polski Augusta Hlonda, który akurat wtedy przebywał w Rzymie. Doszło wówczas do jedynego w historii spotkania pomiędzy Hlondem a Wojtyłą, a stary kardynał zaskoczył neoprezbitera swoją otwartością i życzliwością.

Poznawanie Rzymu i Włoch

Ks. Karol Kozłowski, rektor seminarium w Krakowie, jeszcze przed wyjazdem Wojtyły powtarzał mu, że równie ważne jak praca naukowa powinno być dla niego „uczenie się samego Rzymu". Nasz bohater wziął sobie radę do serca i systematycznie poznawał Wieczne Miasto, począwszy od katakumb, a skończywszy na Watykanie. Tam, razem z innymi kolegami z Kolegium Belgijskiego, był przyjęty na specjalnej audiencji przez papieża Piusa XII.

Miejscem, do którego młody polski ksiądz często zaglądał, był kościół św. Andrzeja na Kwirynale. Spoczywały tam relikwie św. Stanisława Kostki, który zmarł w przylegającym do świątyni jezuickim nowicjacie. Wojtyłę uderzyło, że grób jednego z patronów Polski odwiedzało wielu niemieckich seminarzystów studiujących w Collegium Germanicum. W swojej wspomnieniowej książce „Dar i Tajemnica" zapisał: „W sercu chrześcijaństwa i w świetle tradycji świętych spotykały się narody i wznoszą się ponad tragedię wojny, która nas głęboko doświadczyła, stawały się jakby zaczątkiem zjednoczonego świata".

Gdy mieli wakacje czy wolne dni, ks. Karol razem ze Stanisławem Starowieyskim zwiedzali Italię. Odwiedzili wiele pięknych miast – Wenecję, Sienę, Florencję, Neapol – oraz miejsc ważnych dla dziejów Kościoła. Podążając śladami św. Franciszka, zobaczyli Asyż. Byli też w kolebce zakonu benedyktynów w Subiaco. Zachwycony tam atmosferą klasztoru położonego wśród skał Wojtyła wyznał przyjacielowi: „Trzeba tak sobie życie urządzić, żeby wszystko Boga chwaliło, a mnisi to umieją".

W San Giovanni Rotondo poznał słynnego stygmatyka o. Pio. Według legendy włoski kapucyn miał przepowiedzieć młodemu księdzu z Polski, że w przyszłości zostanie papieżem. Na pewno Wojtyła wyspowiadał się u o. Pio i wziął udział w odprawianej przezeń mszy św. Podczas niej stygmatyk wyglądał, jakby cierpiał fizycznie, co na Polaku zrobiło wielkie wrażenie. Jako Jan Paweł II beatyfikuje i kanonizuje o. Pio, odpowiednio w latach 1999 i 2002.

Perspektywa europejska

Podczas letnich wakacji akademickich 1947 r. nasz bohater miał sposobność odwiedzić Francję, Belgię i Holandię oraz zdobyć nowe, bezcenne doświadczenia duszpasterskie. Pieniądze na tę wyprawę dostarczył kard. Sapieha. Pobyt w tych krajach ułatwiły także kontakty zdobyte w Kolegium Belgijskim.

Najpierw we Francji miał Wojtyła szansę poznać w Paryżu i Marsylii awangardowe metody duszpasterstwa. Odwiedził misyjne parafie na robotniczych przedmieściach tych metropolii, by z bliska zapoznać się z wysiłkami księży-robotników w ewangelizowaniu zdechrystianizowanego proletariatu. W Marsylii poznał dominikanina Jacques'a Loewa, prekursora tego ruchu. Zwiedzając Paryż, zaskoczył Starowieyskiego wyznaniem, że zatłoczone metro jest wspaniałym miejscem do prowadzenia życia wewnętrznego poprzez kontemplację.

Wrzesień spędził jako duszpasterz polskiej misji katolickiej w Belgii, nieopodal Charleroi. Posługiwał tam górnikom i ich rodzinom, odprawiając mszę św., spowiadając i katechizując. Odwiedzał domy polskich emigrantów, spotykał się z dziećmi i młodzieżą. Wszędzie doświadczał wiele serdeczności, którą porównał do życzliwości, jakiej doznał od środowiska robotniczego, pracując w Solvayu podczas okupacji. Właśnie w Belgii był także pierwszy raz w życiu w kopalni węgla kamiennego, gdzie mógł się zapoznać z ciężką pracą górników. Podczas dziesięciodniowego pobytu w Holandii uderzyła Wojtyłę mocna struktura tamtejszego Kościoła, opierająca się m.in. na prężnych i żywotnych wspólnotach katolickich.

Wracając do Rzymu, udało się ks. Karolowi odwiedzić małe francuskie »

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» miasteczko Ars, gdzie w XIX w. działał i zmarł św. Jan Maria Vianney, patron proboszczów katolickich. W niewielkim kościółku głosił kazania, katechizował i spowiadał nawet 18 godzin dziennie. Wojtyła, który od lat był pod urokiem postaci Proboszcza z Ars, wyjeżdżał stamtąd z mocnym postanowieniem pozostania „więźniem konfesjonału". Był przekonany, że w ten sposób realizuje zasadniczą część swojego kapłańskiego posłannictwa.

Wyzwanie dla Kościoła

Te doświadczenia duszpasterskie oraz poznane w tak namacalny sposób problemy zachodnioeuropejskiego Kościoła Karol Wojtyła po latach opisze jako przeżycie „niezwykle ważne". Stwierdził, że „z różnych stron odsłaniała mi się coraz bardziej Europa Zachodnia, Europa powojenna, Europa wspaniałych gotyckich katedr, a równocześnie Europa zagrożona procesem sekularyzacji. Dostrzegałem wyzwanie, jakie ta sytuacja stanowiła dla Kościoła, a także potrzebę wyjścia na spotkanie tego zagrożenia przez odpowiednie formy duszpasterstwa, otwarte na większą obecność świeckich".

Jedną z prób zaradzenia postępującej laicyzacji zachodniej części Starego Kontynentu było powstanie ruchu chrześcijańskiej młodzieży robotniczej (Jeunesse Ouvrière Chrétienne), będącego próbą ewangelizowania w miejscu pracy. JOC założył jeszcze przed wojną belgijski ks. Josef Cardijn. Wojtyła poznał go w czasie jednego ze spotkań ze studentami w Kolegium Belgijskim. Wprowadzał on kolejne pokolenie duchownych w szczególne doświadczenie ludzi pracy fizycznej. Młody ksiądz z Polski był do tego w pewnej mierze przygotowany z uwagi na swoją pracę w trakcie niemieckiej okupacji w kamieniołomach i oczyszczalni wody w krakowskiej fabryce Solvay. Jednak dzięki pobytowi na Zachodzie miał sposobność lepszego zrozumienia głębokiej więzi, jaka zachodzi pomiędzy kapłaństwem a apostolstwem ludzi świeckich.

Wszystkie te doświadczenia i przemyślenia zaowocują po powrocie do Polski napisaniem przez Wojtyłę pierwszego w życiu artykułu do „Tygodnika Powszechnego". W tekście „Mission de France" („Misja Francji") w rzeczowy sposób analizuje problematykę rozwijającego się wtedy na Zachodzie duszpasterstwa, którą zgłębił także poprzez wiele lektur. Jedną z nich była sławna wówczas książka: „France, pays de mission?" („Francja krajem misyjnym?") księży Henriego Godina i Yvana Daniela. To swoisty raport o dechrystianizacji Francji, który swoimi gorzkimi wnioskami wywołać miał łzy u kardynała Emmanuela Suharda, arcybiskupa Paryża.

Odpowiedzią Kościoła było powstanie specjalnego seminarium duchownego Mission de France, kształcącego księży, którzy następnie prowadzili misyjne parafie na peryferiach wielkich aglomeracji, pośród niewierzącego proletariatu. Jedną z takich wspólnot, prowadzoną w Paryżu przez ks. Georges'a Michonneau, Wojtyła miał okazję odwiedzić. Duchowni w takiej parafii, żyjąc w duchu ubóstwa, oprócz posługi duszpasterskiej podejmowali także pracę w zakładach przemysłowych. Dzieląc trudy codzienności z robotnikami, mieli nadzieję, że w ten sposób łatwiej dotrą do nich z orędziem ewangelicznym. Ks. Karol, nie przesądzając, czy ta droga apostołowania jest słuszna, nie miał wątpliwości, że jej powstanie jest inspirowane Duchem Bożym, ukazującym coraz nowe ścieżki ewangelizacji.

WOJTYŁĘ UDERZYŁO, ŻE GRÓB PATRONA POLSKI ODWIEDZAŁO WIELU NIEMIECKICH SEMINARZYSTÓW

Zafascynowany, co było dość typowe dla ówczesnych Polaków, francuskim katolicyzmem nie miał wątpliwości, że te działania zmienią cały Kościół katolicki. Pisał, że „wytwarza się pewien styl, pewien sposób myślenia i ujmowania zagadnień i posłannictw. Powstające tu kierunki zdają się rozrastać w nową szkołę, w pewną szkołę apostolstwa. Szkoła ta jest – jak bywały wszystkie nowe prądy w Kościele – wysiłkiem, by wrócić do prostoty Ewangelii, do jej źródła i żarliwości".

Doktor teologii

W czerwcu 1948 r. naszedł czas zakończenia prawie dwuletnich zagranicznych studiów. Ks. Wojtyła obronił na Angelicum doktorat z teologii. Dysertacja była zatytułowana „Zagadnienie wiary u św. Jana od Krzyża" i została napisana w całości po łacinie. Szkicować zaczął ją jeszcze w Krakowie, nawiązując zresztą do tematu pracy magisterskiej, którą też poświęcił pewnym aspektom myśli św. Jana od Krzyża. Żeby czytać teksty karmelitańskiego mistyka w oryginale, przyszły papież nauczył się języka hiszpańskiego. Fascynacje św. Janem od Krzyża zawdzięczał Janowi Tyranowskiemu, swojemu kierownikowi duchownemu z lat wojny. Notabene ciężko chory Tyranowski zmarł w 1947 r., gdy Wojtyła był w Rzymie, co uniemożliwiło mu wzięcie udziału w pogrzebie krakowskiego mistyka.

Promotorem pracy doktorskiej Wojtyły był francuski dominikanin Reginald Garrigou-Lagrange, uważany za jednego z najznakomitszych teologów XX w. Był on wybitnym neotomistą o nastawieniu tradycjonalistycznym, zainteresowanym tradycją mistyczną. Obie wielkie postacie Kościoła rozumiały nieco inaczej św. Jana od Krzyża. Dla Francuza był on spekulatywnym teologiem, którego naukę o wierze należało pogodzić z doktryną Kościoła, pod którą podwaliny położył św. Tomasz z Akwinu. Dla Polaka pisma św. Jana od Krzyża szkicowały mapę doświadczenia mistycznego. Napięcie pomiędzy tymi podejściami widoczne w doktoracie Wojtyły było jednym z dowodów na to, że młody ksiądz już wtedy wykraczał poza intelektualne kategorie panujące na Angelicum. Rygorystyczny tomizm, który poznał w krakowskim seminarium i na rzymskim uniwersytecie, stał się dla niego fundamentem, na którym można było wznosić własną syntezę, twórczo i krytycznie rozwijać wielką tradycję teologiczną.

Praca została oceniona wysoko i rzymskie studia Wojtyła skończył z dyplomem summa cum laude. Pomimo tych sukcesów nie dostał formalnego stopnia doktorskiego na Angelicum, gdyż przepisy wymagały, by rozprawa została wcześniej opublikowana. Ubogiego księdza z Polski nie było na to stać. Po powrocie do kraju zatem przedstawił ponownie dysertację na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ten po rozpatrzeniu sprawy w grudniu 1948 r. przyznał mu stopień doktora teologii.

A do Rzymu wróci, już na stałe, niemal równo po 30 latach, jako Jan Paweł II.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



GRZEGORZ GÓRNY

Wojna Karola Wojtyły

Wiele napisano o roli Jana Pawła II w obaleniu komunizmu. Znacznie mniej jednak wiadomo o jego osobistych zmaganiach z drugim systemem totalitarnym, mianowicie narodowym socjalizmem, który podczas II wojny światowej szalał w okupowanej przez Niemców Polsce.

Okres ten przypadł na lata intensywnej formacji intelektualnej i dojrzewania duchowego Karola Wojtyły. Młody wadowiczanin w chwili wybuchu wojny miał lat 19, w momencie jej zakończenia – 25. W jego życiu była to jednak cała epoka. W tym czasie najważniejsze problemy dotyczące ojczyzny, kultury i wiary stały się dla niego sprawami życia i śmierci – i to nie w przenośnym, ale najbardziej dosłownym znaczeniu. Gotów był za nie zapłacić najwyższą cenę, co udowadniał swymi codziennymi wyborami.

Odpowiedzią Polaków na zaprowadzone przez Niemców rządy terroru było tworzenie struktur państwa podziemnego oraz nielegalnych organizacji antynazistowskich. Za udział w konspiracji groziły najwyższe kary, łącznie z wyrokami śmierci, których niemieccy okupanci nie żałowali podbitemu narodowi Untermenschów. Mimo to młody Karol Wojtyła został członkiem podziemnej organizacji o nazwie Unia.

Miłość do ojczyzny okazała się silniejsza niż groźba śmierci.

Podczas niemieckiej okupacji działalnością konspiracyjną, za którą groziła kara śmierci, było także kształcenie. Naród niewolników, pozbawiony szkół wyższych i średnich, miał prawo tylko do czterech klas podstawowych, w których uczono jedynie pisania, czytania i najprostszych rachunków. Mimo to Polacy organizowali tzw. komplety, czyli nielegalne wykłady prowadzone w prywatnych mieszkaniach przez profesorów. Jednym ze studentów pobierających takie konspiracyjne nauki był Karol Wojtyła.

Głód wiedzy okazał się silniejszy niż groźba śmierci.

Młodzieniec zaangażował się także w inną zakazaną działalność, surowo karaną przez Niemców, czyli grę aktorską w podziemnym Teatrze Rapsodycznym, który wystawiał swoje przedstawienia w prywatnych domach.

Pragnienie obcowania ze sztuką było silniejsze niż groźba śmierci.



Podczas II wojny światowej, od 11 października 1940 do 1944 r., Karol Wojtyła pracował jako robotnik w Fabryce Sody Solvay w Krakowie

FOT. PAP/REPRODUKCJA

W czasie wojny Karol Wojtyła rozpoczął też studia w nielegalnym seminarium duchownym w Krakowie, za co mógł zostać aresztowany przez gestapo i zamordowany – tak jak jego przyjaciel, inny konspiracyjny kleryk, Jerzy Zachuta.

Oddanie się Bogu było jednak silniejsze niż groźba śmierci.

Dlatego po latach w książce „Dar i tajemnica" Jan Paweł II zastanawiał się: „W tym wielkim i straszliwym theatrum drugiej wojny światowej wiele zostało mi oszczędzone. Przecież każdego dnia mogłem zostać wzięty z ulicy, z kamieniołomu czy z fabryki i wywieziony do obozu. Nieraz nawet zapytywałem samego siebie: tylu moich rówieśników ginęło, a dlaczego nie ja? Dziś wiem, że nie był to przypadek".

Nauka, którą wyniósł Karol Wojtyła z tamtych lat, dotyczyła potęgi ducha, której wyrazem jest nie tylko wiara, lecz także kultura. Tak mówił o tym w 1980 r. w siedzibie UNESCO w Paryżu: „Jestem synem narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, którego wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu, i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako naród – nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku potęgą większą od tamtych potęg".

Doświadczenie II wojny światowej, które ukształtowało Karola Wojtyłę, było udziałem nie tylko jego, lecz także ówczesnego pokolenia polskiej młodzieży. Całą rzeszą młodych ludzi kierowała motywacja wyższa niż tylko chęć przetrwania. Swym osobistym zaangażowaniem dowodzili, że są rzeczy, za które warto oddać życie. Ta generacja wystawia wymowne świadectwo II Rzeczypospolitej – młodemu państwu, wziętemu w śmiercionośne kleszcze przez dwa totalitaryzmy napędzane nienawiścią, z jednej strony – rasową, a z drugiej – klasową. Jej najlepsi synowie w chwili próby zdali egzamin. Jan Paweł II jest jednym z niezliczonej liczby tego przykładów.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Marzec



MICHAŁ KOMUDA

6 III 1917

Przyszedł na świat jeden z najważniejszych dowódców polskiego podziemia niepodległościowego na Lubelszczyźnie, mjr Marian Bernaciak „Orlik". Walkę kontynuował od wojny obronnej we wrześniu 1939 r. aż do swojej śmierci podczas potyczki z komunistycznymi oddziałami 24 czerwca 1946 r. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.



8 III 1440

Król Polski, Władysław III, zwany pośmiertnie Warneńczykiem, przyjął ofiarowaną mu przez madziarskie poselstwo koronę Węgier. Ponad cztery miesiące później po koronacji w Székesfehérvárze przyjął imię Ulászló I, a Jagiellonowie stali się jedną z najpotężniejszych dynastii ówczesnej Europy.

10 III 1920

Sto lat temu głównodowodzący Armii Czerwonej Siergiej Kamieniew zatwierdził plan uderzenia na państwa Europy Zachodniej przez terytorium odrodzonej Polski.



11 III 1990

Litwa, jako pierwsza z republik radzieckich, proklamowała swoją niepodległość. Akt ten przez ponad półtora roku nie był uznawany przez Związek Sowiecki, który wprowadził sankcje, a w styczniu 1991 r. podjął nieudaną próbę siłowego przywrócenia swojej zwierzchności.

16 III 1935

Kierowane przez kanclerza Adolfa Hitlera Niemcy wprowadziły powszechną służbę wojskową, powołując do życia Wehrmacht. Akt ten był jednostronnym zerwaniem postanowień traktatu wersalskiego i rozpoczęciem jawnej budowy niemieckiej potęgi militarnej.

26 III 1885

W ramach antypolskiej polityki kanclerza Ottona von Bismarcka wydano rozporządzenie nakazujące usunięcie z Cesarstwa Niemieckiego Polaków przybyłych z zaboru rosyjskiego, a następnie również austriackiego. Brutalnie wykonywana akcja wysiedleńcza przeszła do historii jako rugi pruskie.



28 III 1896

W Oroszi urodził się węgierski polityk i prawnik Józef Antall senior, zwany „Ojcem Polaków". Pełniąc podczas II wojny światowej funkcję komisarza rządowego do spraw uchodźców, zapisał się jako wielki przyjaciel i opiekun naszych rodaków, którzy znaleźli schronienie na Węgrzech.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Gen. August Emil Fieldorf z rodziną

20 III 1895

W Krakowie urodził się jeden z niekwestionowanie najznamienitszych polskich dowódców XX w., gen. August Emil Fieldorf „Nil". Jego życiorys do dziś stanowi wzór cnót oraz przestrogę przed tym, czym był komunistyczny reżim.

Młodzieńcze lata przyszłej legendy podziemia związane były ze „Strzelcem". Dzięki temu już 6 sierpnia 1914 r. znalazł się w szeregach Pierwszej Kompanii Kadrowej pod rozkazami Józefa Piłsudskiego. Służba w Legionach, wypełniona udziałem w licznych bitwach, dowiodła ofiarności i niespotykanej odwagi Fieldorfa. W 1918 r., jako członek Polskiej Organizacji Wojskowej, miał szczęście wyzwalać swoje rodzinne miasto. Świeżo wywalczonej wolności bronił w kolejnych bataliach wojny polsko-bolszewickiej. W okresie międzywojennym awansował, jednocześnie zyskując szacunek podwładnych. Tragicznego września 1939 r. dowodził 51. Pułkiem Piechoty Strzelców Kresowych. Mimo pogarszającej się sytuacji był przeciwnikiem składania broni i zdołał przebić się z okrążenia. Przedostał się do Francji. Niedługo po przeniesieniu władz do Anglii wyruszył z misją do kraju. Z końcem 1942 r. jako płk „Nil" stanął na czele kierownictwa dywersji Komendy Głównej AK, z którego uczynił miecz karzący okupowanej Polski. Ponad rok później powierzono mu najtrudniejszą funkcję, utworzenia głęboko zakonspirowanej organizacji „NIE". Niedługo po przejściu frontu został aresztowany przez Sowietów, jednak pomimo zsyłki na Ural NKWD nie odkryło jego prawdziwych personaliów. Jesienią 1947 r. powrócił do ojczyzny i skorzystał z amnestii. Mimo to podstępnie go zaaresztowano. Odmówił współpracy i po ponaddwuletnim śledztwie oraz procesie generał został 24 lutego 1953 r. stracony przez powieszenie. Komunistyczny sąd „nie znalazł żadnych okoliczności" łagodzących dla dowódcy, który został odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych i dwukrotnie Orderem Virtuti Militari.

27 III 1945

Grupa 48 żołnierzy Armii Krajowej dokonała śmiałej ucieczki z silnie strzeżonego obozu NKWD w Skrobowie. Na wolności większość z nich postanowiła kontynuować walkę o niepodległość kraju pod rozkazami mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika".

W listopadzie 1944 r. komunistyczne władze wojskowe utworzyły w Skrobowie na Lubelszczyźnie miejsce odosobnienia dla żołnierzy 1. i 2. Armii Wojska Polskiego wywodzących się z szeregów podziemia antyniemieckiego. W powstałym w ten sposób I Specjalnym Obozie Zarządu Informacji Naczelnego Dowództwa WP uwięziono ok. 500 niewinnych ludzi walczących wcześniej w AK, Batalionach Chłopskich, a nawet w zgrupowaniu podporządkowanym partyzantce sowieckiej. Obiekt otoczono ogrodzeniem z drutu kolczastego, wzmocnionym wieżami z gniazdami karabinów maszynowych. Internowani zostali osadzeni w murowanym budynku dawnego internatu. Gmach od reszty terenu obozowego oddzielały kolejne dwa rzędy ogrodzenia z drutu kolczastego i drewniany płot, mający uniemożliwić kontakt wzrokowy z otoczeniem. Obozu strzegło ponad tysiąc żołnierzy, głównie sowieckich, noszących jednak polskie mundury. Dodatkowo strażnicy oraz okoliczni mieszkańcy zostali poinformowani, że więźniami są esesmani i folksdojcze. Mimo niewielkich szans na powodzenie akcji wczesną wiosną 1945 r. głównie niżsi stopniem żołnierze zaczęli opracowywać plan ucieczki. Ich przywódcą został oficer 30. Poleskiej Dywizji AK, por. Piotr Mierzwiński „Wierny". Przygotowania zintensyfikowały doniesienia o tym, że internowani mają zostać wkrótce wywiezieni w głąb Związku Sowieckiego. W planie ucieczki postanowiono wykorzystać to, że więźniowie byli angażowani do prac gospodarczych prowadzonych poza więziennym budynkiem, w części obozu otoczonej tylko jedną linią ogrodzenia. Ostatecznie, gdy na 27 marca władze obozowe nakazały wyznaczenie większych niż zwykle zespołów do prac, przystąpiono do akcji. Około godz. 11, po potwierdzeniu gotowości konspiratorów ze wszystkich grup pracowniczych, kpr. Zdzisław Jarosz „Czarny" obezwładnił pierwszego z wartowników, odbierając mu pistolet maszynowy. W ślad za nim błyskawicznie ruszyli kolejni. Dzięki elementowi zaskoczenia konspiratorzy pokonali wartę, następnie zdobyli koszary, a wraz z nimi znaczną ilość broni. W tym czasie załoga obozu zaczęła jednak prowadzić coraz celniejszy ogień. Wówczas więźniowie sforsowali bramę i rozpoczęli ucieczkę. Moment ten opisał jeden z uczestników akcji Jerzy Ślaski „Nieczuja": „Biegliśmy w stronę oddalonego o trzy i pół kilometra skraju Lasów Kozłowieckich. [...] Pierwszy odcinek, liczący kilkaset metrów, był najcięższy. Piął się pod górę, a na dodatek – ze względu na grząski grunt – nie mogliśmy rozwinąć się w tyralierę, lecz musieliśmy biegnąć dwiema miedzami. Celowniczowie kaemów, prowadzących ogień z obozu, bili więc do nas, jak do ruchomej tarczy strzelniczej". Osiągnięcie linii lasu oznaczało jednak zaledwie początek morderczej, kilkudniowej ucieczki przed grupami pościgowymi. Dopiero po pokonaniu kilkudziesięciu kilometrów i przeprawieniu się przez rozlewiska rzek Mininy oraz Wieprza większość uciekinierów przedarła się na upragnione tereny, kontrolowane przez oddział mjr. „Orlika".



Żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; SHUTTERSTOCK (2X); FRATRIA

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Kwiecień



1 IV 1750 Na terenie dzisiejszej Ukrainy urodził się polski kanonik, publicysta i rektor Szkoły Głównej Koronnej, Hugo Kołłątaj. Jako reformator współpracował z Komisją Edukacji Narodowej, przyczyniając się do odnowy szkolnictwa. Był też jednym z architektów Konstytucji 3 maja oraz redaktorów tekstu „Uniwersału połanieckiego".

3 IV 1940 80 lat temu z obozu jenieckiego w Kozielsku, a następnie z Ostaszkowa i Starobielska, wyruszyły pierwsze transporty śmierci. Wymordowani polscy jeńcy osierocili dziesiątki tysięcy rodzin.



6 IV 1807 Napoleon Bonaparte wydał dekret o utworzeniu legendarnego 1. Pułku Szwoleżerów Gwardii Cesarskiej, którym dowodził płk Wincenty Krasiński. Służący w oddziale polscy jeźdźcy okazali się najwierniejszymi z wiernych, a swojej bitności i oddania dowiedli m.in. pod Somosierrą, Wagram, w trakcie kampanii moskiewskiej oraz w ostatniej bitwie cesarza pod Waterloo.

7 IV 1340 W wyniku otrucia zmarł syn księcia mazowieckiego Trojdena, książę halicko-włodzimierski Bolesław Jerzy II. Zgodnie z zawartą wcześniej umową, w następstwie jego bezpotomnej śmierci król Kazimierz Wielki wyprawił się na Lwów, rozpoczynając proces przyłączenia miasta do Polski.

10 IV 1831 W trakcie pomyślnej polskiej kontrofensywy wojska gen. Ignacego Prądzyńskiego zadały pod Iganiami potężne straty rosyjskiemu korpusowi gen. Grigorija Rosena. Niestety w wyniku pasywnej postawy naczelnego wodza gen. Jana Skrzyneckiego po sukcesie tym dalsze działania zaczepne zostały wstrzymane, marnując dotychczasowy wysiłek.



13 IV 1945 Po zdezerterowaniu z nowotarskiego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Józef Kuraś „Ogień" zorganizował na pobliskim Kowańcu odprawę wiernych sobie ludzi. Wydarzenie to zapoczątkowało historię najpotężniejszego oddziału podziemia antykomunistycznego na Podhalu, liczącego kilkuset żołnierzy, długo niepokonanego Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica".

28 IV 1929 W Paryżu odsłonięto pomnik naszego wieszcza Adama Mickiewicza. Autorem monumentu był francuski rzeźbiarz Antoine Bourdelle.

30 IV 1950 W więzieniu w Rawiczu zmarł Kazimierz Pużak, przewodniczący Rady Jedności Narodowej. Po raz pierwszy został skazany w 1945 r. w moskiewskim procesie 16, po czym po powrocie do Polski został ponownie aresztowany i w 1948 r. skazany na 10 lat więzienia, którego już nigdy nie opuścił.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

9 IV 1940

III Rzesza rozpoczęła wojnę na północy Europy, atakując Danię i Norwegię. W walce przeciw nowej niemieckiej agresji, po raz pierwszy od przegranej w 1939 r., wzięły udział regularne oddziały Wojska Polskiego.

Niemcy po dokonaniu ze Związkiem Sowieckim rozbioru II Rzeczypospolitej, po kilkumiesięcznej przerwie w działaniach zbrojnych, postanowili uderzyć na kraje skandynawskie. Opanowanie Danii i Norwegii zabezpieczałoby III Rzeszę od północy, dawałoby kontrolę nad cieśninami prowadzącymi do Bałtyku, a także norweskimi portami oraz umożliwiałoby dostęp do Szwecji z jej złożami mineralnymi. Rozwojowi takiego scenariusza chcieli przeciwdziałać alianci, jednak Adolf Hitler okazał się szybszy i rankiem 9 kwietnia jego wojska wkroczyły na teren neutralnej Danii, zajmując ją w ciągu kilku godzin. Tego samego dnia niemieckie wojska dokonały desantu w norweskich portach oraz na lotniskach. Choć Norwegowie bronili swojego kraju, siły III Rzeszy błyskawicznie parły do przodu. Brytyjczycy i Francuzi rozpoczęli przygotowania do spóźnionej operacji. Dokonane na południu Norwegii alianckie desanty zakończyły się niepowodzeniem. Do bardziej zaciętych walk, trwających do 10 czerwca, doszło na północy kraju. Tam, u boku aliantów, działania prowadziło 4,8 tys. żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich gen. Zygmunta Szyszki-Bohusza, którzy zdobyli m.in. mający strategiczne znaczenie port Narwik. Ponadto w kampanii norweskiej wzięły udział polskie okręty podwodne, niszczyciele i przebudowane na transportowce transatlantyki. Wymowne stało się to, że pierwszego zatopienia statku transportującego żołnierzy Wehrmachtu mających zaatakować Norwegię ORP „Orzeł" dokonał dzień przed rozpoczęciem niemieckiej inwazji.

25 IV 1920

Sto lat temu Wojsko Polskie wspierane przez oddziały ukraińskie rozpoczęło ofensywę, która w krótkim czasie doprowadziła do wyswobodzenia z bolszewickich rąk Kijowa. Ten błyskotliwy sukces nie doprowadził jednak do realizacji najważniejszej części planu, jaką było pobicie armii wroga.

Po opanowaniu w drugiej połowie 1919 r. obszarów położonych na zachód od Berezyny polskie Naczelne Dowództwo postanowiło wiosną wznowić działania zaczepne. W ich ramach zaplanowano potężne uderzenie na nadal jeszcze osłabioną wojną domową Armię Czerwoną. Krok ten miał uprzedzić przygotowywaną przez bolszewików wielką ofensywę zmierzającą do pokonania Polski i rozprzestrzenienia rewolucji na zachód Europy. Wojsko Polskie nie mogło jednak udźwignąć ataku na całej szerokości frontu. Dlatego też rozważano ofensywę na kierunku północnym przeciw głównym siłom bolszewickim lub południowym, gdzie chciano utworzyć niepodległe państwo ukraińskie. Drugi ze scenariuszy, który ostatecznie wybrano, był bezpośrednią realizacją koncepcji federacyjnej, zakładającej odsunięcie sowieckiego zagrożenia poprzez budowę na wschodzie Polski bloku państw związanych sojuszem z Warszawą. Realizując ten cel, 21 kwietnia naczelnik państwa Józef Piłsudski doprowadził do podpisania umowy politycznej z rządem ukraińskim Semena Petlury, a trzy dni później – tajnej, skierowanej przeciw bolszewikom konwencji wojskowej. W jej myśl oddziały polskie wsparte przez nowego sojusznika miały rozbić dwie bolszewickie armie operujące na terenie Ukrainy, przekazać administrację wyzwolonych terenów w ręce Ukraińców, a następnie wycofać się i przejść do walki na północnym, bardziej zagrożonym kierunku. Rozpoczęta 25 kwietnia ofensywa szybko przyniosła pierwsze sukcesy. Już rankiem następnego dnia zdobyto Żytomierz, a naczelny wódz Józef Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców Ukrainy, w której deklarował, że wojska polskie: „Usuną z terenów przez naród ukraiński zamieszkałych obcych najeźdźców, przeciwko którym lud ukraiński powstawał z orężem w ręku [...]". Dzień później opanowano ważny ośrodek komunikacyjny, Koziatyn oraz Berdyczów, osiągając wszystkie wyznaczone cele. Jednocześnie zadano znaczne straty bolszewikom i rozdzielono ich front na dwie części. Nie zdołano jednak rozbić głównych sił wroga, które uchyliły się od walki. Ofensywa została wstrzymana i dopiero po doniesieniach polskiego wywiadu o tym, że Armia Czerwona postawi zdecydowany opór dopiero pod Kijowem, podjęto decyzję, aby w ramach nowego natarcia osiągnąć linię Dniepru i stoczyć bój o miasto. Zadanie to powierzono 3. Armii dowodzonej przez gen. Edwarda Rydza-Śmigłego. Ponownie wyprowadzono bardzo szybkie uderzenie, jednak 6 maja, wbrew oczekiwaniom, Józef Piłsudski informował gen. Kazimierza Sosnkowskiego: „Te bestie zamiast bronić Kijowa, uciekają stamtąd". Dzień później pierwsze oddziały jazdy 3. Armii wkroczyły do miasta. Jednak zwycięstwo to, choć głośne, miało być już niebawem przyćmione przez przygotowywaną na północy ofensywę Michaiła Tuchaczewskiego, ale także kontrofensywę nierozbitych na Ukrainie sił bolszewickich, wzmocnionych przez Armię Konną Siemiona Budionnego.



Defilada wojsk polskich przez ul. Wielką Włodzimierską, Kijów, 1920 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X); EAST NEWS/LASKI COLLECTION; IPN; MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

Opracował Michał Komuda

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Archiwum Akt Nowych

WACŁAW MICUTA „WACEK”



Wacław Micuta w okresie służby w wojsku

OFICER WOJSKA POLSKIEGO, DWUKROTNIE ODZNACZONY VIRTUTI MILITARI. PO WOJNIE JAKO PRZEDSTAWICIEL ONZ AKTYWNIE ZAJĄŁ SIĘ PRACĄ NA RZECZ LUDNOŚCI ZAMIESZKUJĄCEJ KRAJE NAJBIEDNIEJSZE I OGARNIĘTE KONFLIKTAMI ZBROJNYMI. WTEDY TEŻ PRZY KAŻDEJ OKAZJI STARAŁ SIĘ POMAGAĆ OJCZYŹNIE ORAZ POLSKIEJ EMIGRACJI





KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

Działalność Wacława Micuty na rzecz Trzeciego Świata jest w Polsce mało znana. Poświęcił jej połowę swojego życia, bardzo aktywnie działał również w czasie emerytury. A wszystko zaczęło się od znajomości z Gunnarem Myrdalem – sekretarzem Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ. Panowie poznali się w czasie wizyty Myrdala w Polsce w 1947 r. Parę miesięcy później Wacław Micuta przyjął propozycję pracy w EKG ONZ i wyjechał wraz z rodziną do Szwajcarii.

Praca urzędnika za biurkiem jednak mu nie wystarczała. Pragnął nieść realną pomoc, dlatego w 1960 r., jako ochotnik, wziął udział w misji pokojowej ONZ w ogarniętym wojną domową Kongu Belgijskim. W kolejnych latach powtórzył misje w Rwandzie i Burundi. Jako zastępca przedstawiciela Programu Rozwoju ONZ w Europie (dla krajów Europy Wschodniej) wystarał się dla Polski m.in. o fundusze na regulację koryta Wisły. W kolejnych latach zajmował się różnymi dziedzinami: jako przedstawiciel ONZ w Republice Czadu przeprowadzał akcję zalesiania pustynnego kraju, a jako wicedyrektor Departamentu Narkotyków przekonywał mieszkańców „Złotego Trójkąta” o opłacalności uprawy zastępczych płodów rolnych.

Po przejściu na emeryturę w 1976 r. nadal działał na rzecz Trzeciego Świata. Promował źródła energii odnawialnej – uczył produkcji pieców, palników, filtrów do wody. Był wiceprzewodniczącym Fundacji Bellerive, założonej przez byłego komisarza ONZ ds. uchodźców

FOT. AAN; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Saddrudina Aga-Khana, a w 1986 r. założył Instytut dla Rozwoju Energii Odtwarzalnych (REDI) w Genewie. W ramach tej organizacji przez lata jeździł z programem pomocy do Afryki, Azji i na Bałkany. Również w ścisłej współpracy z Międzynarodowym Komitetem Czerwonego Krzyża organizował masową produkcję wydajnych pieców.

Wielkie zaangażowanie w pracę społeczną nie dziwi, gdy poznamy wcześniejszą historię życia „Wacka" i jego służbę ojczyźnie. Wacław Micuta pochodził z rodziny kresowej (jego ojciec został



w młodości zesłany na Sybir za udział w pracy PPS na terenie Kowna). Po powrocie do kraju Micutowie osiedlili się w Poznaniu. Tam Wacław ukończył edukację podstawową oraz uniwersyteckie studia prawno-ekonomiczne. Jednocześnie pracował jako tłumacz oraz nauczyciel języka angielskiego w Bratniej Pomocy Akademii Handlowej, a także czynnie działał w harcerstwie. W czasie studiów uczestniczył w projektach badawczych w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Jego praca naukowa, która koncentrowała się w szczególności na zagadnieniu organizacji pracy oraz kierownictwa, była wielokrotnie nagradzana.

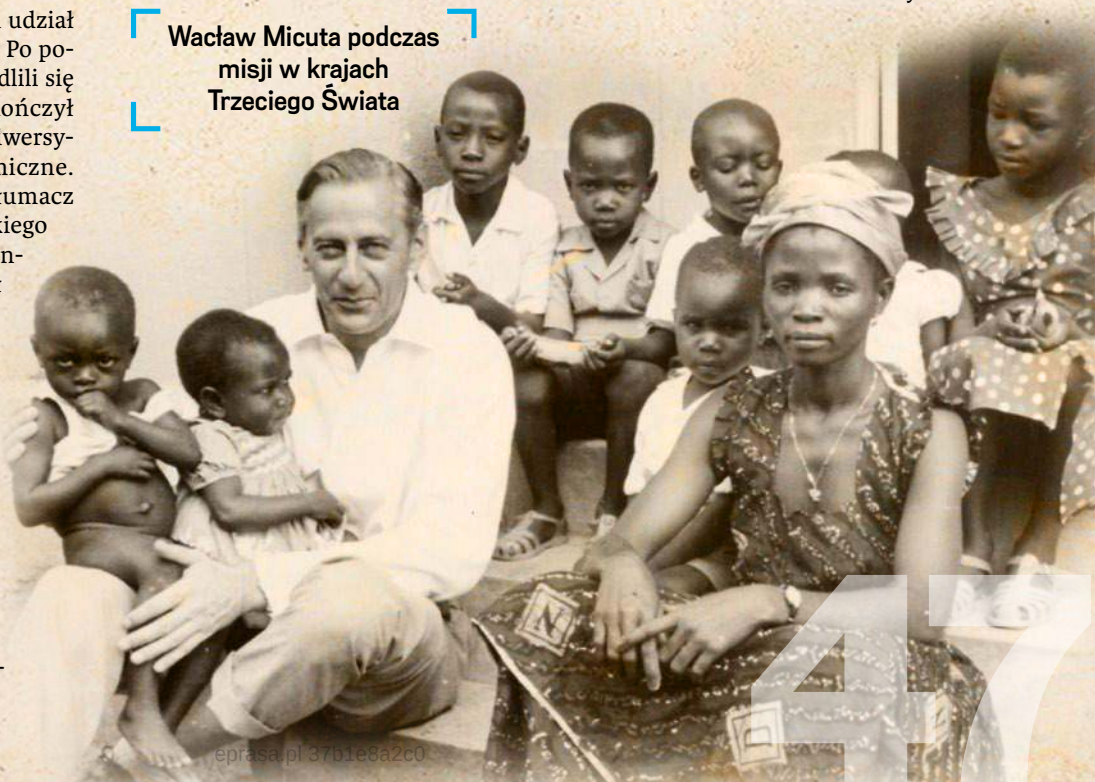
Po maturze ochotniczo zgłosił się do wojska i ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Podczas kampanii wrześniowej 1939 r. jako dowódca zwiadu 3. baterii 7. Dywizjonu Artylerii Konnej Wielkopolskiej Brygady Kawalerii brał udział w bitwie nad Bzurą. Podczas natarcia pod Laskami w Puszczy Kampinoskiej został ciężko ranny w rękę. W marcu 1940 r. znalazł się w obozie jenieckim w Ostrzeszowie, z którego po dwóch miesiącach udało mu się uciec i przedostać do Warszawy. Za pośrednictwem Jana Nowaka-Jeziorańskiego, którego znał jeszcze z okresu studiów, rozpoczął służbę w konspiracji – u Jana Włodarkiewicza w Tajnej Armii Polskiej. Jesienią został instruktorem Szarych Szeregów: prowadził ośrodki szkolenia motorowego, najpierw na terenie Warszawy, a następnie we Lwowie. W ramach tej akcji zostało przeszkolonych ok. 14 tys. młodych ludzi w całym kraju.

W lipcu 1942 r. został aresztowany przez gestapo. Po kilku miesiącach dzięki staraniom przyjaciół wyszedł z więzienia i kontynuował działalność konspiracyjną. Latem 1944 r. powrócił do Warszawy i został mianowany oficerem do specjalnych poruczeń dowódcy Harcerskiego Batalionu Szturmowego „Zośka", a w drugim dniu powstania został dowódcą plutonu pancernego „Zośki". W ramach działań plutonu brał udział w akcji zdobycia „Gęsiówki" i w walkach w obronie cmentarzy wolskich. Podczas starć na Starym Mieście został ranny, ale po krótkim pobycie w szpitalu powstańczym kontynuował walkę w rejonie Śródmieścia i Czerniakowa.

Wacław Micuta za udział w kampanii wrześniowej został odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari. Po raz drugi Krzyżem Virtuti Militari został uhonorowany po powstaniu warszawskim. 10 kwietnia 2007 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył Wacława Micutę Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

„Wacek" zmarł 21 września 2008 r. w Genewie. Jego archiwum znajduje się w zasobie Archiwum Akt Nowych.

Wacław Micuta podczas misji w krajach Trzeciego Świata



eprasa.pl 37b1e8a2c0

FELIETON

Czaszki



WACŁAW LESZCZYŃSKI



Konstytucja Nihil novi

FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

Pewien ważny profesor medycyny, często występujący w mediach, powiedział, że „kobiety mają cieńszą czaszkę" od mężczyzn. Kłóci się to wprawdzie z wyznawaną przez środowisko polityczne tego pana ideologią, według której nie ma różnic, nawet genetycznych, między kobietą a mężczyzną. Jako profesor medycyny on chyba lepiej wie, czy istnieją różnice, również anatomiczne. Ciekawe są zawartości cieńszych i grubszych czaszek przedstawicieli opozycji, którą reprezentuje wspomniany profesor.

Osobnicy z grubszymi czaszkami z opozycji charakteryzują się w kilku przypadkach przekonaniem o swojej wyższości nad innymi. Jednemu profesorowi zdaje się (i tak się zachowuje), że jest władcą Polski. Inny twierdzi, że już raz zbawił ludzkość i uczyni to znowu, gdy posłucha się jego genialnych rad. Były minister robi wrażenie, że od niego zależy przyszłość opozycji i całej Europy. Jest również taki, który głosi, że kiedy zostanie prezydentem, to wtedy w Polsce wszyscy będą równi ze wszystkimi. Ale nadmierne rozdęcie własnego ego przytrafić się może w każdym ugrupowaniu politycznym. Czasem występuje też u osób z cieńszą czaszką. Jednej z nich (z opozycji) wydaje się, że jest gubernatorem Polski z nadania i za pieniądze („nagrodę") obcego państwa i postępuje wbrew obowiązującemu prawu. Jednak pomysły, jakie głoszą inne osoby z cieńszymi czaszkami z opozycji, trudno spotkać gdzie indziej. Jedna z nich, ateistka, wręczyła donos na polski episkopat papieżowi Franciszkowi I. Inna skargę na arcybiskupa krakowskiego złożyła „u stóp" szwedzkiej nastolatki! Kolejna domaga się wpisania ochrony zwierząt do Konstytucji RP. Jeszcze inna użala się nad losem krów, które według niej są gwałcone, by dawały mleko. Zabijane w rzeźni bydło przyrównywała zaś do ofiar Holocaustu, malując krowy w oświęcimskich pasiakach... I ci politycy, i celebryci opozycji mają dyplomy uczelni! Sprawdza się porzekadło, że „żadne uniwersytety nie zastąpią dobrej szkoły powszechnej".

Takie osoby donoszą na Polskę za granicą. Dlatego politycy i dziennikarze tamtych państw, sądząc po skarżących, że wszyscy Polacy przedstawiają taki sam poziom intelektualny, czują się w prawie i obowiązku pouczać Polskę o tym, co jej wolno. Twierdzą, że przyjmowane w Polsce rozwiązania prawne wprawdzie są takie same jak w ich krajach, ale jej się nie należą, bo Polska jest „młodą demokracją"! A tu wychodzi ich brak wiedzy. Bo gdy w ich krajach można było uwięzić i zabić każdego na rozkaz władcy, to w Polsce już od 1430 r. nie można było uwięzić szlachcica ani pozbawić go majątku bez wyroku sądu. Od 1370 r. król bez zgody szlachty nie mógł nakładać nowych podatków, a od 1454 r. nie wolno było wydawać nowych praw bez zgody sejmików ziemskich (regionalnych). W 1505 r. w konstytucji Nihil novi zapisano, że prawa mają być stanowione za zgodą: króla, senatu i izby poselskiej. Ta ostatnia, wyłaniana przez sejmiki ziemskie, była pełnoprawnym uczestnikiem procesu legislacyjnego. I od tego czasu Polska była państwem w pełni demokratycznym. W 1573 r. zagwarantowano wolną elekcję i niezwoływanie pospolitego ruszenia (mobilizacji) bez zgody sejmu zwoływanego co dwa lata. Konstytucja 3 maja była pierwsza w Europie. A w Europie Zachodniej? Jeszcze w XVII i XVIII w. król francuski czy jego minister więził w Bastylii, kogo chciał, bez pytania kogokolwiek o zgodę.

W tym samym czasie „oświeceni władcy" Prus posłuszeństwo wbijali swoim obywatelom za pomocą kija, rzecz w demokratycznej wtedy Polsce nie do pomyślenia. Wówczas w tych krajach o demokracji nawet się nikomu nie śniło. I oni nas chcą uczyć demokracji? Niech się jej uczą od Polski!

Gdy we Francji mordowano hugenotów, a w Niemczech poddani musieli przyjmować religię, jaką wyznawał ich władca, to w Polsce w 1573 r. zagwarantowano wolność wyznania. To do Polski uciekali wyznawcy różnych religii z powodu prześladowania ich we własnym kraju. To do Polski uciekali też z całej Europy Żydzi, bo tylko tu, zwłaszcza od Kazimierza Wielkiego, mogli spokojnie żyć i pracować. To w Polsce w 1632 r. wydano zakaz propagandy antysemickiej. Dlatego w XX w. żyło w Polsce ponad trzy miliony ludzi wyznania mojżeszowego. Żydzi w Polsce mieli własne szkoły i gimnazja, wielu z nich nie umiało dobrze mówić po polsku. I to było przyczyną ich zguby. Ale paręset tysięcy z nich Polacy uratowali przed Niemcami. W tym czasie np. Francuzi swoich Żydów wydawali Niemców na śmierć. I teraz to w krajach Europy Zachodniej mnożą się akty antysemickie, a nie w Polsce, oskarżanej o antysemityzm.

Bo w Polsce obecnie, podobnie jak 500 lat temu, jest demokracja i tolerancja, której od nas mogą się uczyć inne nacje. Nasi sąsiedzi niezadowoleni z suwerennej polityki Polski i z jej gospodarczego rozwoju, posługując się agenturą, usiłują zahamować w Polsce reformy zrywające nici poddaństwa wobec nich. Ale Polska nie zawróci z raz obranej drogi i żadni zdrajcy jej w tym nie przeszkodzą.

Tekst powstał we współpracy z IPN/SZ/0120/F

eprasa.pl 37b1e8a2c0

„Oni idą przez naszą pamięć”

Katyń – symbol komunistycznego ludobójstwa, dokonanego przed 80 laty na prawie 22 tys. polskich oficerów i więźniów – porusza do dziś. Józef Czapski nazwał go „zbrodnią nad zbrodniami”, a przecież XX w. przyniósł bardziej masowe i okrutne mordy. Jednak Katyń pozostaje wyjątkowy w kilku wymiarach

— **Jarosław Szarek** —

Ofiary stanowiły elitę niepodległościową państwa polskiego. Jakże wielu z nich brało udział w zmaganiach o niepodległą Polskę w latach 1914–1921, nierzadko rodzinne tradycje wiodły przez powstańcze zmagania XIX w. i jeszcze dalej. Pozostałe po nich stosy Krzyży Virtuti Militari, Walecznych, Niepodległości ilustrują, kim byli i czym dla nich była Niepodległa.

Mordowano ich strzałem w tył głowy w piwnicach, nad leśnymi dołami, bo pozostali wierni Polsce. Nie zdradzili jej. Oprawcy – przedstawiciele władz Związku Sowieckiego – napisali wprost w decyzji o ich zgładzeniu, iż każdy z nich oczekuje tylko wolności, aby podjąć walkę z władzą sowiecką, której są wrogami „nierokującymi poprawy”. Przejmująco wyraziły to dzieci Gustawa Szpilewskiego. Na symbolicznej mogile katyńskiej złożyły szarfę: „Dziękuję Ci, TATUSIU, że nie poszedłeś na współpracę”. Bo Katyń był po to, aby Polskę złamać, by była niezdolna do niepodległego istnienia, do walki i czynu, aby nie brakło idących na współpracę, aby uczynić ją „jak najpodrzędniejszą” – pisał Czapski, autor „Wspomnień starobielskich”. A taką budowano potem przez dekady!

Z Katyniem nierozerwalnie związane było kłamstwo. Od dnia odkrycia mogił. Niekiedy odzywa się i dziś. Sprawcy przez lata robili wszystko, by nikt nie poznał prawdy, zaprzęgli też w nie wolny świat. Wszyscy wiedzieli, że sprawcą ludobójstwa jest Związek Sowiecki, ale rządy państw zachodnich, milcząc, stały się współwinnymi.

Katyń niesie jednak również nadzieję. Prawda zwyciężyła, mimo że na straży kłamstwa stały potężne siły. Powraca „Rozstrzelana Armia”, a wraz z nią wraca Polska niepodległa.

ECHA KATYNIA
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY O TOTALITARYZMACH

W ramach Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Echa Katynia” prezentowane będą filmy fabularne, dokumentalne oraz reportaże twórców z całego świata. Chcemy stworzyć przestrzeń, w której będziemy rozważać zagadnienie totalitaryzmu w wielu aspektach.

Oprócz seansów filmowych ważnym składnikiem festiwalu będą spotkania tematyczne z reżyserami, producentami, historykami oraz ludźmi kultury i sztuki.

WSTĘP BEZPŁATNY!

23–26 kwietnia 2020 r.
KINO MURANÓW

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
1920 1940 1980

eprasa.pl 37b1e8a2c0

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Zbrodnia katyńska

Przez wiele lat termin „zbrodnia katyńska" oznaczał zamordowanie przez NKWD w Katyniu koło Smoleńska polskich jeńców wojennych z obozu w Kozielsku



Ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski przy czaszkach wydobytych z grobów polskich oficerów w Katyniu, 1991 r.

Sławomir Kalbarczyk

Tam właśnie, w 1943 r., odkryto ich pogrzebane zwłoki, co dało asumpt do ukucia tego terminu. Na początku lat 90. XX w. pojęcie to oderwało się od konkretnego miejsca i nabrało znaczenia symbolicznego. Potwierdzono wtedy, że NKWD rozstrzelało także jeńców z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie. Ujawniono też uchwałę Biura Politycznego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) z 5 marca 1940 r. Wynikało z niej, że wymordowanie jeńców było elementem szerszej akcji eksterminacyjnej, której ofiarą padły także tysiące cywilnych obywateli polskich osadzonych w więzieniach NKWD po agresji ZSRS na Polskę z 17 września 1939 r. Uwzględniając nowe fakty, pod terminem „zbrodnia katyńska" zaczęto rozumieć zamordowanie blisko 22 tys. obywateli polskich na podstawie marcowej uchwały sowieckiego Politbiura: 14,7 tys. jeńców wojennych i 7,3 tys. więźniów.

Drogę do zbrodni katyńskiej utorował sowiecko-niemiecki układ o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r. W jego następstwie 17 września 1939 r. ZSRS uderzył na Polskę, idąc w ślady swego niemieckiego sojusznika, który uczynił to ponad dwa tygodnie wcześniej. Celem było zajęcie ziem polskich przyznanych mu w zmowie sierpniowej, rozciągających się na wschód od linii rzek: Narew, Wisła, San. Prąca na zachód Armia Czerwona brała do niewoli polskich żołnierzy i policjantów, po czym przekazywała ich sowieckiej policji politycznej. Ta oficerów gromadziła w obozach w Starobielsku i Kozielsku, a policjantów w Ostaszkowie. Przez kilka miesięcy Sowieci usiłowali złamać patriotycznego ducha jeńców, poddając ich intensywnej propagandzie komunistycznej. Nic to nie dało: jeńcy pozostali wierni Rzeczypospolitej, uważając państwo sowieckie za agresora, z którym należy walczyć. Nie tylko zresztą oni. Także tysiące tych oficerów i policjantów, którzy uniknęli niewoli i pozostali na okupowanych przez Związek Sowiecki Kresach Wschodnich II RP. Podjęli oni walkę z okupantem, stając na czele organizacji konspiracyjnych, które po sowieckiej agresji na Polskę zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu. Niestety znaczna ich część szybko została rozbita przez NKWD, a za tysiącami konspiratorów zatrzasnęły się bramy sowieckich więzień.

5 marca 1940 r. szef NKWD, Ławrentij Beria, postanowił rozwiązać kwestię „antysowiecko" nastawionych jeńców i więźniów. Uznając, że są oni „zawziętymi i nierokującymi poprawy wrogami władzy sowieckiej", zaproponował Biuru Politycznemu partii bolszewickiej rozstrzelanie wszystkich 14,7 tys. jeńców i 11 tys. więźniów. Jeszcze tego samego dnia Politbiuro podjęło uchwałę akceptującą tę propozycję. Jak widać, jej istotą była eksterminacja tych, którzy byli zdecydowani czynnie walczyć z sowieckim zaborcą o odbudowanie państwa polskiego. Machina terroru ruszyła natychmiast. Już w końcu marca 1940 r. więźniów przetrzymywanych na Kresach zaczęto wywozić do więzień w Kijowie, Charkowie i Chersoniu na Ukrainie oraz Mińsku na Białorusi. Łącznie w więzieniach tych rozstrzelano 7,3 tys. więźniów – mniej niż pierwotnie zdecydowało Biuro Polityczne. Z kolei jeńców na egzekucje zaczęto wywozić z obozów w pierwszych dniach kwietnia 1940 r. Miejscem kaźni i pochówku 4,4 tys. jeńców Kozielska był las koło miejscowości Katyń niedaleko Smoleńska. Ich kolegów ze Starobielska (3,7 tys.) wywieziono do Charkowa i pozbawiono życia w gmachu miejscowego Zarządu NKWD. Ich zwłoki pogrzebano niedaleko osady Piatichatki pod Charkowem. 6,3 tys. jeńców obozu w Ostaszkowie wymordowano w budynku Zarządu NKWD w Kalininie. Ich zwłoki zostały przewiezione do lasu koło wsi Miednoje pod Kalininem i tam pogrzebane.

Ofiarą zbrodni katyńskiej padło tysiące najwartościowszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa – co było i jest niepowetowaną stratą. Patronujący jej zamysł – zdruzgotanie polskich dążeń niepodległościowych – poniósł jednak klęskę.

FOT. FOTOGRAFIA ZE STOWARZYSZENIA WETERANÓW ARMII POLSKIEJ W AMERYCE PRZEKAZANA IPN

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Janina Lewandowska – kobieta z Katynia

Była starszą córką gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Nie spełniła życiowego marzenia i nie została śpiewaczką operową. Skuteczniej rozwijała inną swoją pasję – lotnictwo

Paweł Sztama

Urodzona w 1908 r. w Charkowie Janina Dowbór-Muśnicka zaczęła się pasjonować lotnictwem, w tym szybownictwem i spadochroniarstwem, jeszcze w gimnazjum. Została członkinią Aeroklubu Poznańskiego. Co więcej, od 1936 r. mogła się poszczycić dyplomem pilota motorowego zdobytym w Wyższej Szkole Pilotażu na poznańskiej Ławicy. Odbyła również różnego rodzaju kursy lotnicze w Dęblinie i we Lwowie. Jako pierwsza kobieta w Europie skoczyła ze spadochronem z wysokości 5 tys. m!

Ta nietypowa pasja miała ogromny wpływ na jej losy. W czerwcu 1939 r. wyszła za mąż za Mieczysława Lewandowskiego, którego poznała w trakcie odbywania kursów szybowcowych. W okresie dwudziestolecia międzywojennego był on podoficerem rezerwy lotnictwa, a także instruktorem pilotażu, a po wybuchu wojny służył m.in. w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym „Lwowskich Puchaczy". W działaniach wojennych wzięła udział także jego małżonka. 3 września 1939 r. – wraz z kolegami z Aeroklubu Poznańskiego – zgłosiła się do służby w Wojsku Polskim. Do jej ówczesnych zadań należało m.in. prowadzenie lotów rozpoznawczych. Podczas jednej z takich misji dostała się niestety do sowieckiej niewoli.

Dzielny więzień

Janina Lewandowska – jako oficer (podporucznik) – trafiła najpierw do obozu jenieckiego w Ostaszkowie. W tym samym miejscu więziono również byłego dowódcę Okręgu Korpusu nr II w Lublinie gen. Mieczysława Smorawińskiego.

Ostatecznie przeniesiono ją, podobnie jak Smorawińskiego, do obozu w Kozielsku. Jak się później okazało, była ona jedyną kobietą wśród kilku tysięcy jeńców. Zapewne wyróżniało ją to w tym tłumie mężczyzn. Niemniej ich szacunek zdobyła czym innym – prezentowaną tam postawą. Np. mjr Kazimierz Szczekowski odnotował, w swym podręcznym kajecie, jej zachowanie w następujący sposób: „Jest tu w obozie lotniczka – dzielna kobieta, już czwarty miesiąc znosi razem z nami wszelkie trudy i niewygody niewoli, a trzyma się wzorowo". Wspominali o niej także ci, którzy przeżyli. Zapamiętali oni m.in., że Lewandowska uczestniczyła w zakazanych przez Sowietów nabożeństwach religijnych. Poprzez taką postawę zdobywała zaufanie swoich towarzyszy niedoli, narażając się jednocześnie na kary ze strony władz obozu i trafiając kilkakrotnie do karceru.

Ostatecznie dzielna podporucznik została umieszczona na liście śmierci (nr 040/1) i w drugiej połowie kwietnia 1940 r. opuściła Kozielsk wraz z innymi jeńcami, zamkniętymi w bydlęcych wagonach. Podobnie jak oni dotarła do stacji Gniezdowo, skąd przewieziono ją do lasu katyńskiego...

Siostra podzieliła jej los

Wiosna 1940 r. okazała się tragiczna również dla drugiej córki gen. Dowbór-Muśnickiego – Agnieszki. Była ona działaczką podziemnej organizacji „Wilki". Prawdopodobnie w kwietniu 1940 r. [!] została przez Niemców aresztowana, a dwa miesiące później zamordowana w podwarszawskich Palmirach, gdzie życie oddało wielu wybitnych przedstawicieli polskich elit.

W 1943 r. zwłoki ppor. Janiny Lewandowskiej odkryli Niemcy. Jej czaszkę, wraz z kilkoma innymi, zabrał z miejsca kaźni niemiecki lekarz sądowy prof. Gerhard Buhtz. Po zakończeniu II wojny światowej te swoiste relikwie odnalazł polski medyk prof. Bolesław Popielski i ukrywał przez kilkadziesiąt kolejnych lat przed organami bezpieczeństwa Polski Ludowej. Tuż przed śmiercią w 1997 r. wyjawił ten sekret swoim najbliższym współpracownikom. Dzięki nowoczesnym metodom badawczym udało się ustalić, że wszystkie czaszki należały do ofiar zbrodni katyńskiej. Zidentyfikowano tylko jedną z nich – czaszkę Janiny Lewandowskiej, która została pochowana z honorami wojskowymi w rodzinnym grobowcu Dowbór-Muśnickich w wielkopolskim Lusowie.



Porucznik Janina Lewandowska ok. 1939 r.

FOT. MUZEUM LUSOWO

eprasa.pl 37b1e8a2c0

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Na początku była zmowa milczenia

Witold Wasilewski

Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w czasie II wojny światowej nie udzieliły władzom polskim pomocy w wyjaśnianiu losu „zaginionych" polskich oficerów

Latem 1941 r., w trakcie negocjacji o wznowieniu relacji polsko-sowieckich, premier Władysław Sikorski wysunął kwestię jeńców w ZSRS. Sowieci zaniżyli liczbę przetrzymywanych do 20 tys. i ukryli fakt wymordowania wiosną 1940 r. ok. 8 tys. oficerów Wojska Polskiego oraz wielu innych obywateli II RP. 4 lipca 1941 r. minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden poinformował brytyjskiego wysłannika do Moskwy Stafforda Crippsa i ambasadora USA w Londynie Johna Winanta, że polskich jeńców jest „tylko 20 tys.", uznając sowieckie wyjaśnienia za wystarczające.

W kwietniu 1943 r. Niemcy nagłośnili odnalezienie w lesie katyńskim zwłok polskich oficerów zamordowanych przez bolszewików. Sowieci odpowiedzieli kłamstwem o winie niemieckiej. 17 kwietnia 1943 r. rząd RP poinformował, że zwrócił się o zbadanie sprawy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Dwa dni później Sowieci oskarżyli Polskę o współpracę z Niemcami, czego przejawem miało być zwrócenie się do MCK. Winston Churchill i Franklin Roosevelt – w obawie przed rozłamem w koalicji antyhitlerowskiej i wobec woli budowania powojennego ładu we współpracy z ZSRS – odcięli się w korespondencji z Józefem Stalinem od polskich działań. Mimo że polski rząd wycofał wniosek do MCK, 25 kwietnia rząd sowiecki – rozzuchwalony postawą Anglosasów – zerwał z nim stosunki.

Podejmując takie decyzje, politycy amerykańscy i brytyjscy wiedzieli już o zbrodni na polskich jeńcach. W 1942 r. ppłk Leslie Hulls z Brytyjskiej Misji Wojskowej w Rosji przekazał raport, w którym poinformował, że 8,3 tys. polskich oficerów zniknęło w ZSRS. Z kolei w maju 1943 r. Owen O'Malley, ambasador brytyjski przy rządzie RP, złożył raport, w którym wskazywał na odpowiedzialność Sowietów za tę zbrodnię. Henry Szymański, oficer amerykańskiego wywiadu wojskowego G-2 przy armii gen. Władysława Andersa, informował w 1942 r. centralę o bezskutecznych poszukiwaniach jeńców w ZSRS, a w maju 1943 r. przesłał dossier wskazujące na sowiecką winę.

Podczas procesu przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze (1945–1946) oskarżyciele sowieccy próbowali doprowadzić do skazania niemieckich podsądnych za zbrodnię w Katyniu. Sowiecką mistyfikację udaremnili m.in. anglosascy sędziowie. W USA do końca lat 40. nie poruszano jednak w mediach kwestii zbrodni katyńskiej, a władze Wielkiej Brytanii wyciszały tę kwestię również w latach 50. W 1949 r. powstał społeczny Amerykański Komitet do Zbadania Zbrodni Katyńskiej, który przełamał to milczenie. W latach 1951–1952 tzw. komisja Maddena (od nazwiska kongresmena Raya Maddena), powołana w Izbie Reprezentantów USA, przeprowadziła dochodzenie dotyczące zbrodni katyńskiej, potwierdzając winę ZSRS. Rząd brytyjski, na którego czele stał ponownie Churchill, odmówił Amerykanom pomocy w śledztwie.

W Wielkiej Brytanii na początku lat 70. wiedzę o tej zbrodni propagowały książki Louisa Fitz Gibbona i programy BBC. W 1971 r. władze sowieckie wystosowały nawet w tej sprawie protest. Mimo to w 1972 r. konserwatywny rząd brytyjski ujawnił raport O'Malleya. Pojawiła się idea postawienia w Londynie pomnika ofiar Zbrodni Katyńskiej. Wywołało to protesty władz ZSRS i PRL. Ostatecznie stanął on w 1976 r., ale nie w przestrzeni miejskiej, tylko na cmentarzu. Działania rządów komunistycznych przynosiły również inne skutki – w 1976 r. rząd Jamesa Callaghana zabronił udziału w odsłonięciu pomnika umundurowanym brytyjskim weteranom i nie przydzielił uroczystości asysty wojskowej. Postawa Londynu zmieniła się po zwycięstwie wyborczym Margaret Thatcher w 1979 r. Od lat 80. XX w. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania konsekwentnie zajmują już stanowisko służące upowszechnianiu prawdy o zbrodni katyńskiej.



Akademia ku czci pomordowanych w Katyniu, Stany Zjednoczone. Drugi z lewej: Józef Basiąga

FOT. FOTOGRAFIA ZE STOWARZYSZENIA WETERANÓW ARMII POLSKIEJ W AMERYCE PRZEKAZANA IPN



Zdjęcie niemieckie przekazane przez Donalda Boyla Stewarta komisji Maddena w 1951 r. Jeńcy amerykańscy pod nadzorem Niemców oglądają miejsce zbrodni w Katyniu

Rano 11 października 1951 r. Ray Madden otworzył na Kapitolu pierwsze posiedzenie Komisji Śledczej do Zbadania Faktów, Dowodów i Okoliczności Mordu w Lesie Katyńskim

Niemiecki dowód sowieckiej zbrodni z USA

Witold Wasilewski

Na wcześniejsze niż planowano zainaugurowanie prac zdecydowano się, aby nie stracić okazji odebrania zeznania od ppłk. Donalda Boyle'a Stewarta, który za dwa tygodnie miał wylecieć do Tokio, skąd już blisko było na front wojny w Korei. Przesłuchanie oficera umożliwili Sekretarz Obrony USA i Sekretarz Armii USA. Jego przesłuchanie było jedynym w 1951 r.

O tym, że Stewart stanął przed komisją, zdecydowały wydarzenia z okresu II wojny. W połowie lutego 1943 r. dostał się do niemieckiej niewoli i trafił oflagu IX A/Z w Rotenburgu. W maju 1943 r. został przewieziony w miejsce odkrycia zwłok oficerów Wojska Polskiego k. Katynia. 28-letni oficer znalazł się w grupie jeńców, w której skład weszli amerykański ppłk John Van Vliet jr. i oficerowie brytyjscy: ppłk Frank Stevenson (z Afryki Południowej) i kpt. Stanley Gilder (lekarz). W lesie katyńskim obejrzał 13 maja 1943 r. odkryte doły śmierci pełne ofiar w polskich mundurach, a także już przebadane zwłoki i znalezione przy nich przedmioty. Był też świadkiem oględzin zwłok wybranych z warstwy ciał przez anglosaskich jeńców. Stewart, tak jak inni Anglosasi, trafnie uznał, że zbrodni dokonali Sowieci. W 1951 r. wspominał: „Wiele zwłok miało na sobie płaszcze w dobrym stanie, polskie płaszcze. [...] Sam byłem jeńcem i moje ubrania zużywały się. Każdy z nas z osobna to zauważył i na podstawie oględzin tych mundurów doszliśmy do wniosku, że ci oficerowie nie mogli długo przebywać w niewoli w momencie, gdy zginęli. [...] Buty nie były w ogóle znoszone, bardzo nieznaczne ślady zużycia. Gdyby te buty noszono dłużej, miałyby ślady większego zużycia, niż to było faktycznie". Spostrzeżenie to prowadziło do wniosku, że zabici nie mogli przebywać w niewoli od września 1939 r. aż do drugiej połowy 1941 r., kiedy wedle władz ZSRS mieli zostać zamordowani przez Niemców, a musieli zginąć wcześniej (w 1940 r.) z rąk sowieckich.

Po wizycie w Katyniu Stewart został osadzony przez Niemców w oflagu 64 w Szubinie k. Bydgoszczy. Jako oficer, który znał kody wywiadu Armii Stanów Zjednoczonych, w listach z obozu jenieckiego przekazał ukrytą informację, że za zbrodnię katyńską odpowiadają Sowieci. Zimą 1945 r., wobec zbliżania się frontu wschodniego do oflagu, Stewart został ewakuowany z innymi jeńcami na zachód, dzięki czemu nie wpadł w ręce sowieckie. Po zakończeniu wojny pozostał w służbie czynnej do 1968 r. i zgodnie z poleceniem nie dzielił się informacjami o doświadczeniu z 1943 r. Zakaz zdjęto w 1970 r., udzielił wówczas pierwszego wywiadu na ten temat.

Wcześniejsza zgoda przełożonych z 1951 r. dotyczyła wyłącznie udzielenia pomocy komisji R. Maddena. Kiedy zakończyło się jej posiedzenie, a Stewart opuścił gmach Kongresu, otoczyli go wojskowi i odeskortowali na dworzec, z którego wyjechał z Waszyngtonu. Wszystko po to, aby dziennikarze nie mieli do niego dostępu. W ciągu trzech godzin Donald Boyle Stewart zdążył złożyć cenne zeznanie. Przedstawił też komisji siedem fotografii z pobytu w lesie katyńskim. Jak powiedział kongresmenom, wykonali je Niemcy i wręczyli mu, tłumacząc, że Amerykanie lubią pamiątki. Komisja włączyła zdjęcia do protokołu jako pierwsze dowody rzeczowe śledztwa. Ich skany IPN otrzymał z amerykańskiego Archiwum Narodowego (NARA), podczas pracy nad polskim wydaniem efektów kongresowego dochodzenia. Jedną z fotografii prezentujemy Państwu.

W tym roku ukaże się trzeci tom edycji „Mord w lesie katyńskim. Przesłuchania przed amerykańską komisją Maddena w latach 1951–1952"

FOT. FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW AMERYKAŃSKIEGO ARCHIWUM NARODOWEGO (NARA) PRZEKAZANA IPN

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

eprasa.pl 37b1e8a2c0

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Kłamstwo i prawda

Zakłamywanie Katynia nie zaczęło się w chwili ogłoszenia przez Niemców wiadomości o znalezieniu grobów katyńskich w kwietniu 1943 r.

Jan Strękowski

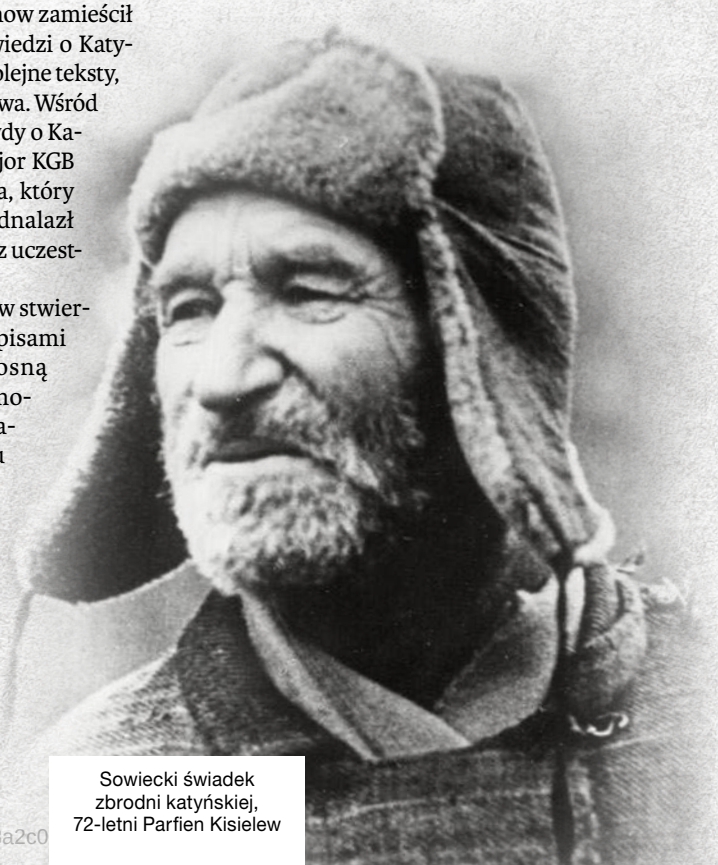
Ani jesienią 1943 r., gdy „obróbką" zwłok zajęło się NKWD – dokumenty i gazety z 1940 r. zastępując przy zwłokach tymi z 1941 r., obciążającymi Niemców. Ani też, gdy tak spreparowane zwłoki w styczniu 1944 r. oglądała Komisja Burdenki, która przekazała światu kłamliwy raport o niemieckim sprawstwie. Kłamstwo towarzyszyło tej zbrodni od początku. To dlatego, jak podkreśla Nikita Pietrow, autor biogramów katyńskich katów, nagrodzono ich nie orderami, ale pieniędzmi. O order ktoś może zapytać, pieniądze nie rzucają się w oczy.

A jednak to dzięki Rosjanom dowiedzieliśmy się o istnieniu w lesie katyńskim zbiorowych grobów Polaków. Miejscowy chłop Parfijen Kisielow wskazał ich położenie. Zwierzając się Iwanowi Kriwoziercewowi, który zawiadomił Niemców o losie polskich oficerów, stwierdził, że ukrywanie o tym prawdy „leży jak grzech na duszy". Ci, którzy nie twierdzili, że Katyń był dziełem faszystów, ginęli lub trafiali do więzień. Po wkroczeniu Sowietów Kriwoziercew uciekł, trafił do armii Andersa i złożył wyczerpujące zeznania. Jego ciało znaleziono w 1947 r., ponoć popełnił samobójstwo. Burmistrz Smoleńska z czasu okupacji Borys Mienszagin spędził za kratami 25 lat. Podobnie inni świadkowie. Mienszagin siedział we Władymirze. Ukrainiec Światosław Karawański znalazł się w tym samym więzieniu w 1967 r. Dowiedziawszy się od Mienszagina prawdy o Katyniu, próbował przekazać ją za mury. Dołożono mu 10 lat. Także Gabriel Superfin o Katyniu dowiedział się od Mienszagina. Napisał o tym w liście przemyconym do jednego z rosyjskich pism emigracyjnych.

W kwietniu 1980 r. w oświadczeniu „Obejrzyj się ze skruchą" 28 sowieckich dysydentów napisało o odpowiedzialności ich kraju za zbrodnię popełnioną przez jego „przedstawicieli w Katyniu". Inicjatorem listu był Władimir Maksimow, autor napisanego w marcu 1980 r. dla lubelskich „Spotkań" wzruszającego tekstu „Katyń – moja wina". W 1987 r. Aleksiej Pamiatnych, astronom, wybrał się rowerem z Moskwy do Katynia. Po powrocie napisał list do komitetu obwodowego partii w Smoleńsku. Pytał, co to za pomnik i dlaczego nie ma do niego dostępu. W 1989 r. udało mu się opublikować w „Moskowskich Nowostiach" (z Aleksandrem Akuliczewem) tekst „Katyń: potwierdzić lub zaprzeczyć". Autorzy domagali się, by historycy zbadali dokumenty i wskazali winnych zbrodni. Mimo pierestrojki mówienie o Katyniu w Rosji nie było łatwe. Dopiero w kwietniu 1988 r. Władimir Abarinow zamieścił zawierające prawdę wypowiedzi o Katyniu. W 1989 r. pojawiły się kolejne teksty, m.in. Gennadija Żaworonkowa. Wśród Rosjan poszukujących prawdy o Katyniu znalazł się nawet major KGB Oleg Zakirow ze Smoleńska, który wbrew zakazowi władz odnalazł i przesłuchał świadków oraz uczestników zbrodni.

W 1989 r. kilku historyków stwierdziło zbieżność między spisami jeńców wysłanych wiosną 1940 r. z Kozielska do Smoleńska a niemieckimi wykazami ekshumacji w Katyniu z 1943 r. Jednym z nich był Jurij Zoria. Jego ojciec Nikołaj był asystentem oskarżyciela z ramienia ZSRS na procesie norymberskim, podczas którego Sowieci próbowali oskarżyć o zbrodnię w Katyniu Niemców. Zorientował się, że oskarżenie nie ma podstaw, i poprosił o powrót do Moskwy. Rano znaleziono go martwego z pistoletem starannie ułożonym na pościeli.

Trudno wymienić wszystkich Rosjan, którzy przyczynili się do ujawnienia prawdy o tej zbrodni. Wielką rolę odegrali kierujący śledztwem katyńskim prokuratorzy wojskowi Aleksander Tretjecki i Anatolij Jabłokow. Dzięki takim Rosjanom jak Natalia Lebiediewa 14 kwietnia 1990 r. ogłoszono komunikat TASS uznający NKWD winnym rozstrzelania oficerów polskich w Katyniu. A dzięki Rosjanom z Memoriału w 1992 r. decyzja Biura Politycznego KC WKP(b) z 5 marca 1940 r. o zgładzeniu polskich jeńców została, jak żartują Rosjanie, „cudownie odnaleziona" i przekazana Polakom przez prezydenta Borysa Jelcyna.



FOT. ARCHIWUM IPN

Sowiecki świadek zbrodni katyńskiej, 72-letni Parfien Kisielew

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Obserwacja pochodu na terenie Katowic, upamiętniającego zbrodnię w Katyniu, 9 kwietnia 1981 r.

FOT. ARCHIWUM IPN

Wojnę o prawdę o zbrodni w Katyniu prowadzono zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie już od momentu jej ujawnienia. Nowy etap trgo boju rozpoczął się po objęciu przez komunistów władzy w Polsce

Pamięć o Katyniu w Polsce Ludowej

Sebastian Ligarski

Jeszcze w latach 1945–1946 – mimo oficjalnej wersji dotyczącej mordu w Katyniu, którą przyjęły polskie władze (tzw. ustalenia Komisji Nikołaja Burdenki obarczającej winą za zbrodnię Niemców) – w prasie udawało się czasami (np. w ogłoszeniach drobnych) przemycać informacje o zaginionych polskich oficerach z obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie. Odwołania do Katynia miały również miejsce podczas referendum z czerwca 1946 r. i wyborów ze stycznia 1947 r. W następnych latach w sprawozdaniach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego informowano o pojawiających się ulotkach, plakatach, afiszach, listach na ten temat. Przykładowo w marcu i kwietniu 1949 r. w Toruniu na budynkach pojawiły się napisy „Katyń, precz z komuną", a w Częstochowie odnotowano naklejoną na murze ulotkę z rysunkiem trupiej czaszki i napisem: „Śmierć czerwonym za Katyń. Niech żyje generał Anders, precz z komuną".

Tego typu „przestępstwa" były z całą bezwzględnością karane. Przykładowo na kary więzienia od trzech do pięciu lat skazano o. Tadeusza Ruska i ks. Leona Musielaka (więźnia Kozielska), którzy głośno wyrażali swoje zdanie na temat sprawców zbrodni katyńskiej. Na pięć lat więzienia skazano z kolei Marię Odyniec, nauczycielkę Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów w Gdyni, która w czasie lekcji wyrażała wątpliwości co do sprawców mordu w Katyniu. Nie wahano się stawiać przed sądem rodzin ofiar, jak Zofię Dwornik, której ojciec mjr WP Stefan Dwornik trafił do Starobielska (zamordowany w Charkowie), stryj kpt. Kazimierz Dwornik został zaś zamordowany w Katyniu.

Dla wielu osób nadzieje na zmianę postawy władz niósł przełom październikowy 1956 r. W kolejnych latach aparat represji nadal jednak prowadził działania operacyjne wobec osób kwestionujących oficjalnych sprawców zbrodni katyńskiej. Szczególną atencją Służba Bezpieczeństwa od 1959 r. darzyła Cmentarz Powązkowski i tzw. Dolinkę Katyńską, gdzie odbywały się nielegalne spotkania i manifestacje osób pielęgnujących pamięć o Katyniu.

W powszechnym odczuciu epoka gierkowska to okres liberalizacji i mniejszej opresyjności aparatu bezpieczeństwa. Nic bardziej mylnego, co widać właśnie w przypadku Katynia. Praktycznie każda wzmianka o nim kończyła się interwencją SB i cenzury. Tym niemniej to właśnie wtedy powstały dwie organizacje opozycyjne skupiające sie na tej tematyce – Instytut Katyński w Polsce (Kraków, 1978) oraz Komitet Katyński (Warszawa, 1979). W okresie tzw. karnawału Solidarności, w kwietniu –1981 r. jako miesiącu pamięci narodowej – w całym kraju odbywały się obchody rocznicowe poświęcone tematyce katyńskiej. W tym czasie powstał działający jawnie Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Katyńskiego. Te zabiegi o upamiętnienie ofiar zbrodni katyńskiej nie zostały przerwane przez stan wojenny. Przykładem tego rodzaju działań była m.in. tzw. poczta obozowa – w wielu miejscach, gdzie internowano działaczy opozycji, ci przygotowywali znaczki, koperty, pocztówki z Matką Boską Katyńską, Matką Boską Kozielską, z nazwami sowieckich obozów jenieckich, w których przetrzymywano pomordowanych etc. W podziemiu drukowano też kalendarze, wyrabiano okolicznościowe stemple itd.

Katyń był elementem wielu kazań i działań księży. Duszpasterzem Rodzin Katyńskich był ks. Stefan Niedzielak, twórca projektu przekształcenia kościoła św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach w sanktuarium poległych na Wschodzie. I to właśnie z powodu tej aktywności został zamordowany w styczniu 1989 r. przez tzw. nieznanych sprawców. Tym niemniej to właśnie rok 1989 był przełomem w dopominaniu się o prawdę o Katyniu. Jak się jednak okazuje, kłamstwo na temat zbrodni katyńskiej znowu powraca, a walka o prawdę o niej się nie kończy...

eprasa.pl 37b1e8a2c0

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Komitet Katyński

Grzegorz Majchrzak

Wśród organizacji opozycyjnych, które powstawały od połowy lat 70. XX w., nie zabrakło również tych, które odwoływały się do naszej tragicznej historii, w tym do zbrodni katyńskiej



Krzyż katyński ustawiony w 1981 r. w Dolince Katyńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie

Jedną z nich był Komitet Katyński utworzony w Warszawie 13 września 1979 r. Jego inicjatorami byli ks. Wacław Karłowicz, bracia: Stefan, Andrzej, Arkadiusz i Sławomir Melakowie, Jan Waś i ks. Antoni Czajkowski, a deklarację założycielską podpisało 19 osób. Celem Komitetu, noszącego początkowo zresztą nazwę Konspiracyjny Komitet Katyński, było głoszenie prawdy, demaskowanie kłamstw peerelowskiej propagandy na temat faktycznych sprawców zbrodni katyńskiej i upamiętnienie jej ofiar, a także – szerzej – pielęgnowanie pamięci o Polakach pomordowanych na Wschodzie.

To właśnie członkowie Komitetu Katyńskiego ustawili na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie (w tzw. Dolince Katyńskiej) drewniany krzyż ze znakiem Polski Walczącej, z inskrypcją o ofiarach zabitych strzałem w tył głowy na nieludzkiej ziemi. Został on szybko usunięty przez „nieznanych sprawców". Jednak to wydarzenie stało się przyczynkiem do pomysłu trwalszego uczczenia w tym miejscu ofiar zbrodni katyńskiej, w postaci pięciometrowego monumentalnego granitowego krzyża. Jego przygotowanie – w warunkach konspiracji – zajęło kilkanaście miesięcy. Pomnik zaprojektowali ks. Karłowicz, Stanisław Soszyński i Arkadiusz Melak. Ustawiono go 31 lipca 1981 r. w godzinach południowych. Ostatecznie był nieco mniejszy, niż planowano – składał się z 3,5-metrowego krzyża stojącego na postumencie oraz płyt leżących na ziemi. Na pomniku widniały napisy: „Katyń 1940", „Ostaszków, Starobielsk, Kozielsk" oraz litery „W.P." i orzeł w koronie. Całość była otoczona brązowym łańcuchem rozpiętym na słupach. Nie przetrwał zbyt długo. Nie pomógł w tym nawet „solidarnościowy karnawał". Po proteście ambasady Związku Sowieckiego w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia został on ukradziony – przy użyciu ciężkiego sprzętu – przez „nieznanych sprawców". W reakcji na tę kradzież powstał kilkudziesięcioosobowy, jawny Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej, stawiający sobie za cel wzniesienie nowego pomnika.

Dalsze oficjalne działania przerwało wprowadzenie w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego. Działacze Komitetu Katyńskiego (m.in. Stefan Melak) podzielili los innych opozycjonistów i zostali internowani. Nie przerwało to jednak jego działalności. Co roku 13 kwietnia – czyli w rocznicę ujawnienia zbrodni katyńskiej – z inicjatywy działaczy komitetu odprawiano (w kościele św. Krzyża) mszę św. w intencji pomordowanych oficerów Wojska Polskiego. Podobnie celebrowano 17 września, kolejne rocznice napaści ZSRS na Polskę. Spotykano się (np. 1 sierpnia czy 1 listopada) również na warszawskich Powązkach, oczywiście w Dolince Katyńskiej. Niestety starania działaczy Komitetu Katyńskiego, aby usunąć ustawiony przez władze PRL pomnik fałszywkę z napisem „Żołnierzom polskim, ofiarom hitlerowskiego faszyzmu, spoczywającym w ziemi katyńskiej" przez lata – do 1989 r. – nie przynosiły efektów. Tak na marginesie ten pierwotny pomnik z 1981 r. podrzucony osiem lat później pod mur cmentarza musiał czekać na montaż aż do 1995 r. Komitet Katyński organizował również (tym razem na terenie kościoła św. Anny) regularnie niezależne wykłady i spotkania z kombatantami. Przy okazji tych i innych spotkań kolportowano również wydawnictwa podziemne, zwłaszcza te dotyczące zbrodni katyńskiej. Ponadto Komitet Katyński wykonywał i wręczał osobom zasłużonym w walce o prawdę o niej krzyżyki i orzełki katyńskie, z napisem „Katyń 1940". Jedną z pierwszych osób uhonorowanych w ten sposób był ks. Jerzy Popiełuszko.

Przemiany 1989 r. nie pozostały bez wpływu na działalność Komitetu. Prowadzi on nadal swoją działalność, jednak teraz już oczywiście jawnie, legalnie. Jego misja – przypominanie prawdy o zbrodni katyńskiej wciąż, wobec chociażby rosyjskich kłamstw – pozostaje jednak aktualna.

FOT. ZBIORY RODZINY MELAKÓW

eprasa.pl 37b1e8a2c0

1947 Potomków Peryklesa wojna z komunistami



PAWEŁ SKIBIŃSKI



FOT. EAST NEWS

W wyniku II wojny światowej Grecja znalazła się w brytyjskiej strefie wpływu. Jeszcze w 1943 r. monarchiści i pozostałe siły antykomunistyczne zbrojnie starły się z greckimi komunistami. W wyniku porozumień między poszczególnymi środowiskami greckiego ruchu oporu we wrześniu 1946 r. odbyło się referendum, w którym niemal 70 proc. Greków opowiedziało się za monarchią. Skutkiem takiego wyniku był ponowny wybuch walk między zwolennikami monarchii i sfrustrowanymi komunistami oraz odtworzoną pod ich wpływem dawną partyzantką ELAS, która odmówiła rozformowania. W tym starciu komuniści byli wspierani dodatkowo organizacyjnie i finansowo przez Związek Sowiecki oraz Jugosławię.

Monarchiści mieli oparcie w armii brytyjskiej, która uczestniczyła w wyzwalaniu kraju spod okupacji niemieckiej i włoskiej, a po zakończeniu działań wojennych wciąż stacjonowała w Grecji. Jej obecność gwarantowała królowi utrzymanie władzy.

Jednak na początku 1947 r. sytuacja w kraju uległa gwałtownej zmianie. 2 marca Wielka Brytania bowiem poinformowała, że nie jest już w stanie utrzymywać w Grecji swoich oddziałów wojskowych. Już następnego dnia grecki rząd, na którego czele stał Dimitrios Maximos, bankier i polityk konserwatywnej Partii Ludowej, zwrócił się do USA o pomoc w walce z komunistyczną partyzantką. W odpowiedzi na tę prośbę Greków prezydent USA Harry Truman wezwał 12 marca amerykański Kongres do przyznania natychmiastowej pomocy wojskowej i gospodarczej Grecji oraz kemalistowskiej Turcji, w celu odparcia zagrażającego obu tym krajom naporu komunizmu.

Prezydent sformułował przy tej okazji nową zasadę amerykańskiej polityki zagranicznej, tzw. doktrynę Trumana. W jej myśl USA powinny pomagać tym narodom, które starają się bronić suwerenności wobec presji zewnętrznej lub przeciwstawiać się próbom przejęcia władzy nad nimi przez zbrojne i agresywne środowiska mniejszościowe. Choć prezydent Truman nie wyraził tego wprost, sformułowana przezeń w 1947 r. zasada w oczywisty sposób odnosiła się przede wszystkim do sowieckiego imperializmu i promowanej przez Moskwę polityki ekspansji ideologii komunistycznej. Doktryna ta stała się trwałą zasadą polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i oznaczała ostateczne zerwanie amerykańskiej dyplomacji z tradycyjnym dla niej izolacjonizmem.

Tymczasem sytuacja w Grecji wciąż się komplikowała. 1 kwietnia zmarł bezpotomnie grecki monarcha – Jerzy II z dynastii Gluckburgów. Następcą został jego młodszy brat – Paweł I. Będzie on panował w Atenach do 1964 r.

Wreszcie 22 czerwca 1947 r. Truman ostatecznie zadecydował o przekazaniu 400 mln dol. przeznaczonych na gospodarcze i militarne wsparcie dla Grecji i Turcji. 250 mln z tej sumy zostało przeznaczone dla Grecji.

W czerwcu też greccy komuniści ogłosili na kongresie Francuskiej Partii Komunistycznej wolę stworzenia odrębnego rządu. Alternatywne, komunistyczne państwo miało łatwiej mobilizować dla siebie poparcie wszystkich partii komunistycznych na świecie.

W grudniu 1947 r. powstał zdominowany przez komunistów tzw. Tymczasowy Rząd Demokratyczny. Na jego czele stanął Markos Vafiadis, głównodowodzący komunistycznych sił zbrojnych – Demokratycznej Armii Grecji (DSE). Rząd ten kontrolował górskie rejony kraju, położone przy granicach z komunistycznymi państwami – Jugosławią, Bułgarią i Albanią. W chwili swych największych sukcesów komuniści kontrolowali znaczne połacie północnej Grecji, z drugim co do wielkości miastem tego kraju Salonikami, które stało się centralną siedzibą komunistycznych władz.

Przekazany przez Amerykanów pokaźny zastrzyk finansowy pozwolił siłom monarchistycznym podjąć skuteczną walkę z komunistami. Jednak wynik toczącej się wojny domowej długo nie był oczywisty. Dopiero dwa lata później komunistyczny rząd upadł, a podporządkowane mu siły zbrojne rozformowane. Wielu komunistów udało się wówczas na wygnanie, unikając krwawych represji ze strony sił rządowych; część z nich trafiła także do Polski.

Dla wyniku wojny domowej decydujące znaczenie, oprócz finansowego wsparcia amerykańskiego, miało to, że komuniści byli w stanie zmobilizować do walki jedynie mniejszość społeczeństwa. Ostateczny zaś cios zadał wysiłkom greckich komunistów polityczny konflikt między ich protektorami – Józefem Stalinem i Josifem Broz-Titą, do jakiego doszło w 1948 r. Obok wielu innych aspektów, które poróżniły wówczas Moskwę i Belgrad, w sprawie wojny w Grecji Jugosłowianie opowiadali się za kontynuowaniem walki w Grecji za wszelką cenę, natomiast Sowieci starali się wygasić konflikt nierokujący nadziei na końcowy sukces.

Starcia zbrojne w Grecji zakończyły się ostatecznie w 1949 r. Sformułowana dwa lata wcześniej przez Trumana doktryna wspierania narodów walczących z komunizmem stała się niezmiennym elementem amerykańskiej polityki na kolejne kilkadziesiąt lat. Natomiast głębokie rany zadane przez wojnę greckiemu społeczeństwu nie zabliźniły się często do dziś.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

ADAM I LUDWIK OLIZAROWIE

ZMIENNE LOSY KRESOWYCH ZAWADIAKÓW

DUSZA POD KONTUSZEM MOŻE POZOSTAĆ NIEODGADNIONA



XVI-wieczna szlachta, rycina Juliusza Kossaka

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



HENRYK LITWIN

W popularnej i poczytnej przed mniej więcej 180 laty książce Aleksandra Przeździeckiego „Podole, Wołyń, Ukraina; Obrazy miejsc i czasów" można znaleźć taki oto opis dotyczący podróżnego wyposażenia Ludwika Olizara: „Zdjął aksamitną ferezję i pas lity, i żupan atłasowy barszczowy (czyli ciemnoczerwony); jeden dworzanin podał mu roztruchan srebrny z nalewką, drugi tuwalnię (rodzaj bardzo szerokiego szala) złotem szytą. Inny rozłożył broń na stołach – dziewięć pistoletów, szablę oprawną złocistą i parę muszkietów toruńskich". Obrazek powstał na podstawie odnalezionych przez autora akt sądowych i miał pokazywać magnacką zamożność kresowego szlachcica.

Początki nazwiska

Olizarowie, choć w XVI i XVII w. nie piastowali senatorskich godności, urodzeniem i majątkiem dorównywali Tyszkiewiczom czy Chodkiewiczom, a na Kijowszczyźnie byli uważani za wielkich panów. Wywodzili się po mieczu od przodka wspólnego z Tyszkiewiczami i Kmitami, a po kądzieli – od potężnych na XVI-wiecznej Kijowszczyźnie Niemirowiczów i Daszkowiczów. Ojciec Adama, Iwan, zapobiegliwy gospodarz, zebrał niemały majątek i zakupił m.in. w 1565 r. miasteczko Korosteszów, leżące kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Kijowa. Stanie się ono główną siedzibą rodu aż po drugą połowę XIX w. Iwan podpisywał się patronimicznym nazwiskiem Olizarowicz. Z nim właśnie widnieje w aktach unii lubelskiej, której akt sygnował jako poseł województwa kijowskiego. Jego przodkowie w linii męskiej używali najczęściej nazwiska Wołczkowicz. Już po unii Iwan, jako pierwszy w historii rodu, zaczął używać nazwiska Olizar-Wołczkowicz (lub Wołczkiewicz), które zapisało się w dziejach Kijowszczyzny. Zginął w walce z najazdem tatarskim w 1577 r.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Za Samozwańcami

Jedyny syn Iwana Adam odziedziczył rozległe, choć słabo zagospodarowane, włości. Prowadził on niezwykle intensywną działalność osadniczą, dzięki której jego majątki stały się ludne i zamożne. W latach 20. XVII w. liczyły sobie ponad 1,3 tys. dymów, a zatem osiągnęły rozmiary magnackiego majątku. Zamożność przyniosła mu silną pozycję na lokalnym rynku politycznym. Już w 1597 r. był po raz pierwszy posłem na sejm z województwa kijowskiego. Potem jeszcze co najmniej dwukrotnie sprawował tę funkcję – w 1609 i 1611 r. Adam Olizar był człowiekiem niepokornym, indywidualistą i zawadiaką. Jako pierwszy z panów kijowskich, czyli starej lokalnej elity, porzucił prawosławie i przeszedł na katolicyzm. Był już katolikiem w 1602 r., kiedy wraz z żoną Anną z Tchórzewskich, polską szlachcianką z województwa lubelskiego, ufundował kościół parafialny w Korosteszowie. Nie wiemy jednak, jak ani kiedy doszło do konwersji. Czy dokonała się ona pod wpływem żony – katoliczki, czy też wybór małżonki został podyktowany wcześniejszą zmianą wiary? W każdym razie zbłądziłby historyk, który chciałby się doszukiwać w postępowaniu Adama Olizara znamion interesowności i rachunku na życzliwość ówczesnego króla, pobożnego katolika Zygmunta III.

Pan na Korosteszowie ani myślał zabiegać o łaski monarchy i w 1606 r. stanął w szeregach rokoszu Zebrzydowskiego. 24 czerwca 1607 r., w czasie zjazdu pod Czerskiem, wypowiedział wraz z innymi posłuszeństwo królowi Zygmuntowi III. Po upadku rokoszu wrócił na Kijowszczyznę. Najwyraźniej ominęły go porokoszowe represje, które dotknęły tylko kilku najzagorzalszych buntowników.

Pan Olizar zbliżył się w tym czasie do swoich kuzynów, kniaziów Rużyńskich (synów jego ciotki Barbary z Olizarów), którzy także wzbogacili się znacznie dzięki intensywnej wówczas działalności osadniczej. Jeden z nich, kniaź Roman, zaangażował się w tym czasie w słynną awanturę Dymitra Samozwańca, którego wojskom przez pewien czas hetmanił. To zapewne Rużyński zainspirował Adama Olizara do udziału w moskiewskiej eskapadzie. Nie było to pierwsze doświadczenie wojenne tego ostatniego, już w 1596 r. brał on udział w walkach z Kozakami Nalewajki. W 1609 r. znalazł się w szeregach drugiego Samozwańca jako dowódca własnej chorągwi. Kiedy do działań włączył się król Zygmunt III, Olizar był wśród tych oficerów, którzy zdecydowali się na przyłączenie do wojsk koronnych. Na początku czerwca dołączył do sił Stanisława Żółkiewskiego i wziął udział w letniej kampanii hetmana przeciwko oddziałom moskiewskim dowodzonym przez Dymitra Szujskiego. Źródła nie wymieniają go z nazwiska, ale z poprzednio podanych informacji wynika, że musiał brać udział w zwycięskiej bitwie pod Kłuszynem. Odnotowujemy jego aktywność w wojskach Żółkiewskiego jeszcze w sierpniu i we wrześniu.

NIE WIEMY, JAK DOSZŁO DO KONWERSJI: POD WPŁYWEM ŻONY KATOLICZKI CZY WYBÓR MAŁŻONKI ZOSTAŁ PODYKTOWANY ZMIANĄ WIARY

Awanturne gospodarowanie

Na początku 1611 r. widzimy go już jednak na Kijowszczyźnie. Tegoż roku ponownie pełnił funkcję kijowskiego posła na sejm walny. Nad Dnieprem pozostał do końca życia i skupił się na działalności gospodarczej, kontynuując akcję osadniczą w swoich majątkach. Jego gospodarka była dość specyficzna, źródła sądowe roją się bowiem od akt procesów prowadzonych przeciw Olizarowi w sprawach o najazd i zagarnięcie dóbr. Często zastawiał swoje majątki, ale prawie równie często wolał odbierać je siłą pod pretekstem nieprawidłowości w kontraktach, niż spłacać długi zaciągane przy tych okazjach. Kulminacją jego kłopotów był 1617 r., kiedy w co najmniej siedmiu procesach zapadły przeciw niemu wyroki banicji. Ciekawe, że nie szkodziło to jego popularności wśród szlachty. W tym samym 1617 r. został wybrany na marszałka sejmiku przedsejmowego w Żytomierzu. Świadczy to, że cieszył się niemałym szacunkiem panów braci, choć na sejmiku kijowskim dominowali w owym czasie prawosławni, niemałe wpływy mieli także dysydenci, szczególnie arianie.

Oprócz Olizara w elicie staroruskich rodów katolikami byli jedynie Tyszkiewiczowie-Łohojscy, którzy jednak nie zaliczali się do jego przyjaciół. Pan Adam traktował chyba zmianę wyznania jako sprawę dość osobistą. Ufundował, jako się rzekło, parafię w Korosteszowie, ale brak jakichkolwiek śladów działalności misyjnej wśród poddanych z jego dóbr. W źródłach możemy znaleźć liczne potwierdzenia, że chłopi w majątkach Olizara pozostali prawosławni.

Nowe pokolenie

Adam Olizar zmarł w 1625 r., a schedę po nim przejęli dwaj synowie Ludwik i Wojciech. Ten drugi żył krótko i chyba rozrzutnie, doprowadził bowiem do przepadku części majątków, które odziedziczył. Ludwik, po bezpotomnej śmierci brata w 1628 r., zdołał odzyskać niektóre z dóbr ojczystych przypadłych Wojciechowi. Był chyba wiernym odbiciem postaci ojca, bo także jego życie toczyło się między polem bitwy, aktywnością sejmikowo-sejmową, gospodarstwem i salą sądową, co zresztą było typowe dla większości szlachty.

Ludwik Olizar jeszcze przed śmiercią ojca musiał być wprowadzony w życie sejmikowe Kijowszczyzny, już w 1625 r. po raz pierwszy został tu bowiem wybrany na posła na Sejm. Potem jeszcze co najmniej dwukrotnie szlachta kijowska powierzała mu tę misję – w 1632 i 1635 r., w 1643 r. pełnił zaś funkcję marszałka sejmiku deputackiego, czyli zwołanego dla wyboru deputatów na Trybunał Koronny, co miało dla szlachty nie mniejsze znaczenie niż elekcja posłów na sejm.

Równolegle Olizar angażował się w działalność wojskową. W latach 1632–1633 wziął udział w odsieczy Smoleńska. Stanął na czele własnej chorągwi należącej do pułku Fedora Woronicza, w którym służyli liczni Rusini z Wołynia i Kijowszczyzny. Kilka lat później znowu wyruszył w pole, tym razem przeciw Kozakom w 1638 r. Jak pisał w swoim diariuszu Szymon Okolski: „Jego Mość Pan Olizar półtora stu krewnych przyprowadził i jako zawsze czuły na każdą ekspedycją Rzeczypospolitej i potrzebę, »

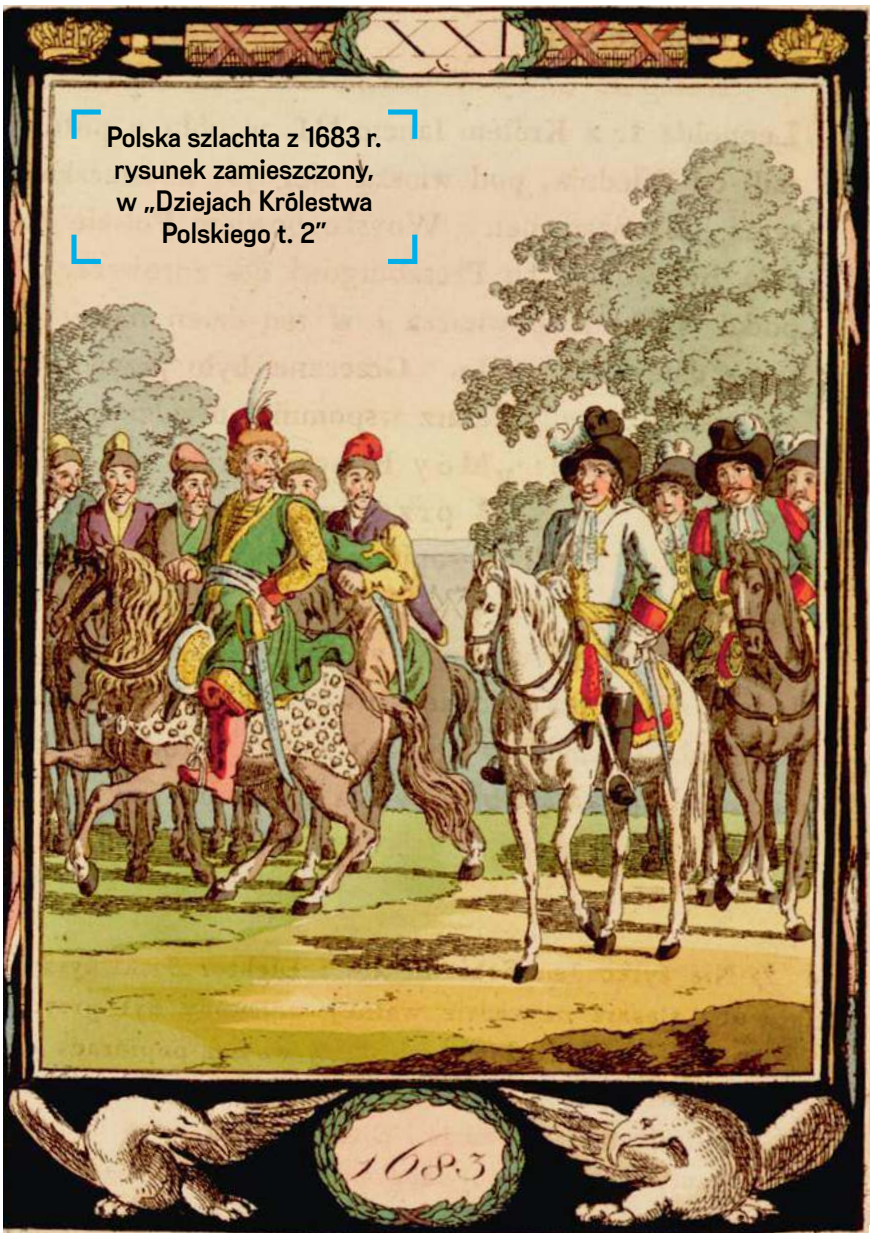
eprasa.pl 37b1e8a2c0

» ludzi wybornych przyprowadził i narażał się z nimi nieprzyjacielowi z pochwałą rycerstwa dobrego". Aktywność wojskowa była zapewne chlebem powszednim pana Ludwika, choć nie o wszystkich jej przejawach zachowały się wzmianki źródłowe.

Niedaleko pada jabłko...

Syn Adama Olizara poszedł w ślady ojca także w kwestii prowadzenia działalności gospodarczej i finansowej. Wiódł liczne spory sądowe, nie stronił od zajazdów i zbrojnych napadów, zastawiał i dzierżawił liczne dobra, prowadząc potem ostre spory z ich użytkownikami. Można powiedzieć, że jednocześnie powiększył i pomniejszył majątek odziedziczony po ojcu. Wedle źródeł podatkowych jego dobra dziedziczne liczyły sobie w 1640 r. prawie 2,2 tys. dymów, a więc grubo więcej niż za czasów ojca, jednocześnie jednak tylko 630 dymów pozostawało pod jego bezpośrednim zarządem. Część była puszczona w dzierżawę, a większość – blisko 1,4 tys. dymów – zastawiona. Ten stan rzeczy nie przeszkadzał Olizarowi prowadzić iście magnackiego trybu życia – utrzymywał dwór, prywatne oddziały wojskowe.

Nic niestety nie wiadomo o jego siedzibie. Niekoniecznie musiała ona znajdować się w Korosteszowie, który w czasach Ludwika bywał często dzierżawiony, a nawet zastawiany. O pozycji Olizara świadczą osoby jego adwersarzy w konfliktach sądowych. Z Jakubem Sobieskim, ojcem późniejszego króla Jana III, prowadził spór o Woronków na Zadnieprzu. Z hetmanem Stanisławem Koniecpolskim o Iwanków. Szczególnie długi i zażarty był konflikt z Karolem kniaziem Koreckim opisany przez wspomnianego na początku artykułu Aleksandra Przeździeckiego. Zaczął się od sporów majątkowych, a rozwinął się w małą wojnę prywatną, której zawiłości trudne są dzisiaj do odtworzenia, o wydarzeniach wnioskujemy bowiem na podstawie dokumentów sądowych składanych przez strony, w których autorzy są zwykle bez skazy, a oponenci charakteryzują się niebywałym okrucieństwem. Ludwik Olizar przegrał ostatecznie ten sądowy spór i został skazany na wypłacenie adwersarzowi rekompensaty. Nie był więc zapewne bez winy. Mimo raczej złego gospodarowania i opinii uciążliwego sąsiada pozostał człowiekiem obdarzanym



Polska szlachta z 1683 r. rysunek zamieszczony, w „Dziejach Krōlestwa Polskiego t. 2"

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

na Kijowszczyźnie szacunkiem, a może swego rodzaju respektem. Kiedy zmarł w 1645 r., Jakub Sobieski, prowadzący z Olizarem ostry spór sądowy, wysłał do wdowy list kondolencyjny pełen uprzejmych uwag o szacunku, jakim darzył jej małżonka.

Ciekawym rysem historii życia Ludwika Olizara są jego stosunki z poddanymi. Zachowały się akta sądowe opisujące rozboje czynione przez mieszkańców Korosteszowa na podróżującej przez to miasto szlachcie. W aktach procesowych znajdujemy niezwykłe wypowiedzi miejscowych chłopów, którzy odgrażając się Lachom, oznajmiali jednocześnie: „Nasz Pan Olizar nas neodstupit, a my zapłatym, bo jest czym, a żodnomu Olizarczukowi, kotoryj jest Jego Miłosti poddanyj szyju ne utnut i onych nevydast". Jak widać, katolik Olizar zachował silną więź z prawosławnymi i wrogimi Lachom poddanymi, mimo że z gorliwością walczył z Kozakami, zasługując na pochwalne oceny służących z nim ramię w ramię Polaków.

Sprawa ta wskazuje, jak skrzętnie trzeba unikać zbyt łatwych uogólnień i traktowania w sposób uproszczony podziałów tożsamościowych funkcjonujących w XVI czy XVII w. Typowy polski szlachcic z cytowanego na początku artykułu opisu okazuje się idolem swoich niechętnych wobec Lachów poddanych. Dyktuje to historykowi poważne zalecenia. Do opisu trzeba podchodzić z maksymalną rzetelnością, a do interpretacji z pokorą.

Dusza pod kontuszem może pozostać nieodgadniona.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Gubernator Hans Frank (z prawej) przyjmuje meldunek od komendanta oddziału polskiej policji (granatowej), październik 1940 r.

„GRANATOWI"

„POLICJA GRANATOWA JEST WYRZUCANA DZISIAJ POZA NAWIAS SPOŁECZEŃSTWA – ZNIENAWIDZONA" – TAK OKREŚLAŁ JĄ JEDEN Z RAPORTÓW KIEROWNICTWA WALKI PODZIEMNEJ W 1943 r.



MARIUSZ OLCZAK

W żaden sposób dzisiaj nie można jej działań w czasie wojny odbierać ani porównywać z funkcjonowaniem policji niepodległego państwa. Pisał o niej nieoceniony Marek Getter z Instytutu Historii PAN. Książkę na ten temat pod tytułem „Pogrobowcy klęski. Rzecz o policji »granatowej« w Generalnym Gubernatorstwie 1939–1945" wydał w Państwowym Wydawnictwie Naukowym Adam Hempel w 1990 r. Trzy lata wcześniej opublikował inną pod tytułem „Policja granatowa w okupacyjnym systemie administracyjnym Generalnego Gubernatorstwa: 1939–1945". Nie można więc powiedzieć, że temat nie był opisywany ani pozostawiony na boku lub przemilczany. Tym bardziej trudno uznać, że jest to rozdział zamknięty, gdyż rzecz jasna wraca przy okazji różnych publikacji dotyczących okresu okupacji.

FOT. NAC

„Nowa szkoła"

Policja granatowa w czasie wojny, jak twierdzi wywołujący ostatnio jej temat Jan Grabowski, stanowiła „istotny, niekiedy niezbywalny element, niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów". Więcej, w charakterystyczny dla siebie sposób oblicza, że ofiar granatowej policji były „setki tysięcy". I znów. Na podstawie jakiej metodologii, jakich źródeł, kolejny raz wyciągając niczym z kapelusza liczby? Używa niepoliczalnych i nieokreślonych zwrotów, pisząc w zapowiedzi swojej książki, że »

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» „polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę…”? I cóż znaczy to „często”? Względem jakich sytuacji, jakich zdarzeń, jakich danych? Liczę, że będzie w stanie wykazać to na kartach swojej książki. I żeby nie było wątpliwości, nie chodzi tu o bezkrytyczną obronę tej formacji, ale o trzymanie się elementarnych metod warsztatowych w niezwykle wrażliwych badaniach, jakimi są badania Holokaustu. Grabowski niejako na siłę nadaje policji granatowej charakteru państwowego – polskiego, co widać już zresztą w samym tytule jego książki. Niemniej recenzujący jego książkę napisał, że „granatowi policjanci, wywodzący się z Policji Państwowej II RP” uczestniczący w Holokauście to gorzej niż posiadanie „rodzimego SS”. Sic!

Kilkuletni okres okupacji zarówno w samej Warszawie, jak i na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa wygenerował wiele sytuacji związanych ze służbą funkcjonariuszy policji granatowej i kryminalnej, które mogą służyć za przykłady zarówno heroizmu, jak i zaprzaństwa oraz zdrady. Były również przypadki mordowania przez nich Polaków i Żydów. Nie ulega to wątpliwości dla nikogo znającego wydarzenia na terenie okupowanej przez Niemców Polski. Prowadzone dość szczegółowo w Warszawie i na terenie dawnego województwa zestawienia wydarzeń przedstawiają nam dość dobry obraz tego, co działo się na ulicach przez okres okupacji. Gorzej w przypadku prowincji, gdzie struktury konspiracyjne były stosunkowo słabsze. Dobrze znane są z dokumentów AK historie związane z działalnością Komendanta Policji Polskiej w Generalnym Gubernatorstwie Aleksandra Reszczyńskiego, jego zastępcy Franciszka A. Przymusińskiego, jak i Leona Skomorowskiego. Gorzej – tych niższych rangą policjantów służących zwłaszcza poza dużymi ośrodkami miejskimi. Stosunkowo dużo posiadamy bardziej szczegółowo lub mniej udokumentowanych raportów o nich. Byli policjanci, którzy nie godzili się na politykę eksterminacji Żydów. Niemcy np. aresztowali kapitana policji Jabłońskiego, kierownika XX Komisariatu PP, który nie stawił się „na rozkaz rozstrzeliwania Polaków i Żydów”. Komisariat ten zresztą był zaangażowany w konspirację, gdyż w tym samym tygodniu aresztowano posterunkowego Jana Chodaka zamieszkałego przy ul. Smulikowskiego 7/9 i NN zamieszkałego przy ul. Zakruckiej 11. Byli jednak tacy, którzy wykorzystywali okazję do zarobku na wydawaniu Żydów. Taki był np. plut. Piotr Ruszkowski z Komisariatu XVII w Warszawie, który – jak ustalił kontrwywiad Obszaru Warszawskiego AK – „na własną rękę ujawniał miejsce zamieszkania Żydów, wymuszał sumy pieniężne”. I – co charakterystyczne – „był również w kilku wypadkach silnie podejrzany o wymuszanie okupów od Polaków”, bo z reguły szmalcownicy szantażujący Żydów stosowali także szantaże wobec sąsiadów lub znanych sobie Polaków. Czynnikiem wspólnym dla nich była skrajna demoralizacja stawiająca ich poza, jak to mówiono w okresie wojny, zdrowym społeczeństwem. Wspomnianemu wcześniej Ruszkowskiemu wizytę w jego mieszkaniu pod jego nieobecność złożyło kilku nieznajomych mężczyzn, co wystarczyło, aby zrezygnował ze służby i zniknął z miejsca zamieszkania.

Ważne świadectwa

Ważna też była postawa policji w momencie rozpoczęcia likwidacji getta. W raporcie z 11 sierpnia 1942 r. w jednym z dokumentów Delegatury Rządu RP podawano na podstawie danych informatora z policji granatowej, relacjonując sytuację: „Nadzór nad działalnością policji żydowskiej wykonują gestapowcy, których na terenie ghetta ma być zaledwie ok. 10, i białogwardziści (w liczbie 50). Na zewnątrz ghetta pilnują murów Łotysze, Estończycy i Litwini, strzelając przy tym do okien domów żydowskich, jeżeli tylko ktoś się tam pokaże. Wstęp na teren ghetta jest im wzbroniony pod karą śmierci. Na terenie ghetta istnieje też Komisariat Policji Polskiej, jednak policjanci polscy nie mają nic wspólnego z akcją likwidacji ghetta. Nieużywanie w tym celu Policji Polskiej przez okupanta jest z pewnością dowodem braku zaufania do p o l s k i e j policji [wyróżnienie oryginalne – MO], wynikającego wskutek postawy całego społeczeństwa polskiego” (AAN, DR, 202/II-28). Tylko tyle i aż tyle. Relacja tego policjanta była na tyle wstrząsająca, że zdecydowano się w Departamencie Informacji Delegatury Rządu RP nie publikować część jej fragmentów. W tej samej relacji spotykamy ciekawy przykład zarządzania policją granatową przez władze niemieckie. Otóż 8 sierpnia 1942 r. odbyła się odprawa dla oficerów policji granatowej, na której przemawiał dowódca Schutzpolizei i Leist… oraz – jak podkreślono – dawny major policji polskiej, a wówczas już major policji niemieckiej volksdeutsch wspominany Przymusiński: „Oświadczono oficerom policji polskiej, że całkowity »nieporządek« a mianowicie: handel nielegalny artykułami spożywczymi i innymi, ruch po godzinie policyjnej, a nawet wylegiwanie się na plażach /istnieje piśmienny rozkaz dla policji »granatowej«, iż ma urządzać łapanki na plażach



Polscy policjanci podczas przesłuchiwania zatrzymanego mężczyzny w komisariacie w Krakowie, 1940 r.

FOT. NAC

eprasa.pl 37b1e8a2c0

i doprowadzać złapanych do Arbeitsamtów/ musi ustać bezwzględnie. Oficer Policji Polskiej ma obowiązek dopilnowania, by jego podwładni odpowiednio gorliwie wykonywali narzucone przez Niemców funkcje, zgłaszając ich w razie opieszałości do Sądów Specjalnych, obozów karnych lub do Gestapo. Oficer, który nie daje sobie rady z podwładnymi, będzie... z l i k w i d o w a n y/co należy rozumieć: zamordowany/ [podkreślenie oryginalne – MO]". „Nie żądamy, byście nas kochali, a żądamy – jako od narodu podbitego – wykonywania naszych rozkazów. Kto nie usłucha – będzie zlikwidowany" – oto słowa Leista na tej odprawie. Tyle meldunek-relacja, która daje realne naświetlenie zarządzania policją granatową na terenie Warszawy.

Przez cały okres okupacji policja granatowa i kryminalna była obserwowana i inwigilowana przez struktury Polskiego Państwa Podziemnego, które jej postawę, podobnie jak społeczeństwo, oceniało rzecz jasna negatywnie. Kontrwywiad KG AK miał w jej szeregach wystarczająco dużo informatorów, by szczegółowo rozpoznać struktury policji zarówno osobowe, jak i jej organizację. Chronologiczne zestawienia Referatu 993/P Kontrwywiadu KG AK najlepiej obrazują wysoki stopień rozpoznania tej służby. Doskonale wiedziano dzięki temu, co dzieje się w komisariatach i w codziennej służbie. Podobnie posiadano szczegółowe rozpoznanie osobowe policji z analizą cech poszczególnych funkcjonariuszy, co miało się przydać zwłaszcza w momencie powoływania policji już niepodległego państwa. Element, który wysługiwał się okupantowi i podejmował działania antypolskie, miał zostać wyeliminowany ze służby.

Nie sposób nie wspomnieć o tej prawdziwie POLSKIEJ policji, która funkcjonowała w okresie okupacji. To właśnie była policja, którą można nazwać polską, choć nie nosiła mundurów i nie posiadała swoich komisariatów. To właśnie Państwowy Korpus Bezpieczeństwa (PKB) podporządkowany Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP na Kraj można uważać za polską policję, nie zaś policję granatową. To właśnie PKB, w którym służyło wielu „granatowych", miał stać się podwaliną przyszłej służby. Funkcjonariusze policji granatowej i kryminalnej mieli zostać poddani weryfikacji. W tym kontekście szczególnie interesująca jest opinia na temat policji granatowej powstała w strukturach Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC) w 1943 r. Wyciąga ona pewne wnioski jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy dobór korpusu oficerskiego i szeregowych pozostawiał wiele do życzenia, a w jego kształtowaniu nie zwracano odpowiednio uwagi na postawę społeczną i moralną. Jak dość obcesowo diagnozowano, „z policjanta polskiego stworzono typowego »stupajkę« zdolnego do jak najgorszych wyczynów byle tylko lojalnym był w stosunku do władzy i ślepo wykonywał zarządzenia". Społeczeństwo miało jeszcze przed 1939 r. widzieć w policjancie nie przedstawiciela władzy, który zwalczał przestępstwa i chronił obywateli, ale łapownika w głupi sposób tyranizującego obywateli jako ślepe narzędzie władzy. W analizie wskazywano, że wina za taką sytuację leżała zarówno po stronie władz i dowództwa policji, jak i po stronie społeczeństwa nieumiejącego zrozumieć trudnej roli policji. Z takim bagażem policja miała wejść w 1939 r. w okres wojny. Wojna zaś demoralizowała znacznie bardziej, a policja – jak stwierdzono – uległa jej w znacznym stopniu. Wartościowe jednostki miały szybko zginąć w obozach lub zostać aresztowane za pomoc społeczeństwu. W 1943 r. spośród nich mieli pozostać na stanowiskach dowódczych jedynie nieliczni. Łapownictwo wśród policji granatowej miało stać się rozpowszechnione. Jak pisano obrazowo, „Potajemne piekarnie, wytwórnie bimbru, szmuglerzy, cały handel, a także nieostrożni przechodnie utrzymują dziś korpus policji". Za najgorsze jednak KWC uznawało to, iż „wielki odłam policji żyje nie tylko z łapownictwa, lecz poza tym pozostaje na usługach okupanta, starając się swoją »lojalną« dla okupanta a wrogą w stosunku do społeczeństwa polskiego pracą zarobić na nagrody, awanse itd.". Dodatkowo policja granatowa ponosiła straty osobowe ze strony tych, których zwalczała, czyli różnego rodzaju szajek handlarzy i złodziei. Akcje ich traktowała jako powzięte ze strony podziemia, przez co jeszcze bardziej umacniała współpracę z okupantem i jego konfidentami. Przez kilka pierwszych lat okupacji nakręciło to taką spiralę złych emocji, że KWC już w 1943 r. dostrzegało niemożność zorganizowania w przyszłości w wolnym kraju policji na podstawie tak zdemoralizowanego, znienawidzonego i nienawidzącego elementu. Powojenna weryfikacja pokazała duży fragment tego nienadającego się do służby elementu. Nazywanie policji granatowej i kryminalnej obecnie po prostu polską policją jest w pewnym sensie nadużyciem w kontekście szczególnie prowadzonej teraz dyskusji o rzekomym współudziale Polski w Holokauście. Policja ta nie była bowiem częścią państwa polskiego, które na dawnych ziemiach polskich po klęsce wrześniowej było reprezentowane li tylko przez struktury podziemne. Ta policja była tak samo polska, jak polskie były obozy koncentracyjne.

Próba bilansu

Niemniej sam okupant wraz ze zbliżaniem się ze wschodu frontu i widmem klęski dostrzegał zmiany w zachowaniu i lojalności podległych mu służb policyjnych. W kwietniu 1944 r. zameldowano w KG AK, że władze niemieckie przewidują reorganizację policji granatowej, co mogło wiązać się z wątpieniem w jej lojalność i coraz większym wpływem podziemia na jej struktury. Propozycje reorganizacji policji na terenie Generalnego Gubernatorstwa miały być trzy: 1) Samo jej rozwiązanie i skierowanie policjantów na roboty do Niemiec lub do obozów koncentracyjnych; 2) Mianowanie na wyższe, dowódcze stanowiska w jej strukturach oficerów Ukraińców. Miało to być niejako odwrócenie sytuacji we Lwowie, w którym dowództwo było w rękach Polaków, struktury składały się zaś z Ukraińców; 3) Trzeci projekt przewidywał szerokie wymieszanie struktur policyjnych Ukraińcami. W nim przewidywano przeniesienie do Warszawy dwóch batalionów ukraińskich. Propozycje te były analizowane i dyskutowane w strukturach władz Generalnego Gubernatorstwa i stamtąd ich treść przeniknęła do dowództwa AK.

Zasygnalizowałem tylko kilka szczegółowych zagadnień, jak i szczyt góry lodowej źródeł z okresu wojny opisujących działalność policji granatowej. Materiał zgromadzony w kilku archiwach zarówno polskich, jak i zagranicznych jest ogromny. Mam nadzieję, że wszyscy piszący syntetyczne książki o tych dramatycznych czasach podejdą do nich z należytym szacunkiem, który wyrazi się nie w dniach i tygodniach, ale miesiącach i latach spędzonych przed skanami, mikrofilmami czy oryginalnymi dokumentami opisującymi ten tragiczny czas pełen ludzkich dramatów i śmierci.

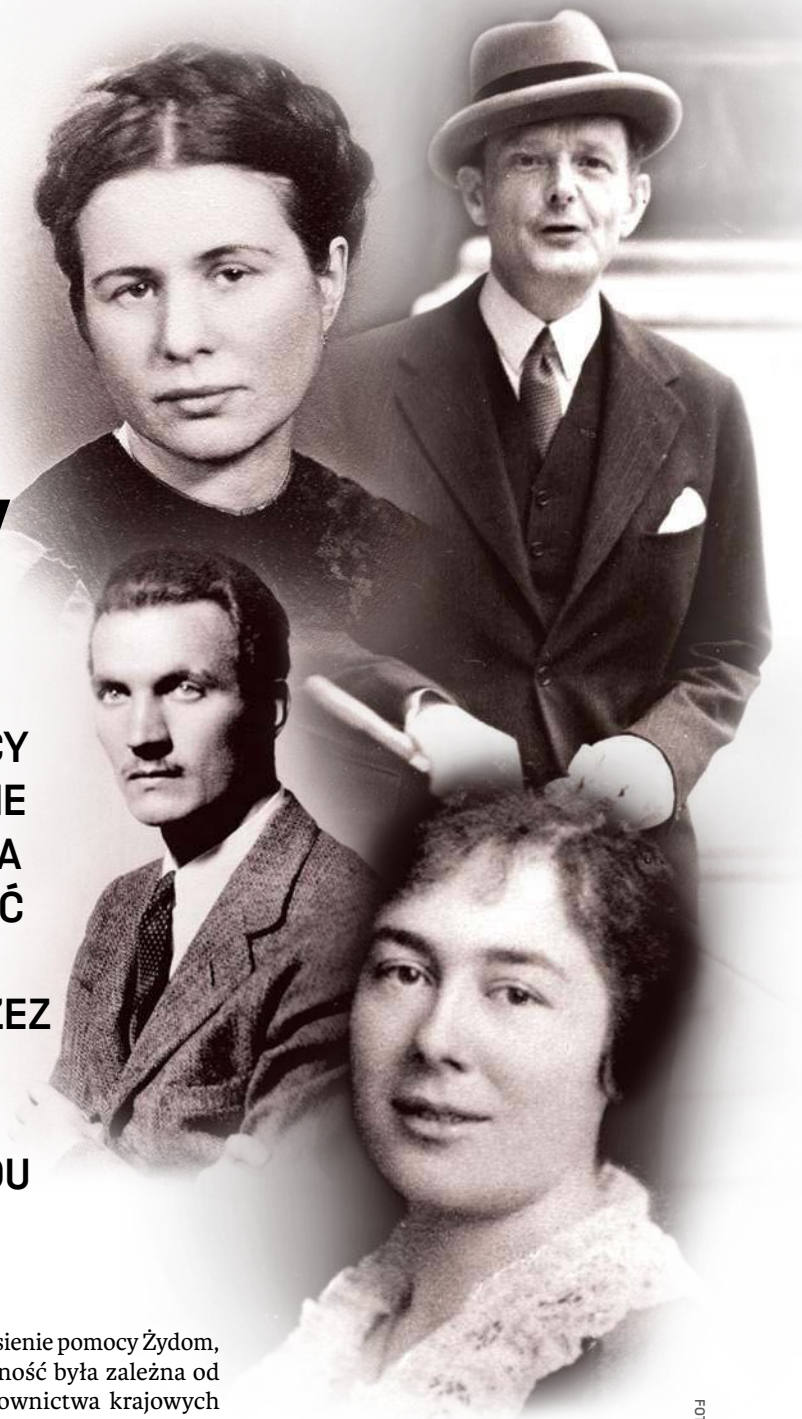
eprasa.pl 37b1e8a2c0

POLSKA WOBEC ZAGŁADY

BIORĄC POD UWAGĘ SKALĘ POMOCY UDZIELANEJ ŻYDOM PRZEZ POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE I RZĄD RP NA UCHODŹSTWIE, MOŻNA STWIERDZIĆ Z CAŁĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ, ŻE CELEM WOJNY PROWADZONEJ PRZEZ POLAKÓW Z NIEMCAMI STAŁA SIĘ, SZCZEGÓLNIE OD JESIENI 1942 r., TAKŻE PRÓBA URATOWANIA NARODU ŻYDOWSKIEGO OD ZAGŁADY



JAN ŻARYN



Od góry: Irena Sendlerowa, Edward Raczyński, Jan Karski, Zofia Kossak-Szczucka

FOT. ZDJĘCIA POZYSKANE PRZY WSPÓŁPRACY Z WYDAWNICTWEM VOLUMEN

Dzieło pomocy zaangażowane zostały wszystkie struktury państwa – cywilne i wojskowe; krajowe i emigracyjne: dyplomacja, finanse publiczne i służby propagandowe; sądownictwo i plutony egzekucyjne. Powołano do życia specjalną strukturę państwową, Radę Pomocy Żydom „Żegota", jedyną taką organizację w skali świata, której podstawowym zadaniem było niesienie pomocy Żydom, ale której skuteczność była zależna od determinacji kierownictwa krajowych i emigracyjnych instytucji ówczesnego Państwa Polskiego, działającego w warunkach arcytrudnych, niespotykanych w dziejach.

Ta jednoznaczna postawa elit polskich z lat 1942–1945 wyrażała także nastroje społeczne coraz wyraźniej buntującego się narodu. Tak opisywał te nastroje dowódca Armii Krajowej, gen. Tadeusz Bór-Komorowski: „Zasada odpowiedzialności zbiorowej, stosowana przez Niemców wobec ludności za każdy wykonany przez nas akt oporu czy sabotażu, zmusiła nas do szukania takich metod, któreby uniemożliwiły odwety tego rodzaju. Musieliśmy także wyrównać stosunek strat własnych i strat zadawanych wrogowi. Tymczasem w polskiej opinii publicznej pod koniec roku 1942 zaszła zmiana. Społeczeństwo polskie, które do tej pory niechętne było wystąpieniu podziemia z bronią w ręku, zaczęło sobie zdawać sprawę, że niepodobna dalej biernie poddawać się eksterminacji. Zmiana ta nastąpiła nie tylko na skutek niepowodzeń niemieckich na różnych

eprasa.pl 37b1e8a2c0

frontach wojennych. Bezpośredniego jej powodu należy szukać w samej Polsce. Mam na myśli masowe wymordowanie Żydów przez Niemców".

Polskie Państwo Podziemne nie było w stanie powstrzymać okupantów niemieckich przed wykonaniem „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", ale mogło wzmocnić swoje struktury terenowe, prowadzić akcje dywersyjne, a także skuteczniej mobilizować Polaków do sprzeciwiania się okupantowi, w tym przez niesienie pomocy Żydom. I czyniło to, jednoznacznie wpisując pomoc na rzecz Żydów na listę priorytetowych zadań państwa.

Pomoc indywidualna

Jak wynika z raportów Polskiego Państwa Podziemnego przesyłanych do Rządu RP na Uchodźstwie w Londynie, choć plaga donosicielstwa była groźna dla wszelkich przejawów konspiracji (nie tylko pomocy Żydom), to jednak zdecydowana większość Polaków współczuła Żydom i podejmowała próby niesienia choćby symbolicznej pomocy. Jednocześnie lękano się konfrontacji z potrzebującymi pomocy i podejmowania decyzji. Co najmniej od jesieni 1941 r. Niemcy wprowadzili karę śmierci za jakąkolwiek pomoc udzieloną uciekinierowi z getta; żandarmeria niemiecka mordowała zarówno sprawców przestępstwa, jak i całe rodziny. Sytuacja skrajnego zagrożenia powodowała, że niewielu Żydów decydowało się na opuszczenie getta, a stosunkowo niewielu Polaków decydowało się na udzielenie im s t a ł e j pomocy. Częstszą formą była zatem pomoc doraźna, jednorazowa i krótkotrwała, ale także zbawienna. Jej formy były przeróżne – od wyrobienia fałszywej metryki, podarowania żywności, przewiezienia z miejsca na miejsce, po zgodę na krótkotrwały pobyt i poszukiwanie stabilniejszej kryjówki. Według świadectwa wielu uratowanych Żydów, by mogli oni przeżyć, musieli znaleźć na swej drodze od kilkunastu do kilkudziesięciu Polaków. Stella Zilbersztajn (po wojnie siostra zakonna), wspominając swoje lata w ukryciu na terenie Podlasia, policzyła, że ratowało ją i jej matkę (w tym przypadku nieskutecznie) w sumie 65 Polaków katolików. Wśród nich był i miejscowy kapłan, który w czasie niedzielnego kazania – jak wspominała Stella Zilbersztajn – odważnie nawoływał wiernych do udzielania pomocy ukrywającym się Żydom. Przerwanie tego łańcucha dobrych serc oznaczać mogło tylko jedno: wydanie ratowanego na śmierć.

„W duszy miałam piekło. Jak to, ja nie Polka? Więc kto jest Polakiem? Ojciec mój brał udział w powstaniu styczniowym 1863 r., matka z Cecylią Śniegocką, swoją najserdeczniejszą przyjaciółką, z Heleną Ceysingerową i dr Ciszkiewiczową zajmowała się za czasów apuchtinowskich [Aleksandr Apuchtin – kurator warszawskiego okręgu szkolnego 1879–1897, rusyfikator, twórca szkolnego systemu donosów i szpicli] tajnym nauczaniem. Dom rodziców nie tylko był polski, ale to była kuźnia polskości" – wspominała Zuzanna Rabska chwilę, gdy dowiedziała się, iż zgodnie z rasistowskim prawem niemieckim miała opuścić dom, by wejść do tworzącego się getta. Nie weszła, świat żydowski był dla niej światem zewnętrznym, obcym. Całą okupację chroniła się po stronie aryjskiej; podobnie np. Jan Brzechwa, znany pisarz, który wręcz ostentacyjnie w czasie wojny chodził do tych samych knajp i miejsc, nie bacząc na możliwość denuncjacji. Wojnę przeżył. Jak pisał Emanuel Ringelblum: „Można przyjąć za aksjomat, że o ile Żyd miał w rodzinie polskich krewnych, mógł liczyć na ich pomoc, nawet jeśli rodzina ta składała się z samych antysemitów". Ta prawda dotyczyła jednak tylko tych nielicznych Żydów – de facto Polaków, do 5 proc. (może więcej) społeczności żydowskiej w II RP, którzy podjęli decyzję o wyjściu ze swego narodu, często przyjmując chrzest i polską kulturę. Stawali się, a potem byli Polakami, niezależnie od decyzji prawnych wkraczającego na ziemie polskie okupanta niemieckiego. Jak wspominała Krystyna Zabłocka, z d. Skarżyńska, jej koleżanka Lidia Parecka „była w trzecim pokoleniu katoliczką, jedynie przez Niemców uważana była za Żydówkę. Poszukiwana po śmierci rodziców przez gestapo, na wiosnę 1942 r. zmuszona była uciekać ze Lwowa. Siostry Sacré Coeur [Zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusa], których była wychowanką, wysłały ją do ss. Niepokalanek w Nowym Sączu, w którym ja byłam uczennicą". Następnie Lidia, jako rzekoma kuzynka, zamieszkała u rodziców Krystyny: „Mieszkała w jednym pokoju ze mną. Jest faktem znamiennym, godnym podkreślenia, że mimo iż ukrywanie osoby pochodzenia żydowskiego o bardzo wyraźnych rysach semickich nie dało się zachować w zupełnej tajemnicy i było dość szeroko w okolicy znane – nie znalazł się w ciągu trzech lat nikt, kto by doniósł o tym Niemcom" – pisała po wojnie. Ci Żydzi, którzy byli związani z kulturą polską, nawet jeśli weszli do getta, jak Barbara Bregman z matką i rodzicami ojca, który walczył w tym czasie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, czuli się tam źle – jak na obcym terenie: „Dobrze pamiętam [kościół Wszystkich Świętych w Warszawie], bo była to »



Bezdomne dzieci żydowskie na ulicach getta warszawskiego, 1941–1943

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Siostra Barbara Kraciuk ze zgromadzenia Sióstr św. Michała Archanioła z Godowej koło Krzyżowa

» nasza parafia, gdzie rodzice, brat i ja byliśmy chrzczeni, i ogródek, do którego chodziłam codziennie przez dwa lata. Wyszłam z Getta w lipcu 1942 r. wraz z moją matką. Doznałyśmy wiele pomocy i podpory u dawnych znajomych i nowych przez następne dwa lata. Dawna znajoma p. Stanisława Wedecka była naszą główną opiekunką, rodzice przyjaciela mego brata od profesora Lenarta, jego żona i synowie utrzymywali z nami stały kontakt, moja matka mieszkała przez półtora roku u p. Ireny Nowodworskiej, wdowie po Leonie Nowodworskim, dziekanie Rady Adwokackiej i jednym z przywódców Stronnictwa Narodowego, ksiądz Leon Pawlina z Caritasu dał nam nowe papiery i umieścił mnie na pół roku w szkole przy klasztorze Sióstr Felicjanek pod Warszawą".

Przed Zagładą

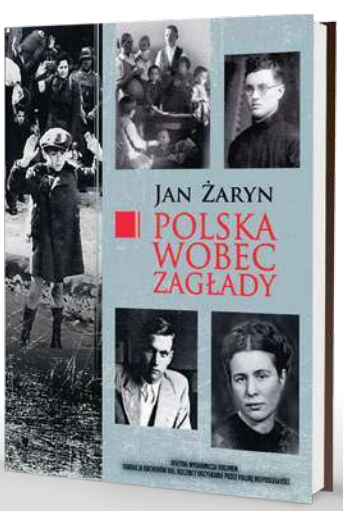
W latach 1940–1942 tylko nieliczni Żydzi ortodoksyjni decydowali się opuszczać swoje naturalne środowisko – społeczność żydowską. Niemcy odgrodzili zresztą Żydów od Polaków, każąc tym pierwszym nosić opaski z gwiazdą Dawida, a wkrótce potem tworząc zamknięty świat nadzorowany m.in. przez judenraty i brutalną wobec mieszkańców gett policję żydowską. Jednak i w tym czasie indywidualna pomoc czy choćby środowiskowa solidarność nie były czymś rzadkim. Ich rozmiary i skuteczność były oczywiście różne. Przykładowo adwokaci polscy wkrótce po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa otrzymali od władz niemieckich zapewnienie, iż będą mogli nadal uprawiać swój zawód w ramach korporacji, pod warunkiem że przyjmą prawo okupacyjne wykluczające z zawodu adwokatów pochodzenia żydowskiego. Polscy adwokaci, w tym przedwojenni narodowcy i chadecy, odmówili usunięcia z palestry adwokatów żydowskich, za co sami także zostali skreśleni z listy. Następnie założyli tajną Naczelną Radę Adwokacką. W jej skład weszli: jako przewodniczący adw. Bolesław Bielawski, jako zastępca przewodniczącego adw. Feliks Zadrowski oraz Witold Bayer, Jan Gadomski, Jan Nowodworski, Stanisław Peszyński oraz Bohdan Kuligowski jako członkowie. Tajna organizacja wspierała kolegów pozbawionych środków do życia, w tym Żydów. Za swoją postawę wielu polskich adwokatów zostało aresztowanych, w tym wywiezionych do KL Auschwitz.

CO NAJMNIEJ OD JESIENI 1941 r. NIEMCY WPROWADZILI KARĘ ŚMIERCI ZA JAKĄKOLWIEK POMOC UDZIELONĄ UCIEKINIEROWI Z GETTA; ŻANDARMERIA NIEMIECKA MORDOWAŁA ZARÓWNO SPRAWCÓW „PRZESTĘPSTWA", JAK I CAŁE RODZINY

Trochę statystyki

W Generalnym Gubernatorstwie Żydzi zaczęli uciekać z gett – głównie warszawskiego i pomniejszych, a potem stawiać coraz większy opór wobec polityki okupanta, dopiero od jesieni 1942 r. Według świadectwa przewodniczącego Rady Pomocy Żydom Żegota w Krakowie liczba Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego (w tym wyznania katolickiego) ratowanych przez Polaków w latach 1942–1945 mogła sięgnąć 300 tys., z kolei z wyliczeń wywiadu Armii Krajowej i Delegatury Rządu na Kraj wynikało, że jeszcze w marcu 1944 r. ukrywało się na ziemiach okupowanych przez Niemców do 250 tys. Żydów. W zdecydowanej większości byli to Żydzi niezasymilowani, którzy do roku 1942 pozostawali w swojej wspólnocie w gettach utworzonych przez Niemców. Decydowali się na opuszczenie tej wspólnoty i przejście na tzw. stronę aryjską dopiero wtedy, gdy groźba śmierci stawała się bezalternatywna.

Osoby uciekające z gett czy z pociągów zmierzających do obozów śmierci pozostawione bez środków do życia, dachu nad głową czy odzieży, jednym słowem bez pomocy ze strony polskiej ludności, tak czy inaczej skazane były na śmierć.



Fragment książki prof. Jana Żaryna „Polska wobec Zagłady", wyd. Volumen, Warszawa 2019

eprasa.pl 37b1e8a2c0

ŚMIERĆ NA ZESŁANIU

MIESZKAŃCY WSCHODNICH ZIEM II RZECZYPOSPOLITEJ, DECYZJĄ STALINA ZSYŁANI W GŁĄB ZWIĄZKU SOWIECKIEGO W RAMACH DEPORTACJI Z LAT 1940–1941, DOŚWIADCZALI CIĘŻKIEJ PRACY, GŁODU, ZIMNA, ROBACTWA. NIEMAL NA KAŻDYM KROKU CZEKAŁA NA NICH TAKŻE ŚMIERĆ, DOPADAJĄCA OSŁABIONYCH, WYCIEŃCZONYCH I SCHOROWANYCH LUDZI »



JOANNA PAKUZA

I w tajgach, w pustkowiu, wśród mrozu, ciosali swoje przetrwanie,
By pamięć ponieść o sobie i o tych, co nie przetrwali.
ks. Łukasz Krzanowski, „Syberyjskie anioły"

W sowieckich gułagach więźniowie wyczerpani morderczą pracą, surowym klimatem i głodem marli jak muchy. Płeć i wiek nie miały tutaj żadnego znaczenia



epirasa.pl 37b1e8a2c0

Ze śmiercią deportowani spotykali się już w czasie transportu. Umieranie w bydlęcych wagonach nosiło cechy dramatyczne nie tylko ze względu na przyczyny (głód, choroby, zamarznięcia), wiek (śmierć dotykała zarówno dzieci, ludzi w sile wieku, jak i starców), ale też z powodu braku możliwości godnego pochowania swoich bliskich. Zwłoki wyrzucone z wagonów pozostawiano bowiem na bocznicach lub polach, najczęściej nie zakopując nawet pod cienką warstwą ziemi. Odebranie ludziom możliwości sprawowania choćby symbolicznych obrzędów pogrzebowych (w polskiej mentalności tak ważnych) pozostawiało wrażenie niedokończoności ludzkiego życia, które brutalnie przerwane, w sensie religijnym było niesfinalizowane. Wcześniej przeżywało się przecież śmierć najbliższych w domu, w gronie rodziny, w wagonach natomiast została ona niejako wystawiona, jak przypomina K. Kość, na „publiczny ogląd. [...] Warunki transportu zubożały zjawisko śmierci o przynależne jej w polskiej obrzędowości rytuały, ale przede wszystkim odbierały jej ludzki, humanistyczny charakter".

Warunki te prowadziły do desakralizacji śmierci. Jedną z sytuacji, które dobrze ją obrazują oraz ukazują sposób traktowania zmarłych przez Sowietów, opisał w swoich wspomnieniach E. Kurowski: „[W czasie postoju] wchodząca do szopy podobnej do ubikacji kobieta wyskoczyła stamtąd z piskiem [...] . Przecież tam stoją ludzie zamarznięci na śmierć – wykrztusiła [...]. Okrążyliśmy tę kobietę, pytając, jacy ludzie? Przybiegł oddział żołnierzy [...], starszy lejtnant uniósł ręce do góry, chcąc coś powiedzieć. – Spokojnie towarzysze z Polski. Ludzie wszędzie umierają, w transportach też. Wyciągamy martwych z wagonów, nie mogą przecież jechać z żywymi, to chyba zrozumiałe, a transporty z Polakami przejeżdżają tutaj codziennie. Nie ja je wysyłam. [...] Co mamy robić z trupami? Przechowujemy w budce ubikacyjnej, innej nie mamy. A na wiosnę, jak śnieg stopnieje i ziemia roztaje, zakopiemy jak obywateli". Takie pozostawianie zwłok w specjalnych komórkach-trupiarniach było „częstą formą pozbywania się zwłok w trakcie podróży [...]. Wyznaczeni do tego przedstawiciele administracji sowieckiej w najmniejszym nawet stopniu nie dbali ani o zachowanie norm obyczajowych, ani o poszanowanie ludzkiej godności. Przede wszystkim zajmowali się usuwaniem martwych ciał, a czynność ta wykonywana była mechanicznie i bez emocji, w czym bardziej przypominała [...] utylizację śmieci niż pochówek. Wszystko to było, niestety, tylko zapowiedzią tego, co na zesłaniu miało przybrać formę jeszcze tragiczniejszą".

Po wielu tygodniach podróży, po dotarciu do wyznaczonych miejsc zsyłki, śmierć nie przestawała zbierać swojego żniwa. Była ona doświadczeniem powszechnym, którego nie dało się nie zauważyć. Można było jedynie się oswajać i przyzwyczajać do obecności chorych, konających, a w końcu zmarłych. Przyzwyczajać się nie tyle ze zobojętnienia na los drugich, ile dla swojego dobra, by móc w ogóle jakoś w tamtych warunkach funkcjonować. Dla osób wierzących przyzwyczajenie nie mogło jednak oznaczać zobojętnienia w miłości: wejście w misterium śmierci najbliższych stawało się dużym przeżyciem emocjonalnym, ale także możliwością zamanifestowania swojej wiary oraz poczucia wspólnoty przez modlitwę.

Powszechność śmierci

Bliskością i modlitwą starano się otaczać zwłaszcza dzieci. Śmierć dziecka, która dla rodziców zawsze jest wydarzeniem traumatycznym, na zesłaniu przyprawiała o dodatkowe cierpienia. J. Lasota-Migas, matka dziewczynki urodzonej już na zesłaniu, ale zmarłej z powodu niedożywienia, wspominała: „Lekarz nie zdążył przyjść. Dziecko zmarło [...]. Poszłam, oderwałam dwie deski z dachu baraku, by zrobić trumienkę. Widział to Polak Jach i dał znać do NKWD. Przyszli w parę minut. [...] Uderzyli mnie i powiedzieli: »Nielzja – job twoju mać«. Dziecko wyrzucili buzią do pryczy, a mnie zamknęli na 24 godziny do więzienia. [...] Wypuścili mnie na drugi dzień [...]. Płakaliśmy razem z mężem za naszą córeczką". Czasem podobne doświadczenia prowadziły niektórych wręcz do obłędu, tym bardziej że nie każdemu udało się na zesłaniu umrzeć otoczonym troskliwą bliskością ludzi. Niejednokrotnie śmierć spotykała zesłanych po cichu, kazawszy zostawić w osamotnieniu tych, których się kochało, jak opisała to J. Stefanik: „Zmarła pewna inteligentna matka wychowująca dwoje małych dzieci. Mieszkała z dziećmi samotnie w małej lepiance z klepiskiem. Sąsiedzi zauważyli, że ta pani rano nie wyszła ze swej lepianki. Zaglądają przez okienko i widzą ją leżącą na klepisku, [...] wstrząsający widok: kobieta martwa leży na ziemi, starsze dziecko śpi obok niej, a młodsze, może czteroletnie, trzyma w rączce i gryzie główkę małego kota, w garnku zaś znajdował się tułów, który najwidoczniej miał być ugotowany. Wszyscy płakali. Zwłoki zagrzebano w piasku. A dzieci oddano do sierocińca".

Śmierć, bez względu na wiek umierającego, była zawsze przeżyciem dramatycznym, przede wszystkim dlatego, że jej „stała obecność w trakcie deportacji [...] miała w sobie coś nierzeczywistego, coś, co sprawiało, że zesłańcy czasami nie wierzyli, że to wszystko dzieje się naprawdę i nie jest koszmarem, z którego można się wybudzić. [...] W normalnych warunkach trudno jest sobie wyobrazić, że w krótkim czasie można stracić całą rodzinę dzieci, rodziców, sąsiadów, i w przeciągu kilku tygodni zostać wdową, sierotą i matką opłakującą swoje dzieci. Początkowo przesiedleńcy dziwili się, że jednego dnia jeszcze ktoś chodził, rozmawiał, a drugiego już go nie było; stąd tak częste w relacjach kolokwialne wyrażenie, że ludzie marli jak muchy. Płeć i wiek umierających nie miały tutaj żadnego znaczenia" (K. Kość). Jednak liczba relacji dotyczących umierania świadczy o tym, że mimo upływającego czasu ludzie nigdy tak naprawdę nie oswoili się z zesłańczymi koszmarami i nie zaakceptowali zdehumanizowanej postawy wobec zmarłych. Dlatego, po towarzyszeniu konającym i modlitwie za nich, pogrzeb był ostatnim aktem, wręcz uczynkiem miłosierdzia, jaki okazywano współzesłańcom. Stawał się momentem z jednej strony manifestacji wiary, ale też łączącym zesłańców w solidarności i wzajemnym wsparciu.

Pochówki zmarłych

Przebieg i szczegóły pochówku były (w zależności chociażby od pory roku, w jakiej przyszło chować zmarłego) bardzo różne. Pierwszym pochówkom starano się zapewnić godny charakter i oprawę, ale z biegiem czasu oprawa się zmieniała, stając się coraz bardziej skromna. Było to również związane z malejącymi możliwościami materialnymi zesłańców. Choć czasem udało się przygotować dla zmarłego symboliczną trumnę, to jednak, szczególnie w kolejnych latach zsyłki,

eprasa.pl 37b1e8a2c0

trzeba się było ograniczyć do owinięcia ciała w płachty starych materiałów.

Na początku zsyłki, zanim Sowieci przyzwyczaili się do polskiego sposobu chowania zmarłych, zdarzały się sytuacje jak ta, opisana przez J. Kusek: „Zmarł pan Świrski [...]. Zabrali go, żeby go odprowadzić do końca obozu. Odśpiewali »W mogile ciemnej śpisz na wieki«. Na to zbiegli się enkawudziści, bili pałkami i rozpędzali zgromadzonych. Potem próbowaliśmy wytłumaczyć komendantowi, że tak się u nas chowa zmarłych i chyba zrozumiał, bo dał nam spokój i podobne wypadki [...] już się nie powtórzyły". W innych posiołkach działania, które miały utrudniać przeprowadzanie pogrzebów, jakie władze ateistyczne uważały za sposób manifestowania wiary, miały jednakże miejsce: „Zakazywano procesji z pieśniami i modlitwami. Nie dopuszczano, by jakiekolwiek zewnętrzne znaki wyrażały, że jest to pogrzeb osoby wierzącej, dlatego zakazywano niesienia krzyża i chorągwi. Za nieprzestrzeganie tych zakazów nakładano kary". Dlatego też już po pochówkach zdarzało się, że „nieznani sprawcy usuwali bądź niszczyli krzyże. [...] dokonywało się to na polecenie władz, które nie życzyły sobie symboli religijnych w ateistycznym państwie".

Zazwyczaj sam obrzęd pogrzebu sprowadzał się do wyprowadzenia zwłok zmarłego z domu lub symbolicznej kostnicy, przejścia w stronę cmentarza, pochówku i modlitwy nad grobem. Takie właśnie elementy „ceremoniału" pogrzebowego zachowały się w wielu wspomnieniach deportowanych Polaków. Ze względu na nieobecność księży to właśnie świeccy byli tymi, którzy podejmowali się prowadzenia obrzędów pogrzebowych, a zwłaszcza modlitw przy zmarłym i na cmentarzu. Wdzięczność ludzi wobec osób, które miały odwagę i predyspozycję do tej posługi, była ogromna.

Zesłańcze mogiły

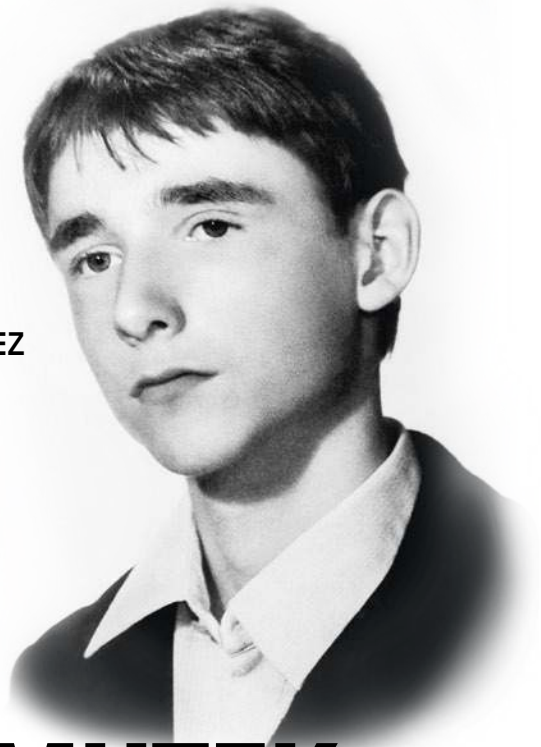
Rodzina chowająca swojego zmarłego nie miała do końca wpływu na los zwłok, zwłaszcza tych, którzy zmarli zimą i których trzeba było pochować w okresie, gdy ziemia była zamarznięta. Wykopanie w niej dołu bywało niemożliwe. Wtedy zakopywano pod śniegiem, a na wiosnę kopano tradycyjny grób. Czasem, gdy mimo zimy nie chciano zrezygnować z kopania grobu, zwłoki trzymano w baraku, a dopiero potem umieszczano w ziemi. Tak uczyniono z pewnym samotnym staruszkiem. Z. Zybert przekazuje, że wykopanie dla niego grobu trwało „około tygodnia, mimo że pracowało przy tym wielu mężczyzn z naszego baraku. On tymczasem leżał na swoim miejscu. Ludzie trochę się ścieśnili, żeby zwiększyć przestrzeń między zmarłym, a sąsiadującymi z obu stron osobami". Nawet jeśli jakimś sposobem w podobnych przypadkach grób udało się wykopać w zimie, był on bardzo płytki. Stąd biorą się relacje o tym, że zakopane zwłoki były rozszarpywane przez zwierzęta, jak opisuje jedna z zesłanych: „Grobów nie można było odwiedzać nocą, bo w nocy wyjące hieny i szakale wydrapywały ciała i rozszarpywały!". Taki widok zastali synowie zmarłej matki, opisani przez Sz. Nalepińskiego, którzy po dwóch dniach od pochówku poszli postawić krzyż na jej grobie. Zamiast grobu „ujrzeli rozgrzebany i pokrwawiony wokół śnieg. W dole, nie całkiem odgrzebanym [...] zobaczyli wystający kikut odgryzionej ręki oraz strzępy prześcieradła i odzieży. [...] Dookoła widać było liczne wilcze ślady".

PRZEDSTAWICIELE ADMINISTRACJI SOWIECKIEJ ZAJMOWALI SIĘ USUWANIEM MARTWYCH CIAŁ, A CZYNNOŚĆ TA BARDZIEJ PRZYPOMINAŁA UTYLIZACJĘ ŚMIECI NIŻ POCHÓWEK

Ale problem śmierci nie kończył się dla zesłanych wraz z pochówkiem ich najbliższych. Uchwyciła to trafnie w swoich obserwacjach K. Kość: „Lęk przed śmiercią i takimi jej wyznacznikami, jak czas, miejsce i styl, bardzo silnie warunkowany jest kulturowo [...]. Tym m.in. interpretuje się silną obawę zesłańców przed pochowaniem w obcej ziemi, nie pomiędzy swymi oraz niepokój i smutek związany z koniecznością pozostawienia grobów w miejscu wywózki. W wielu relacjach opisywany jest głęboki żal za bliskimi zmarłymi pochowanymi na zesłaniu, które tym samym stawało się wiecznym zesłaniem, np.: »Odchodząc z posiołka, wzrok mój padł na smutną mogiłę pod lasem naszej babci. Pożegnałam ją ze łzami. Biedna, nie doczekała wolności i zamiast leżeć w rodzinnym grobowcu we Lwowie, zostaje tu wśród obcych na pustkowiu. Mama podała nam buteleczkę z wodą święconą i wszyscyśmy się pożegnali przed podróżą w nieznane«". Dlatego dla tych, którzy przetrwali, pojawiał się jeszcze jeden problem: „O pozostawionych na miejscu przesiedlenia mogiłach deportowani myśleli często w kategoriach opuszczenia lub nawet porzucenia. Towarzyszyło im przy tym nieuzasadnione poczucie odpowiedzialności (np. matek wobec rodziny w Polsce, że nie potrafiły ochronić dzieci przed chorobą, głodem, śmiercią) i winy – tzw. syndrom »winy ocalonych«. Nierzadkie w tych warunkach było przywożenie z sobą do Polski symbolicznej garści ziemi z miejsca pochówku zesłańca, aby postawić mu w kraju umowny grób pro memoria i pełniący funkcję swoistego znaku pamięci". Niektórych pocieszała w tym pozostawianiu miejsc pochówku swoich bliskich wiara w ponowne spotkanie w wieczności – tak np. pisał o tym w swoich wspomnieniach K. Cybulski, który w tej obcej ziemi stracił siostrę: „Większość z nas zostawiła tu kogoś bliskiego. My, Helę, jedną z pierwszych ofiar posiołka Pimy. Tym razem wiedzieliśmy, że żegnamy ją po raz ostatni, że zobaczymy się już w innym, szczęśliwym życiu".

Chociaż umieranie na ziemi obcej było szczególnie trudnym doświadczeniem dla polskich zesłańców, to obrzędy religijne towarzyszące ostatniej drodze zmarłego nie tylko stawały się dla wierzących wezwaniem do wiary w zmartwychwstanie i ostateczną Bożą sprawiedliwość, lecz także były manifestacją przywiązania do tradycji. Towarzyszyła im nadzieja, że los ich samych oraz tych, których musieli zostawić na sowieckiej ziemi, nie zostanie zapomniany. Spełnijmy ich nadzieję.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



EMIL BARCHAŃSKI BYŁ NAJMŁODSZĄ OFIARĄ STANU WOJENNEGO UCZNIEM, LICEUM MIKOŁAJA REJA W WARSZAWIE WSPÓLNIE Z KILKOMA KOLEGAMI 10 LUTEGO 1982 r. OBLALI FARBĄ, OBRZUCILI BUTELKAMI Z BENZYNĄ I PODPALILI POMNIK FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO. EMIL BYŁ ZAANGAŻOWANY W PODZIEMNĄ DZIAŁALNOŚĆ. ZŁAPANY PRZEZ BEZPIEKĘ W TAJNEJ DRUKARNI, BYŁ BITY I REPRESJONOWANY. ZGINĄŁ W NIEWYJAŚNIONYCH DO DZIŚ OKOLICZNOŚCIACH 3 CZERWCA 1982 r. DZIŚ MIAŁBY 54 LATA. 13 GRUDNIA 2019 r. JEGO SAMOTNIE ŻYJĄCĄ MATKĘ KRYSTYNĘ BARCHAŃSKĄ-WARDĘCKĄ ODWIEDZIŁ PREZYDENT RP ANDRZEJ DUDA

TO SPOTKANIE ZMYŁO ZE MNIE SMUTEK



JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

Gdy usłyszałam, że prezydent chce mnie odwiedzić 13 grudnia jako jedną z rodzin ofiar stanu wojennego i powiedział mi o tym Jarosław Wróblewski, pracownik Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, z którego było to inicjatywy – był to dla mnie szok, niedowierzanie i ogromne zdumienie. Jak to? U mnie w domu prezydent? Spotyka mnie taki zaszczyt i honor? Zaprosiłam kilkoro przyjaciół, bo uważałam, że zasługują na to wyróżnienie z powodu zasług, jakie położyli, dbając o pamięć o moim synu i przez 37 lat pomagając mi przeżyć po jego śmierci; mnie i mojemu mężowi, który zmarł trzy lata temu. Nie mam wnuków, kuzynów ani rodziny. Nie wychodzę z domu. Jestem zdana tylko na pomoc przyjaciół.

Nie ukrywam, że odczuwałam niepokój: jak poradzę sobie, starsza i schorowana kobieta z bezdechem, żyjąca 24 godziny pod tlenem? Czy fizycznie i psychicznie stanę na wysokości zadania, czy sprostam jako mama Emila? W ostatnich latach nic tak emocjonalnego mnie nie spotkało. Wzywałam na pomoc duchowo Emila i mojego męża, żeby byli przy mnie i mnie wspomagali. To mnie podbudowało, że dam radę i serdecznie powitam prezydenta.

13 grudnia 2019 r. punktualnie o godz. 10.00 pojawił się w progach mojego skromnego mieszkania prezydent Andrzej Duda. Wiedziałam, że będę miała jedyną w życiu okazję, żeby powiedzieć panu prezydentowi, jak bardzo go podziwiam, a nawet wyznać mu miłość: „Panie prezydencie, po prostu kocham pana". Jak postanowiłam – tak zrobiłam i przy powitaniu, i gdy usiadłam przy jednym stole z panem prezydentem i jego ministrem Wojciechem Kolarskim.

Spotkanie upływało w tak serdeczniej atmosferze, że po 15 minutach miałam wrażenie, że pan prezydent od lat jest mi znany. Cała moja trema i nieśmiałość minęły. Jego słowa i reakcje spowodowały, że opuścił mnie stres i napięcie. Przestałam się krępować i mówiłam, co chciałam, co myślałam. To był taki – jak mówi młodzież – spontan, że nawet sama siebie zaskakiwałam. Nie spodziewałam się takiego wybuchu szczerości i radości w sercu. To były bardzo pozytywne emocje. Spotkanie trwało godzinę i 10 minut i mogę powiedzieć, że byłam wówczas nieustająco szczęśliwa, choć było poświęcone wspomnieniom o tragicznej śmierci mojego syna, o tym, czym był stan wojenny.



Prezydent Andrzej Duda z wizytą u Krystyny Barchańskiej-Wardęckiej w 38. rocznicę stanu wojennego

FOT. ARCHIWUM IPN; IGOR SMIRNOW/KPRP

Moja przyjaciółka, Kinga Hałacińska, której dziadek napisał słowa do pieśni „Legiony", mówiła, że urząd prezydenta i rząd za mało czasu poświęcają ofiarom stanu wojennego. Powiedziałam wtedy, że jeśli prezydent poświęca swój czas na składanie wizyt rodzinom ofiarom stanu wojennego, od czasu kiedy został prezydentem Polski – to mnie taka postawa zachwyca. Pochwaliłam go również za wygłoszone dwa dni wcześniej piękne wystąpienie o zachowaniu opozycji sędziowskiej. Skomentowałam to słowami: „Panie prezydencie, nareszcie ktoś im wygarnął i powiedział prawdę w oczy. Mówił pan z taką pasją, był pan autentyczny". Widziałam, że był zadowolony, że dostał taką pochwałę, i wtedy zaczął mówić o sędziach. Gdy wypił kawę i zjadł cukierka, jego minister uznał, że czas spotkania mija. Wówczas poprosiliśmy o zrobienie wspólnego zdjęcia. W trakcie tych fotografii nawiązała się między nami – powiedziałabym – kumpelska rozmowa. Choć prezydent budzi naturalny dystans, to wówczas był jednym z nas, wszyscy się śmialiśmy i z tym uśmiechem się rozstaliśmy. Na zdjęciach jesteśmy uśmiechnięci i radośni. Prezydent był bliski również przez to, że opowiadał nam o swojej mamie, która przeszła na emeryturę, córce, która skończyła studia, czy teściu, z którego poezją zetknęłam się na studiach.

Kiedy uszło ze mnie trochę napięcia, powiedziałam: „Dzięki ci, Panie Boże, za tak piękną godzinę w moim życiu". Dawno czegoś takiego nie czułam. Powiedziałam to nawet panu prezydentowi, że czuję, że nie trochę miodu pokapało na moje serduszko, ale jakby ktoś wylał na nie całą beczkę. To było jak rekompensata za ciężkie lata, gdy nikt nie pamiętał ani o moim synu, ani o ofiarach stanu wojennego. Przecież według badań komisji Jana Rokity 144 osoby zostały zakwalifikowane jako ofiary stanu wojennego. Dla mnie jako matki najmłodszej ofiary stanu wojennego wizyta prezydenta była przykładem, że państwo polskie pamięta o swoich cichych bohaterach. Wielu osób nie ma na tej liście, oddały życie anonimowo i ich rodziny nawet nie są w stanie udowodnić, że bliscy padli ofiarą tego okropnego systemu, który mordował swoich obywateli bez wyrzutów sumienia. Mojego syna traktował jak wroga, którego trzeba usunąć. Świadomość, że po 37 latach dokonało się coś takiego, jak spotkanie mamy Emila z głową polskiego państwa, dało mi poczucie, że trochę tej sprawiedliwości jednak jest na świecie.

To spotkanie było bez mediów. Zobaczyłam jednak tego samego dnia wieczorem w „Wiadomościach" króciutki filmik, który zrobił bardzo dyskretnie pracownik Kancelarii Prezydenta. Zadzwoniła też przyjaciółka, która mi powiedziała, że w TVN pojawiły się głosy, że to nasze spotkanie to była „ustawka" i jako dowód podano, że gdy sadzałam pana prezydenta i jego ministra przy stole i chcieli usiąść inaczej, to powiedziałam, że nie, że scenariusz jest taki. I to słowo „scenariusz" miało być dowodem rzekomej ustawki. Tak naprawdę scenariusz był mój autorski i spontaniczny. Nie było żadnego ustalanego wcześniej. Jeśli chce się uderzyć w prezydenta, a to spotkanie widać wielu było nie w smak – to każdy powód jest dobry.

W 2019 r. ukazał się wywiad rzeka Małgosi Winkler-Pogody ze mną „Miałam syna Emila", o jego dorastaniu, naszym wspólnym życiu. Chciałam, żeby Emil był symbolem tych młodych ludzi, o których nikt nie mówi. Chciałam, żeby to był dokument powiedziany z pierwszych ust, przez matkę o tamtych i obecnych czasach. Podczas spotkania ofiarowałam tę książkę z dedykacją prezydentowi Dudzie i ministrowi Kolarskiemu.

To spotkanie zmyło ze mnie smutek, że moje dziecko straciło życie, oddało je za ojczyznę i ci, którzy zaangażowali się po stronie dobra, giną, a zdrajcy i kolaboranci żyją. Miałam właśnie takie gorzkie myśli i refleksje, ale jednak po tym spotkaniu nie mam już takich przykrych refleksji. Lżej mi będzie umierać jako staruszce pogodnej, a nie pełnej żółci i krzywdy. Ojczyzna pamiętała i dała satysfakcję matce zabitego chłopca. Częściej się uśmiecham, kiedy o tym myślę – wspomina Krystyna Barchańska-Wardęcka.

Fragment ocalałego pamiętnika Emila Barchańskiego

To pałac Mostowskich. Wjeżdżamy na podwórze. Długie korytarze, co metr drzwi. Klosz wiszący na ścianie informuje: „Nie wchodzić. Przesłuchanie". Przy końcu korytarza jakaś wnęka, w niej drzwi. Pierwszy pokój... W drugim pod wpływem silnego kopnięcia osuwam się wzdłuż ściany na podłogę. Przede mną stoi sześciu drabów, każdy pod krawatem, łapy jak moja twarz, metr osiemdziesiąt wzrostu. „Uciekał, skurwiel!". „A to... jego mać!". Bili, jak popadło. Każdy z nich chciał uderzyć, kopali, bili po twarzy, w żołądek. Ciągłe obelgi, obrażali wszystko, co mogło być dla mnie ważne. W śmiechu nagle któryś wpadał w szał i bił, aż upadnę. W twarz nie kopali: „To zostawia ślady".

Potem do następnego pokoju. Tu miało się rozpocząć właściwe przesłuchanie. Upadałem często. Bili inni, ale za to samo... Za to, że mam szesnaście lat, za to, że jestem „chudy jak szkapa oświęcimska", że uciekałem i wreszcie za to, że jestem za grzeczny, czyli jednym słowem – „gdybym mógł, to powiesiłbym ich wszystkich wraz z całymi rodzinami".

Bili też za to, że robię bałagan w pokoju, w którym oni pracują, że ściągam dywan... Bili, bo chcieli. Po jakiejś godzinie zaczęło się „normalne" przesłuchanie z bardziej metodycznym biciem. W pokoju wciąż siedziało co najmniej czterech, pilnowali okna, a raczej szyb.

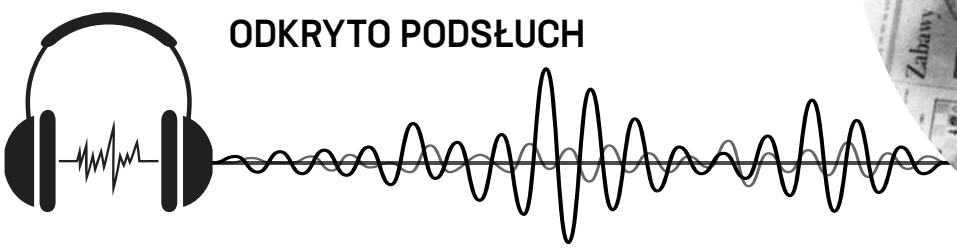
Zadawali pytania, lecz wcale nie oczekiwali odpowiedzi. Mimo że starałem się natychmiast odpowiedzieć, otrzymywałem ciosy. Popełniałem błędy, nie miałem żadnej wersji.

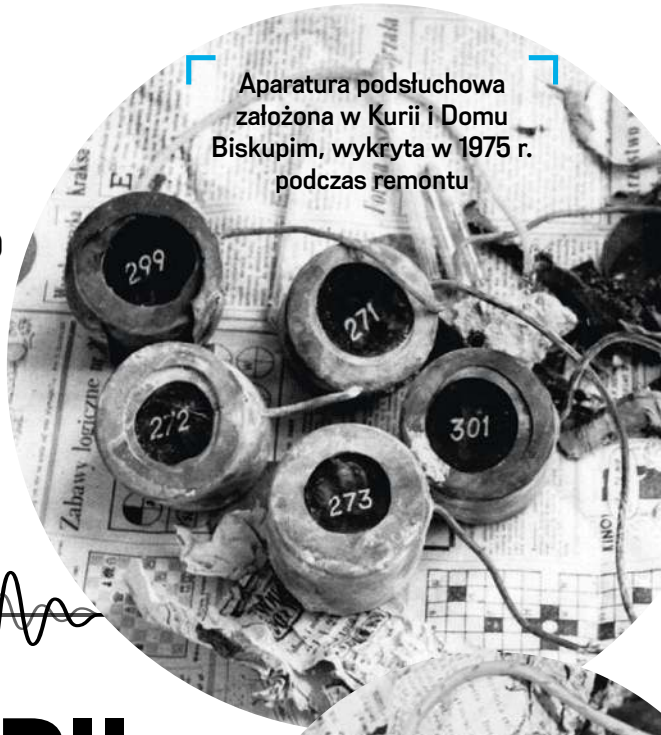
Bili i pytali. Cały przebieg przesłuchania, wraz ze szczegółami dotyczącymi ich metod, sposobów, blefów, zapiszę osobno. Cały czas straszyli i blefowali.

Do bardzo metodycznych sposobów bicia należy pałowanie po piętach. Szczegółowo później. Wkładali palce między drzwi. Straszyli włożeniem jąder w szufladę; borowaniem zęba, ale nie tak jak stomatolog, lecz tuż przy nerwie przednich zębów; łamaniem rąk i jakąś „japońską metodą", o której wiem mało, ale brzmiało to groźnie. Być może blef. Bili pałką po dłoniach i kolanach, straszyli zgaszeniem papierosa na powiece itp. Trudno mi to wszystko wypisywać, bo wiem, że to „nieprawdopodobne" i boję się, że gdybym zaczął wyliczać to, czym mnie straszyli, lub to, co wobec mnie zastosowali, to wtedy po prostu by mi nie uwierzono, bo ja sam też bym nie uwierzył.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

POŚRODKU DEKADY EDWARDA GIERKA, W OKRESIE KRÓLOWANIA PROPAGANDOWEGO HASŁA „BUDOWY DRUGIEJ POLSKI", MAJĄCEGO WYCISZYĆ NASTROJE SPOŁECZNE I PRZYDAĆ KOMUNISTYCZNEJ WŁADZY POZORÓW LEGITYMIZACJI, W PRZEMYŚLU W DOMU BISKUPIM ORAZ W BUDYNKACH KURII ODKRYTO PODSŁUCH





Aparatura podsłuchowa założona w Kurii i Domu Biskupim, wykryta w 1975 r. podczas remontu



PODSŁUCH W KURII PRZEMYSKIEJ I ECHA JEGO WYKRYCIA



MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

IPN Oddział w Rzeszowie

Został on zamontowany przy okazji instalowania centralnego ogrzewania w pomieszczeniach kościelnych w latach 60. XX w., gdy rządcą diecezji przemyskiej obrządku łacińskiego był bp Franciszek Barda. Jego następcą w 1965 r. został bp Ignacy Tokarczuk, głoszący pogląd, iż pogodzenie wiary chrześcijańskiej z ideologią marksizmu jest niemożliwe. Żarliwie broniąc prawdy i praw ludzi, stał się on jednym z głównych przeciwników politycznych i ideowych systemu komunistycznego. Początki jego działalności biskupiej były niezwykle trudne, gdyż obarczone poczuciem wszechogarniającej inwigilacji, której skutkiem była świadomość, że komuniści z nieznanych mu przyczyn nazbyt łatwo poznają zawczasu jego przedsięwzięcia. Taka sytuacja rodziła aurę nieufności pomiędzy bp. Tokarczukiem a jego współpracownikami i rozmówcami.

Odkrycie i upublicznienie

W styczniu 1975 r., w trakcie kolejnego już remontu w budynku kurii i pałacu biskupim, odkryto rozbudowany system podsłuchowy wykorzystywany przez Służbę Bezpieczeństwa. Informację o tym przekazał ks. Zdzisławowi Majchrowi, wicekanclerzowi kurii, jeden z robotników pracujących przy remoncie. Mikrofony poprowadzone przewodami umocowane były za kaloryferami (za trzecim lub czwartym żeberkiem). Instalacja podsłuchowa obejmowała m.in. gabinet bp. Bolesława Taborskiego, mieszkanie bp. Tadeusza Blaszkiewicza, mieszkanie ks. kanclerza Władysława Wyderki, kancelarię kurii oraz gabinet bp. Ignacego Tokarczuka. Bardzo szybko informacje o tym dotarły nie tylko do kapłanów diecezji przemyskiej, lecz także do posługujących poza jej granicami. Według SB informacjom tym bp Tokarczuk „nadawał wydźwięk polityczny", sugerując, że „jest to robota określonych czynników prowadzących walkę z Kościołem".

W niedzielę 23 lutego 1975 r. bp Tokarczuk polecił we wszystkich kościołach diecezji przemyskiej odczytać specjalny komunikat, w którym informował o odkryciu aparatury podsłuchowej. Jego sentencję stanowią słowa: „Czynniki, które tą aparaturą się posługiwały, dążyły do tego, aby przy pomocy wiadomości czerpanych tą drogą szerzyć zamęt wśród duchowieństwa i wiernych, podkopywać wzajemne zaufanie. Naszą odpowiedzią na tego rodzaju akcje niech będzie – z jednej strony gorąca modlitwa za tych nieszczęsnych ludzi, którzy depczą podstawowe prawa człowieka, aby zobaczyli zło, które czynią, i wrócili na drogę prawdy, z drugiej strony zaś jeszcze bardziej będziemy zjednoczeni wokół swoich duszpasterzy, biskupów, Ojca Św. I wyczuleni na wszelkie próby rozbijania Kościoła".

FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM ARCHIDIECEZJALNEGO W PRZEMYŚLU

eprasa.pl 37b1e8a2c0

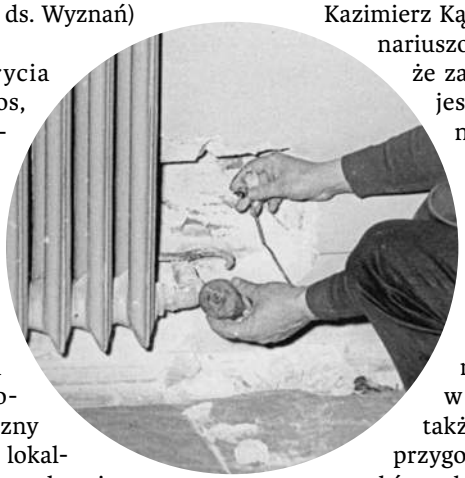




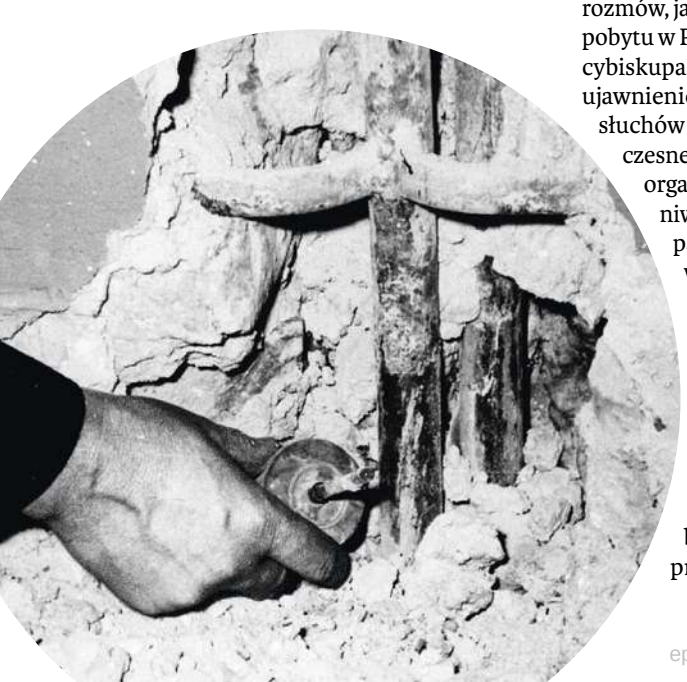
Reakcja

Komunikat natychmiast znalazł się w kręgu zainteresowania kierownictwa SB i najwyższych władz partyjnych. Dzień później, przekazany przez dyrektora Departamentu IV SB MSW Konrada Straszewskiego, trafił na biurko gen. Stanisława Kowalczyka, ministra MSW i zastępcy członka Biura Politycznego KC PZPR. W notatce podsłuch uznawano za „rzekomy". Obawiając się reakcji ludzi, SB zbierała wszelkie dane dotyczące oddźwięku na wspomniany komunikat. Informacje takie zebrano ze 175 kościołów diecezji przemyskiej (25 proc. wszystkich w diecezji). Komunikat bp. Tokarczuka odczytano w 159 kościołach, przy czym w 145 bez żadnego komentarza. 14 księży uzupełniło treść komunikatu własnymi spostrzeżeniami. Ks. Franciszek Gunia, dziekan z Hermanowic, podkreślał, że „urządzenie podawało wszystkie wiadomości omawiane w kurii [...]" , które „były wykorzystywane do siania zamętu między duchownymi, a my podejrzewaliśmy, że ktoś z księży jest donosicielem". Jeden z księży z Frysztaka przed odczytaniem listu powiedział, że chce odczytać list ordynariusza o „aferze Watergate". Z kolei ks. Stanisław Szpytma z Majdanu Królewskiego stwierdzał: „Przyjedzie abp Poggi i jak w świetle komunikatu można mówić o normalizacji, przecież to jest nietaktowne i bezprawne działanie". Inny z kapłanów sygnalizował, że podsłuchy zakładane są wszędzie: w seminariach i parafiach.

Dwa dni po ogłoszeniu komunikatu 25 lutego 1975 r. wiceminister MSW Bogusław Stachura informację o kolejnych krokach bp. Ignacego Tokarczuka przekazał ministrowi spraw zagranicznych PRL i członkowi BP KC PZPR Stefanowi Olszowskiemu. Z rozdzielnika dokumenty te otrzymali też inni prominentni działacze PZPR: Józef Tejchma, Stanisław Kania (odpowiedzialny za nadzór nad bezpieką), Tadeusz Palimąka, Kazimierz Kąkol (szef Urzędu ds. Wyznań) i Józef Czyrek.



Kwestia wykrycia podsłuchu i rozgłos, jaki tej sprawie nadał bp Tokarczuk, ukazywały zakłamanie władzy komunistycznej, odbierając jej atrybuty jakiejkolwiek legitymizacji. Z punktu widzenia komunistów proces ten był widoczny zarówno na arenie lokalnej, jak i międzynarodowej, bp Tokarczuk bowiem przekazał jeden z aparatów podsłuchowych odwiedzającemu Polskę abp. Luigiemu Poggiemu prowadzącemu rozmowy dyplomatyczne z władzami PRL. W notatce wytworzonej przez SB i sygnowanej przez płk. Konrada Straszewskiego czytamy: „Ponieważ biskup Tokarczuk od lat był przeciwnikiem normalizacji warunków z Państwem i polityki wschodniej Watykanu, należy sądzić, że nadanie sprawie publicznego rozgłosu obliczone jest na zdyskredytowanie polityki Państwa w stosunku do Kościoła i storpedowanie rozmów, jakie odbywać się będą podczas pobytu w Polsce delegata Watykanu – arcybiskupa Poggi". Na gruncie lokalnym ujawnienie informacji o odkryciu podsłuchów ukazywało gołosłowność ówczesnego prawa i prawdziwe intencje organów komunistycznej władzy, niwecząc starania ówczesnej propagandy próbującej ocieplić jej wizerunek.



Odwracanie kota ogonem

Komuniści, próbując ratować sytuację, postanowili pozornie zagmatwać sytuację i doprowadzić do przesłuchania bp. Tokarczuka w siedzibie prokuratury. Rządca diecezji przemyskiej nie zgodził się na nie, zapraszając prokuratora do Kurii Biskupiej, czyli miejsca, gdzie popełniono przestępstwo. Zażądał też, aby rozmowa z prokuratorem odbyła się przy świadkach i „bez nagrywania". W ramach protestu księża diecezji przemyskiej skierowali list do premiera rządu PRL Piotra Jaroszewicza. W rozmowie z bp. Dąbrowskim minister Kazimierz Kąkol „zarzucił ordynariuszowi przemyskiemu, że założenie podsłuchu jest jego wymysłem niepolegającym na prawdzie. Nawet po okazaniu przez biskupa mikrofonu powiedział, że „nic o tym nie wie". Sprawa wykrycia podsłuchów w kurii i pałacu biskupim w Przemyślu została także wykorzystana do przygotowania kolejnych ataków na bp. Tokarczuka. Przykładowo, TW o pseudonimie Rucz, jeden z księży pracujących na terenie diecezji przemyskiej, opierając się na lekturze pisma „Ordo Premisliensis", szkalującego bp. Tokarczuka i powstającego pod egidą SB, rozpowszechniał oszczercze plotki, że „podsłuch w Kurii założony został przez samych kurialistów w porozumieniu z biskupem". Inny z księży (zasuspendowany potem przez bp. Ignacego Tokarczuka), Franciszek Pustelnik, zarejestrowany jako TW SB ps. Igła, 19 marca 1975 r. złożył przed Naczelnikiem Miasta i Powiatu Stalowej Woli oświadczenie, że podpis pod protestem do premiera Piotra Jaroszewicza w sprawie „rzekomego podsłuchu i prześladowania religii" złożył „na skutek nacisku" przełożonych. Wśród nich wymienił swojego dziekana, „który powoływał się na wyraźne polecenie ks. bpa Tokarczuka".

Odkrycie aparatury podsłuchowej w przemyskiej kurii jest przykładem jednego z działań prowadzonych przez aparat ówczesnego komunistycznego państwa, wymierzonego w osobę bp. Ignacego Tokarczuka. Bynajmniej nie najdotkliwszym. Od początku sprawowania przez niego funkcji ordynariusza przemyskiego katalog szykan tworzyły, poza rutynową inwigilacją, liczne plotki i potwarze, spreparowane dokumenty i podejmowane kombinacje operacyjne.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



HISTORIA HOT DOGA

GŁÓWNYM SKŁADNIKIEM HOT DOGA JEST PARÓWKA O BARWNEJ HISTORII

GEORG NOWAK-KROGH

Johann Georg Lahner urodził się we frankońskiej wiosce Gasseldorf w 1774 r. Ubodzy rodzice wysłali go na naukę rzemiosła rzeźniczego do Frankfurtu. Tam nauczył się robić Frankfurter Würstchen – cienkie parówki wieprzowe, będące od dawien dawna lokalną specjalnością. Niespokojny duch Lahnera pchał go jednak dalej. Nie mając pieniędzy na podróż, zaciągnął się jako marynarz na statek i popłynął do Wiednia (ponad 1 tys. km drogą wodną).

Wiedeń ojczyzną (także) parówki

Wiedeń stwarzał masarzowi znacznie większe możliwości eksperymentowania, gdyż nie obowiązywały w nim surowe przepisy cechowe, które np. zabraniały przetwarzania przez jednego rzeźnika kilku rodzajów mięsa (we Frankfurcie istniał osobny cech rzeźników wieprzowiny i osobny wołowiny). Lahner, po wielu próbach, stworzył kreację składającą się z wieprzowiny i wołowiny, smakowicie przyprawioną. Nazwał ją Wiener Frankfurter („wiedeńska frankfurterka"). Brakowało tylko pieniędzy na start-up. Z pomocą pospieszyła pewna baronowa, z którą Lahner romansował. Wysupłała ona 300 guldenów i w 1805 r. w Wiedniu odbyła się światowa premiera tej parówki. Sukces był oszałamiający. Cesarz Franciszek Józef I łaskawie wyznaczył Lahnerowi termin stawienia się z próbką wędliny, a Lahner przyniósł na prezentację parówkę w srebrnej rynience. Próba wypadła pomyślnie i parka frankfurterek z musztardą, kajzerką i małym piwem (tzw. Seidel) stała się w wyższych sferach modnym daniem na drugie śniadanie, które w Austrii nazywa się Gabelfrühstück.

Tylko jak to jeść? Dyskusje na ten temat przecięła księżna Paulina von Metternich, żona dyplomaty, ekspertka w sprawach etykiety i stylu, która odłożyła sztućce i wzięła frankfurterkę do ręki.

Tak rozpoczęła się światowa kariera frankfurterki. Był tylko kłopot z jej nazewnictwem. W Niemczech określenie Frankfurter jest zarezerwowane (od 1860 r.) dla parówek wieprzowych wytwarzanych we Frankfurcie. Dlatego wieprzowo-wołowe parówki Lahnera nazywają się w Niemczech Wiener, a w niemieckojęzycznej Szwajcarii – Wienerle. Jeśli jednak Niemiec przyjedzie do Wiednia i zamówi Wiener, to będzie zaskoczony, bo to nie będzie żadna parówka, tylko kiełbasa krojona w plastry. Tu obowiązuje nazwa Frankfurter.

Gorące psy

Karierę w Ameryce cienka parówka zawdzięcza przybyszom z obszaru niemieckojęzycznego. Nie mogli oni tylko uzgodnić terminologii: w zależności od regionu, z którego pochodzili, jedni mówili na nią „frankfurter" lub pieszczotliwie „frank", a inni „wiener" lub pieszczotliwie „weenie". Praktyczne stało się wobec tego odwołanie do kształtu. Cienkie parówki zaczęto po prostu nazywać „jamnikami". Jamnik to po niemiecku (i angielsku) Dachshund, stąd dachshund sausages. Ci Amerykanie, którzy nie znali niemieckiego, mieli jednak problemy z prawidłowym wymówieniem „dachshund", więc stanęło po prostu na „dog". „Hot dog", bo owe parówki sprzedawane były z wózków, wyciągane prosto z gorącej wody. Taki sposób serwowania miał jeden mankament: parówki parzyły w palce. I wtedy, na początku XX w. ktoś (nie dowiemy się już kto, choć istnieją na ten temat różne wersje) wpadł na genialny pomysł, aby naciąć podłużną bułkę i w to nacięcie wkładać kiełbaskę, co chroniło palce przed poparzeniem. W ten sposób narodził się klasyczny hot dog, amerykańska potrawa narodowa.

Rocznie zjada się w Ameryce 20 mld (!) hot dogów. Na pikniku w rezydencji prezydenta F.D. Roosevelta w 1939 r. królowi Wielkiej Brytanii Jerzemu VI oraz jego małżonce zaserwowano hot dogi. Choć Roosevelt namawiał do jedzenia rękami, królowa Elżbieta wolała sztućce.

Keczupowi stanowcze nie!

Na straży tego narodowego dziedzictwa, jakim są hot dogi, stoi National Hot Dog & Sausage Council. Co roku odbywają na Coney Island zawody w jedzeniu hot dogów. Aktualny rekord to 69 hot dogów na jednym posiedzeniu, a nagroda dla zwycięzcy to 40 tys. dol.

W Stanach istnieją spore różnice regionalne w sposobach przyrządzania hot dogów. Nowojorskie hot dogi podawane są

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 37b1e8a2c0

z zeszkloną cebulką, w Chicago hot doga wkłada się do bułki z makiem i przyprawia jaskrawozielonym reliszem (tzw. nuclear relish), siekaną cebulką, ogórkiem konserwowym, pepperoni, plasterkami pomidora oraz szczyptą selerowej soli (taki hot dog nazywa się Dragged through the garden, czyli przeciągnięty przez ogród); w Atlancie przyprawia się sałatką coleslaw itd.

Jest jednak jeden element wspólny: musztarda – nigdy, ale to nigdy keczup!

Wielu Amerykanów uważa przyprawianie hot doga keczupem za przejaw infantylizmu (dzieci nie mają jeszcze wyrobionego smaku i lubią wszystko, co słodkie – a keczup zawiera sporo cukru). Na plakatach reklamujących hot dogi spotyka się dyskretny skrót „NK-17", co oznacza: „Never ketchup unless under 17" (nigdy keczup, chyba że się ma poniżej 17 lat).

W oczach smakoszy keczup na hot dogu jest taką samą zbrodnią kulinarną jak keczup na sushi albo parmezan na makaronie z frutti di mare.

Każdemu, kto oglądał film Clinta Eastwooda „Nagłe zderzenie", zapadła w pamięci scena, kiedy Brudny Harry wyznaje detektywowi Burly'emu, że cały ten ohydny przestępczy brud, z którym się spotyka, w ogóle go nie porusza, natomiast mdli go widok Burly'ego, gdy ten je hot doga z keczupem, gdyż: „Nobody, I mean NOBODY, puts ketchup on a hot dog".

Co więcej, osobnicy używający keczupu do hot dogów stają się podejrzani, gdyż podają w wątpliwość swoją amerykańskość, ot, takie farbowane lisy.

Hot dog gates

W 2014 r. republikański kandydat na gubernatora Illinois, Bruce Rauner, chcąc pokazać, że jest równym facetem rozumiejącym prostych ludzi, a nie miliarderem zadzierającym nosa, wpadł do lokalu, który Amerykanie zwą „restauracją", i zamówił hot doga, ale Z KECZUPEM!!!

Tę wpadkę ochrzczono zaraz „hot dog gate". Sztab wyborczy kandydata starał się zminimalizować straty. Rauner wykręcał się sianem, twierdząc, że tego hot doga zamówił dla swej rzeczniczki prasowej, a nie dla siebie. Jakoś się udało...

W tarapaty z hot dogiem wpadł też pochodzący z arystokratycznej rodziny premier Wielkiej Brytanii David Cameron. Chcąc przed wyborami zbratać się z ludem, pojawił się na pikniku w Poole i tam spotkała go wizerunkowa katastrofa. Po pierwsze, hot dog był z keczupem, a po drugie, Cameron, jak przystało na absolwenta Eton, zabrał się do niego widelcem i nożem. Całość przeszła do historii jako „fork gate" i była – po propozycji referendum w sprawie brexitu – największą wpadką tego polityka.

Japońska odmiana

Po wybuchu II wojny światowej prezydent Roosevelt wydał rozporządzenie nr 9066, zgodnie z którym mieszkańcy USA pochodzenia japońskiego mają być umieszczeni w obozach koncentracyjnych. W obozach tych osadzono łącznie ponad 110 tys. (!) osób. Przed wywózką do obozu nie chroniło ani amerykańskie obywatelstwo, ani nawet bycie weteranem I wojny światowej, walczącym po amerykańskiej stronie.

Ciekawostka: w USA internowano tylko 11 tys. mieszkańców pochodzenia niemieckiego – głównie posiadających niemiecki paszport – choć w USA była wielomilionowa niemiecka społeczność i liczne niemieckie organizacje nazistowskie, a USA toczyły z Niemcami krwawą wojnę.

W obozach dla Japończyków: zakwaterowanie w stajniach, a potem, po wybudowaniu baraków apele, kolczaste druty, strzelanie do uciekających, latryny, baraki z papy na drewnianych ramach, które nie chroniły przed zimnem i upałami – wszystko jak przystoi na porządny obóz koncentracyjny. Wielu więźniów zmarło na skutek zimna i chorób. Jedzenie podawano w stołówkach-barakach. Dzieci jadały osobno (mleko przysługiwało tylko im). Był to szok, bo wspólne rodzinne posiłki są podstawowym elementem japońskiej kultury. Kolejnym szokiem kulturowym było samo jedzenie. O sushi i innych japońskich specjalnościach można było zapomnieć. Kwatermistrzostwo dostarczało z wojskowych magazynów głównie przeterminowane parówki i mielonkę. Więźniowie starali się urozmaicić dietę. Hodowano drób, uprawiano warzywa. Szefami kuchni w obozowych stołówkach byli niekiedy kucharze, którzy poprzednio pracowali w ekskluzywnych restauracjach. Z gigantycznych dostaw przeterminowanego wojskowego keczupu starano się tworzyć zupy pomidorowe.

Tak w obozowych warunkach powstał „Królewski Siusiak" (weenie royale), potrawa z jaj, pokrojonych parówek i cebuli, przyprawiona „po japońsku" i podawana na ryżu. Pyszna (próbowałem, oczywiście nie z przeterminowanych składników)!



Hot dogi sprzedawane na Ebbets Field, Nowy Jork, 6 października 1920 r.

FOT. EAST NEWS/LIBRARY OF CONGRESS

Dopiero w 1998 r. prezydent Reagan przeprosił japońskich mieszkańców USA za przebyte cierpienia, a rząd wyasygnował dla każdego byłego więźnia amerykańskich obozów koncentracyjnych kwotę 20 tys. dol. (w przeliczeniu ponad 70 tys. zł) jako rekompensatę.

Ciekawostka: byli więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, mający obywatelstwo polskie, otrzymali w latach 90. ub. wieku jednorazowe odszkodowanie w wysokości ok. 7,5 tys. euro (w przeliczeniu 32 tys. zł). Inaczej to wygląda, gdy jest się byłym więźniem obozów koncentracyjnych, będącym obywatelem Izraela lub niemieckim. Wtedy przysługuje od rządu niemieckiego comiesięczna renta.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

RÓŻNORODNOŚĆ FREIKORPS



MAREK JAN CHODAKIEWICZ

CZĘSTO WIDZI SIĘ FREIKORPS, CZYLI OCHOTNICZE MILICJE POWOJENNYCH NIEMIEC, JAKO „FORPOCZTĘ NAZIZMU”

To do pewnego stopnia prawda. Specjalizuje się w tej tematyce Robert G.L. Waite, „Vanguard of Nazism: The Free Corps Movement in Postwar Germany, 1918–1923” (New York: W.W. Norton & Company, Inc., 1969 [1952]). Ale dodajmy zaraz, że te niemieckie organizacje weteranów zostały użyte z wielkim sukcesem przez liberałów i socjaldemokratów, aby ocalić Republikę Weimarską przed komunistyczną rewolucją. Milicje weteranów, wspomagane przez studentów i gimnazjalistów, rozbiły czerwonych. Jednak mimo swojej nienawiści do Niemiec weimarskich były zbyt zdecentralizowane organizacyjnie i różnorodne ideowo, aby zjednoczyć się w celu obalenia ustroju republikańskiego i ładu wersalskiego. Milicje bowiem opierały się przede wszystkim na lojalności do swoich wielu wodzów (stąd każdy Freikorps zwany był zwykle od nazwiska dowódcy). Ponieważ każdy z wodzów chciał być Führerem, pretendenci neutralizowali się nawzajem. Co więcej, przy braku jedności ideowej trudno było wygenerować program pozytywny. Bojówkarze wiedzieli, co im się w Niemczech nie podobało, nie zgadzali się, czego tak naprawdę chcieli.

Od milicji do SA?

Przede wszystkim pozostawali rozsadnikami przemocy i anarchii na wzór swych poprzedników z lat wojny 30-letniej, z którymi się chętnie identyfikowali. Siali zamęt nie tylko w Niemczech, ale przede wszystkim za granicą. Na przykład w lipcu 1919 r. Freikorps całkowicie niemal złupił Kurlandię, kradnąc i ciągnąc za sobą nawet bydło podczas sromotnego odwrotu z tych krain. Notabene, było to normą. Armia Czerwona nagminnie rabowała Wileńszczyznę podczas okupacji tego terenu. Podobnych rabunków dopuszczali się biali na Łotwie i Litwie. Chodziło głównie o Freikorps (i jego białych rosyjskich sojuszników) w rejonie Bałtyku, a szczególnie podczas wycofywania się przez Kurlandię po fiasku całej operacji i ewakuacji niemieckich ochotników do Niemiec. W Niemczech Freikorps pozostawał na garnuszku państwowym, ale nie zawsze. Dlatego trzeba było „organizować” aprowizację. I niszczyć przeciwników. W końcu, w 1923 r., miarka się przebrała. Milicje zostały przez władze rozwiązane.

Przetrwały w rozmaitych formach, często podziemnych bądź zakamuflowanych (np. skład handlu drewnem i węglem w Monachium). Po pewnym czasie część z nich zadryfowała do NSDAP, a szczególnie do bojówki partyjnej, Stürmabteilung (SA). Większość dorosła i wpisała się w system. Część została na marginesie, a nawet w opozycji do NSDAP, chociażby ci, którzy zawędrowali do komunizmu, czy ci, którzy pozostali wierni monarchii, tradycji i konserwatyzmowi. Rysować dlatego prostą linię od Freikorps do SA jest nieuprawnione, co dobitnie pokazuje Waite. Jednym z powodów, że większość wierzy w mit ciągłości między tymi zjawiskami, jest goebbelsowska propaganda. Historyk ostrzega: „Naziści są jak Humpty-Dumpty: gdy używają jakiegoś słowa, są jego panami. Słowo oznacza to, co oni wybierają, aby znaczyło”.

GERHARD ROSSBACH MIAŁ WSPÓŁŻYĆ Z WIELOMA KOCHANKAMI; WŚRÓD NAJBARDZIEJ PROMINENTNYCH OSÓB UWIEDZIONYCH PRZEZ NIEGO BYŁ SZEF SA ERNST RÖHM

Skąd się wzięły Freikorps? Weterani je stworzyli jako odruch sprzeciwu wobec przegranej przez Niemcy I wojny. A głębiej? Z tzw. młodzieżowego ruchu włóczykijów. Tłumaczy Robert G.L. Waite: „W rzeczywistości nie istniał jeden jedyny Niemiecki Ruch Młodzieżowy.

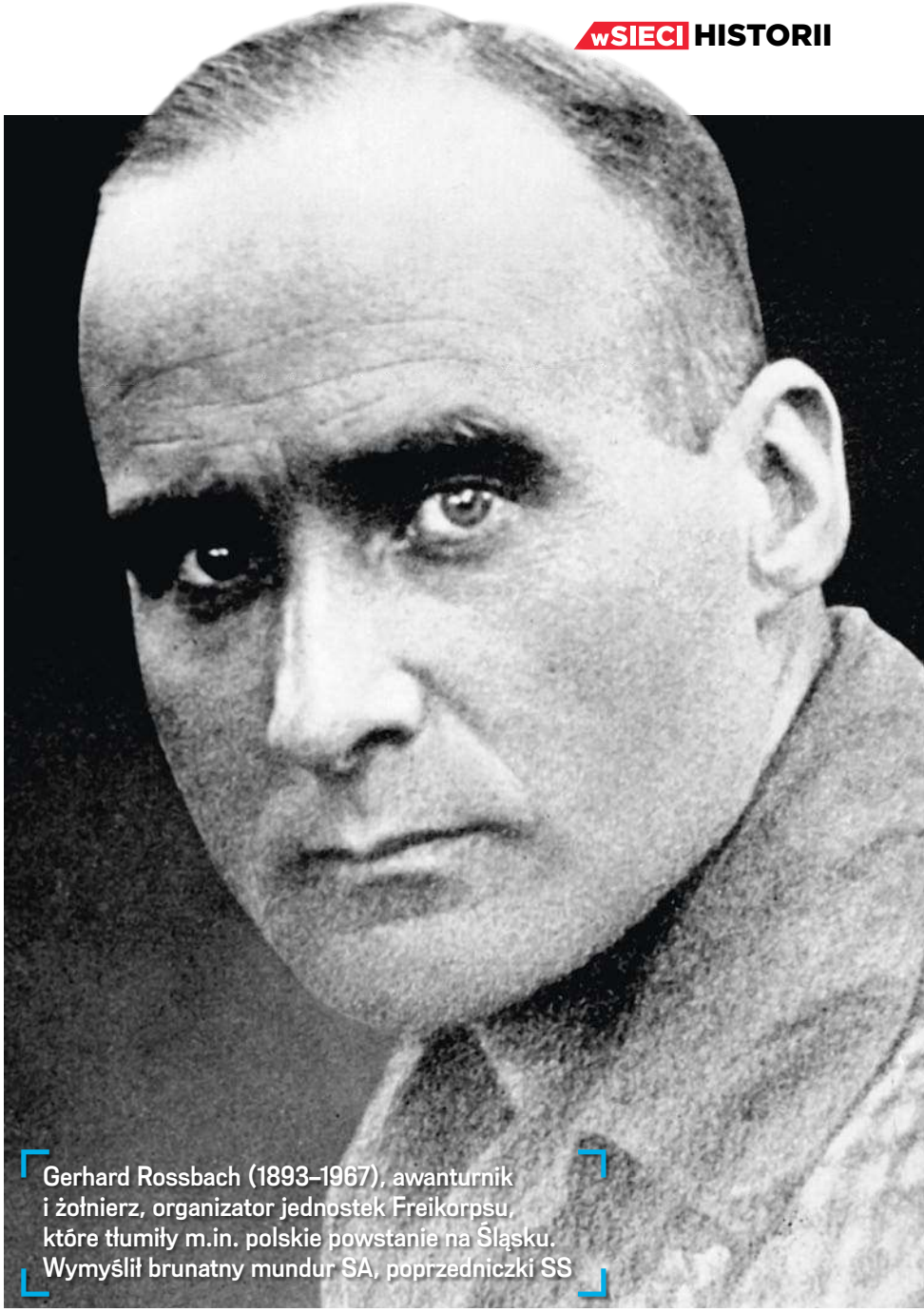
eprasa.pl 37b1e8a2c0

Powstały tuziny osobnych grup, które charakteryzowały się zadziwiającą zawiłością i zakresem programów. Zawierały one wszystko: od otwartej homoseksualności i przegięć seksualnych do ekstremalnej samoabnegacji; od wegetarianizmu do epikureanizmu; od ateizmu do religijnego fanatyzmu; oraz od pacyfizmu do ludowego, rasistowskiego nacjonalizmu... Dominacja homoseksualizmu w Wandervogel jest poza dyskusją... Ruch Młodzieżowy był przede wszystkim rebelią niezadowolonych młodzieńców przeciwko liberalnemu społeczeństwu burżuazyjnemu i jego wszelkim aspektom... aby nieubłaganie walczyć przeciw szkole, domowi oraz Kościołowi".

Waite uważa, że ruch Freikorps miał w swoich szeregach wielu przywódców i ich wyznawców, którzy w przedwojennej młodości byli częścią Wandervogel. Część z nich to homoseksualiści z orientacji „brutale" (butches). Najbardziej notoryczny i kolorowy z nich to być może Gerhard Rossbach (Roßbach) (1893–1967). Był organizatorem jednostki Freikorps, która walczyła m.in. w państwach bałtyckich. Rossbach wyróżnił się wyjątkową odwagą, ratując tzw. żelazną dywizję z okrążenia przez siły estońsko-łotewskie w 1919 r. Zwalczał też powstania śląskie, szczególnie przyczyniając się do polskich porażek w III powstaniu z 1921 r. To jego ludzie zdobyli górę św. Anny. W międzyczasie uczestniczył w wielu awanturach w Niemczech, maszerując na pomoc puczu Kappa, pomagając rozgromić wystąpienie komunistycznego Spartakusbund, uczestnicząc w „sądach kapturowych" Freikorpsu (Femgerichte czy Consul Organization), organizując ultranacjonalistyczne podziemie po rozwiązaniu Freikorps. Specjalizował się w zmienianiu fałszywych szyldów, tworząc rozmaite organizacje gospodarcze i inne, w tym spółki wytwórcze i handlowe oraz spółdzielnie produkcyjne i rolnicze, aby dać zatrudnienie swoim żołnierzom i tym sposobem utrzymać ich przy sobie zmobilizowanych. Sprzedawał broń nielegalnie, w tym Polakom na Śląsku. Po pobraniu wypłaty atakował ich i zabierał z powrotem śmiercionośny towar.

Jedną z najbardziej notorycznych przykrywek tej organizacji weteranów był klub nocny Zoo. Służył on nie tylko do przechowywania broni, ale również na rozrywki dla członków Freikorps Rossbacha. Na dodatek zajmował się też wychowaniem młodzieży zgodnie ze swoimi predylekcjami ideowymi (i zapewne seksualnymi). „Oprócz [Hermanna] Erharda, Gerhard Rossbach, sadysta, morderca i homoseksualista był najbardziej podziwianym bohaterem niemieckiej młodzieży nacjonalistycznej". Organizował specjalne obozy formacyjne. Indoktrynował dzieci o rasizmie, antysemityzmie, antypolonizmie oraz germańskiej supremacji w ramach organizacji Schilljugend. Na przykład znajdująca się pod wpływem Rossbacha Adler und Falken (Orzeł i Sokół), gdzie obowiązywał „ochotniczy obowiązek pracy" (freiwilligen Arbeitsdienstpflicht), zajmowała się usuwaniem przemocą polskich robotników rolnych sezonowych, którzy szukali pracy na saksach w majątkach nad Nysą. Te pionierskie eksperymenty zostały w całości skopiowane później przez Hitlerjugend oraz przez Służbę Pracy Reichu (Reichsarbeitsdienst [RAD]).

Rossbach przystąpił do Stürmabteilung (SA), a nawet wymyślił brunatny mundur tej organizacji. Został aresztowany przez konkurencję z SS w ramach czystki partyjnej podczas tzw. nocy długich noży w 1934 r. Ale przeżył. Miał współżyć z wieloma kochankami; wśród najbardziej prominentnych osób uwiedzionych przez niego był szef SA Ernst Röhm. Innym sławetnym >>



Gerhard Rossbach (1893–1967), awanturnik i żołnierz, organizator jednostek Freikorpsu, które tłumiły m.in. polskie powstanie na Śląsku. Wymyślił brunatny mundur SA, poprzedniczki SS

FOT. EAST NEWS/RIGHTSMANAGED

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» kochankiem obu tych nazistów był Edmund Heines, najpierw członek Freikorps, a potem szef SA na Śląsku. „Notoryczny homoseksualista, był kochankiem zarówno Rossbacha, jak i Röhma" – pisze Waite.

Następnym głośnym kochankiem Rossbacha był por. Mayer. Akta sądowe określały go – podobnie jak Rossbacha – jako „wroga kobiet" („enemy of women"). W pewnym momencie zerwał z Rossbachem, odszedł z jego organizacji i założył swoją własną. Znalazł też nowego kochanka, zamożnego kupca tytoniowego o nazwisku Kurt Hermann. Jednak Hermann uległ czarowi innego członka Freikorps o nazwisku Gebauer. Podczas gdy żona Hermanna wyjechała, dwaj kochankowie figlowali u kupca w domu. Będąc świadomy tego, zazdrosny por. Mayer uznał Gebauera za zdrajcę i skazał na najwyższy wymiar kary w ramach sądu kapturowego. Następnie wysłał dwóch swoich podwładnych, aby wykonali na nim i Hermannie wyroki śmierci. Kochanków zaskoczono in flagranti. Katom udało się skrępować pościelą i zatłuc pałkami na śmierć Hermanna, ale Gebauer zdołał się wydostać z zasadzki i zawiadomić policję. Sprawa miała finał w sądzie. Konkluduje Waite: „Współzawodnictwo i konflikt zaogniały się, ponieważ wielu z członków Freikorps to homoseksualiści i dlatego skłonni do zazdrości i kłótni »kochanków«".



Plakat werbunkowy z 1919 r., namawiający niemieckich weteranów do wstępowania w szeregi Freikorpsu

Pikantne opowieści

Waite dzieli się z nami rozmaitymi fascynującymi szczegółami, w tym pikantnymi opowieściami. Pisze np. o chwilowo zwycięskiej rewolucji sowieckiej w Bawarii w 1919 r. jako niekończącej się rozrywce szaleństw. M.in. „szalone orgie seksualne, które odbywały się w nowej kwaterze komunistycznej w Pałacu Wittelsbachów, zaszokowały nawet wyrafinowane Monachium". Opisując rządy czerwonych w Bawarii i na Węgrzech w 1919 r., źródła współczesne odnoszą się do nich jako „żydowskie," wręcz „królestwo żydowskie". Nazista Walter Frank pisał „Wenn Israel König Ist" (o Bawarii) oraz nacjonalistyczni monarchiści katoliccy i członkowie Académie Française, bracia Jean (1877–1952) i Jérôme (1874–1853) Tharaud raportowali „Quand Israel est roi" (o Węgrzech). Notabene Waite pomylił się, twierdząc, że bracia Tharaud to jeden autor „Jean Jérôme Tharaud". Takie percepcje pochodzą nie tylko od antysemitów. Jak pokazują oficjalne zapisy debat parlamentarnych, w brytyjskiej Izbie Gmin czerwone władze w Rosji były określane jako „ten rząd Żydów i innych różnego rodzaju ludzi".

Jeszcze bardziej poplątany jest przykład syna żydowskiej matki (Emmy Freiin von Oppenheim), twardego monarchisty-federalisty i habsburskiego poddanego Antona hrabiego Arco auf Valléy (1897–1945), który zabił żydowskiego pochodzenia skrajnego socjalistę Kurta Eisnera, przywódcę Sowieckiej Republiki Bawarskiej. Zabójca miał być związany z ultranacjonalistycznym i rasistowskim Thule Gesellschaft oraz z bojówkarskim Kampfbund. Waite uważa, że hr. Arco, strzelając do Eisnera, chciał udowodnić, że mimo swoich żydowskich korzeni był dobrym niemieckim patriotą zwalczającym rewolucję. Wydaje się jednak, że wystarczyła ideowa inspiracja monarchistyczna, w późniejszym czasie bowiem hr. Arco miał zrobić aluzję do konieczności wykonania kolejnego zamachu, co zostało odczytane jako groźba przeciw Hitlerowi. Niedoszłego zamachowca nawet aresztowano, a wypuszczono dopiero po odżegnaniu się przez niego od takiego zamiaru. Hr. Arco jest wart obszernej biografii, wydaje się bowiem, że za jego czynami stały nie rasizm i ekstremalny nacjonalizm, ale monarchizm i obrona tradycji.

Historyk podaje dalej, że komunista żydowski z Polski Karol Radek poparł w Niemczech opcję narodowo-bolszewicką. 20 kwietnia 1923 r. przed egzekutywą Kominternu w superlatywach wyrażał się o jej przedstawicielach, a wśród wychwalanych przez niego był idol nazistów, Albert Leo Schlageter (1894–1923) z Freikorps, miesiąc po pochwałach w Kominternie rozstrzelany przez Francuzów za uprawianie sabotażu w Zagłębiu Ruhry. Radek usiłował wciągnąć w szeregi partii komunistycznej członków Freikorps, jako bodaj najbardziej dynamiczną siłę rewolucyjną w Niemczech w tym czasie. Waite szacuje, że 30 proc. członków Gestapo i Stürmabteilung to ekskomuniści.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Są też w książce Waite'a polonika. Na temat kulis powstania wielkopolskiego, którego Niemcom nie udało się stłumić mimo wysiłków, podaje, że spowodowało to odwołanie Freikorps i innych sił niemieckich do państw bałtyckich. W tym czasie władze niemieckie uznały po prostu, że Polacy są za silni i za dobrze zorganizowani, aby z nimi wygrać, szczególnie że wisiała groźba francuskiej interwencji. Takich dobrych warunków nie było w czasie powstań śląskich. Szczególnie fascynujące jest potwierdzenie tajnego udziału rządu w Berlinie w miażdżeniu śląskich zrywów rękoma Freikorps, w tym porywania oraz mordowania Polaków i Ślązaków, na podstawie wyroków sądów kapturowych (Femegericht), aby wpłynąć na plebiscyt poprzez zniechęcanie do głosowania na Polskę. Są też informacje – jak wspomnieliśmy – o nielegalnym sprzedawaniu broni Polakom przez Freikorps, a potem napadania na nich, aby ją zabrać. Zaszokuje niektórych, że jeden z oddziałów Freikorps dołączył do Armii Czerwonej podczas wojny 1920 r., aby bić Polaków.

W kontekście powstań śląskich Waite przywołuje niesławne przemówienie premiera brytyjskiego. David Lloyd George stwierdził 13 maja 1921 r., że „nie czekając na dyskusje między rządami, ludność polska... podjęła powstanie... i spowodowała dla nas trudną sytuację przez ten fait accompli [fakt dokonany – przyp. red.]. Tak się sprawy mają. Jest to całkowity bunt przeciwko traktatowi wersalskiemu... Może jest to zły traktat, może ostry traktat, ale ostatnim krajem w Europie, który ma prawo do skarżenia się na ten temat, jest Polska". W Berlinie słowa te zostały odebrane jako brytyjskie poparcie dla zmiażdżenia III powstania śląskiego. Ale słowa te odzwierciedlają generalnie wrogie podejście angielskich liberałów do sprawy polskiej w czasie wojny i po niej.

Bilans milicji

Generalnie Freikorps i jego uczestnicy spisali się dobrze, niszcząc czerwonych i rozbijając bolszewicką rewolucję, a tym sposobem – wbrew samym sobie – ocalając Republikę Weimarską. I jednocześnie pozwalając Polsce odetchnąć, bo komunistyczne zwycięstwo w Niemczech oznaczałoby inwazję na Rzeczpospolitą z dwóch stron. Wątpliwe, aby alianci zachodni ruszyli nam na pomoc. Freikorps i Berlin nie walczyli z czerwonymi dla Polski, tylko dla własnego interesu. Przy okazji zyskała na tym Warszawa.

Z drugiej strony jednak dla Polaków na krótką metę Freikorps odegrał rolę również wybitnie negatywną, szczególnie na Śląsku. A że walczyli z nami, nie można się temu dziwić. Chcieli, aby Śląsk pozostał niemiecki, co im się do pewnego stopnia udało. Natomiast dostali łupnia od Wielkopolan. I nigdy tego nie zapomnieli. Zemsta 20 lat potem była straszna. A zaostrzała brutalność narodowo-socjalistyczna forma niemieckich resentymentów. I tak historia nigdy się nie kończy. Ale przybiera wciąż nowe formy, aby uzyskać spragnione rezultaty. Bo cele w światowej polityce pozostają takie same: dominacja w rozmaitych formach. Jak nie Freikorps, to coś innego staje się narzędziem wypraw po potęgę.

POLSKIM OKIEM

Luty – niebezpieczna dla Albionu pora



RYSZARD CZARNECKI

„Listopad, niebezpieczna dla Polaków pora" – pisał Wyspiański. Trawestując: „Luty – niebezpieczna dla Albionu pora". 1 lutego, po 47 latach obecności w EWG-UE, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej znalazło się poza Unią i wyruszyło w podróż w nieznane.

Też w lutym, ale 8, 1587 r. Anglicy ścięli królową Szkotów Marię I Stuart. Spiskowała przeciwko innej królowej – Anglii, Elżbiecie I Tudor. To polityczne zabójstwo wykopało trwalszą czasem, niż myślimy, przepaść między Anglikami a Szkotami, pogłębianą zresztą przez wyznanie, bo dużo więcej jest katolików w Glasgow, Edynburgu czy Falkirk niż w Londynie czy Manchesterze. Jeśli po brexicie Szkoci znów myślą o referendum niepodległościowym, to jego historyczne korzenie w jakiejś mierze tkwią w tej XVI-wiecznej i tej XIII-wiecznej historii opiewanej przez Mela Gibsona w „Braveheart".

Miesiąc dramatyczny dla Brytyjczyków – dla Polski był dobry. Ot, np. 19 lutego przed 426 laty król Zygmunt III Waza został koronowany na króla Szwecji. Był to też miesiąc naszych militarnych wiktorii. Najpierw w 1634 r. wojska rosyjskie skapitulowały przed Polakami pod Smoleńskiem, a 137 lat później wojska konfederacji barskiej dały łupnia Rosjanom pod Lanckoroną. Podczas powstania listopadowego (14 lutego) w słynnej bitwie pod Stoczkiem pokonaliśmy tychże Rosjan. Ale luty to także czas szczególnych antypolskich knowań: 17 lutego 1772 r. w Petersburgu Rosja z Prusami zawarły tajny układ w sprawie I rozbioru Polski. Z kolei 4 lutego 1945 r. w Jałcie kontynuowano to, co rozpoczęto w Teheranie w 1943 r., a potem zakończono w Poczdamie – czyli Churchill z Rooseveltem dogadali się ze Stalinem co do zaboru Polski i polskich Kresów Wschodnich.

W lutym także miały miejsce koronacje polskich królów: w 1574 r. pierwszego króla elekcyjnego Henryka Walezego i wspomnianego już Władysława IV Wazy w wawelskiej katedrze w 1633 r.

Chwałę oręża polskiego można przypomnieć z okazji lutowych urodzin (dziewiątego) hetmana wielkiego polnego i hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego. To ten sam, o którym mówiono, iż „szybciej uderzy, niż wymówi". Koniecpolski miał bowiem wadę wymowy, lecz za to był geniuszem wojennym. W bitwie pod Trzcianą (w czerwcu 1629 r.) pobił na głowę „Lwa Północy", czyli szwedzkiego monarchę Gustawa Adolfa, który sromotnie uciekł, po czym ze wstydem przyznawał, iż „tak wielkiej łaźni nigdy nie zażywał".

Czyż nie przyjemnie się o tym czyta?

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Wspomnienie o Stanisławie Morawskim

FOT. PAP/JAKUB KAMIŃSKI

Stanisław Morawski odszedł do wieczności kilkanaście dni przed swoimi 98. urodzinami, w noc przedwigilijną 2019 r. W czasie świąt Bożego Narodzenia wspomnienie o nim było obecne w wielu polskich domach Jego przyjaciół i znajomych, tych wszystkich ludzi, których los zetknął ze sprawami polskimi w Rzymie i życiem polskiej społeczności we Włoszech. W czasie mszy żałobnej w rzymskim kościele św. Stanisława wspominano Jego wielokierunkową działalność podsumowaną w końcowym zdaniu odczytanego na koniec celebry listu kondolencyjnego premiera Mateusza Morawieckiego: „Dobrze zasłużyłeś się Ojczyźnie".

Miałem szczęście znać Stanisława Morawskiego i wielokrotnie mogłem się cieszyć Jego towarzystwem. Pisząc wspomnienie o Nim, nie staram się przedstawić Jego biografii ani też opisać wyczerpująco jego społecznej i naukowej działalności. Chciałbym jedynie wspomnieć o kilku związanych z Nim sprawach, które z mojego punktu widzenia warto wyeksponować.

Wspominając Stanisława Morawskiego, trzeba powracać do różnych okresów życia i wymieniać rozliczne kierunki działalności. Na ukształtowanie jego życiowej postawy wielki wpływ musiała mieć II wojna światowa, w czasie której walczył z bronią w ręku w szeregach Armii Krajowej i utracił ojca oraz trzech braci poległych za ojczyznę. Przetrwał w Polsce ciemne lata stalinizmu, ale w czasie krótkiej i płytkiej odwilży zdecydował się na emigrację i w 1957 r. wyjechał do Rzymu, gdzie zamieszkał wraz z żoną Marią Teresą z Dembińskich i synem Pawłem. Dołączyły do nich potem kolejne, urodzone już we Włoszech, dzieci: Irena, Iwo i Andrzej. Pozostał tu przez kolejne 62 lata i stał się filarem życia polskiego w Wiecznym Mieście. Można długo wymieniać kie-

eprasa.pl 37b1e8a2c0

runki Jego aktywności, ale warto chyba zaryzykować twierdzenie, że życiowym powołaniem i wielką zasługą Stanisława Morawskiego była działalność na rzecz utrzymania przez polskie środowiska kulturalne i naukowe czasów PRL kontaktu z odciętą przez żelazną kurtynę kulturą europejską.

Miał znaczący udział we wszystkich inicjatywach pojawiających się we Włoszech, a odnoszących do wspomnianej sfery aktywności. Wszędzie tam, gdzie fundowano stypendia dla przyjeżdżających do Włoch badaczy z Polski, gdzie sponsorowano zakup i dostawę książek do polskich bibliotek akademickich i naukowych, gdzie zajmowano się tworzeniem kontaktów między środowiskami naukowymi Włoch i Polski, gdzie wreszcie publikowano polską literaturę naukową ważną, jeśli nie główną, siłą napędową był Staś, jak go nazywali zwykle krewni i przyjaciele. W 1962 r. wraz ze Stanisławem Gebhardtem zainicjował powstanie finansowanego głównie przez włoskich chadeków Centro Esperienze Internazionali, którego celem było – jak wyjaśniał sam Morawski w jednej ze swoich prac – „pośredniczenie w wymianie doświadczeń politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych stanowiących dorobek poszczególnych narodów, ze szczególnym uwzględnieniem krajów Europy Zachodniej – z jednej strony, a krajów Europy Środkowo-Wschodniej – z drugiej". Podobne były zadania utworzonego w 1973 r. Centro Incontri e Studi Europei, którego także był współzałożycielem wraz z Wandą Gawrońską.

Dobroczynne skutki dla polskich bibliotek naukowych miało pełnienie przezeń funkcji dyrektora biblioteki centralnej Universita Internazionale degli Studi Sociali. Pod hasłem współpracy międzybibliotecznej zostały nawiązane bliskie kontakty z biblioteką KUL i innymi podobnymi instytucjami z czasów PRL, co zapewniało tym ostatnim dopływ zachodnioeuropejskiej literatury naukowej. Od 1979 r. kierował Fundacją Rzymską im. J.Z. Umiastowskiej. Była to – i jest – placówka naukowo-badawcza promująca we Włoszech naukę, kulturę i sztukę polską, ale też fundująca stypendia i prowadząca wymianę międzybiblioteczną z Polską. Był też Stanisław Morawski wieloletnim członkiem rady Fundacji Lanckorońskich z Brzezia. Ta, założona przez prof. Karolinę Lanckorońską, działająca od 1967 r. instytucja była chyba najzasobniejszym emigracyjnym źródłem stypendiów i działań naukowych, z których mogli korzystać polscy naukowcy epoki PRL. Stanisław Morawski przez wiele lat znacząco wpływał na bieg spraw w Fundacji i założonym przez nią Polskim Instytucie Historycznym w Rzymie, czym przyczynił się do osiągnięcia przez Fundację i Instytut cennego dorobku naukowego.

Obok Emeryka Hutten-Czapskiego i Karoliny Lanckorońskiej stoi w rzędzie wielkich postaci, którym zawdzięczamy to, że w czasach sowieckiej dominacji nad Europą Środkowo-Wschodnią Polacy nie utracili kontaktu z kulturą Zachodu i pozostali cząstką życia duchowego światowej stolicy chrześcijaństwa.

Nie można też pominąć działalności Stanisława Morawskiego jako jednego z przywódców Polonii włoskiej. Był współinicjatorem powstania Związku Polaków we Włoszech i wywarł istotny wpływ na przebieg zjazdu założycielskiego tej organizacji w Tortoreto Lido w 1995 r. Patronował założeniu rzymskiej organizacji polonijnej Associazione Italo-Polacca di Roma i jej pierwszym działaniom. Przede wszystkim jednak był pionierem mediów polonijnych we Włoszech. Doprowadził do powstania Biuletynu Informacyjnego „Polonia Włoska", który jest wydawany od 1996 r. Było to możliwe jedynie dzięki pomocy organizacyjnej, lokalowej i technicznej udzielonej przez prowadzoną przez niego Fundację Rzymską im. J.Z. Umiastowskiej. Był też wydawcą wielotomowego wydawnictwa będącego swoistą kroniką Polonii włoskiej „Świadectwa – Testimonianze", którego pierwszy wolumin ukazał się w 2000 r.



Prezydent RP w listopadzie 2015 r. odznaczył w Rzymie Stanisława Morawskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

Miałem okazję poznać Stanisława Morawskiego i kibicować jego działalności przez ostatnie ćwierćwiecze jego długiego i twórczego życia. Znałem go więc jako człowieka w wieku sędziwym i dzięki temu mogłem obserwować wspaniały przykład pięknej, aktywnej starości. W zwariowanym świecie współczesnym ubóstwiającym młodość i sztucznie przedłużającym jej pozory aż do granic ponurej śmieszności, Stanisław Morawski przypominał o tym, że słowo „starzec" przywodzi na myśl takie cechy jak mądrość, przenikliwość, umiar; że starość może być epoką największej aktywności w życiu człowieka, bo dzięki doświadczeniu przynosi umiejętność właściwego gospodarowania posiadanymi darami i skutecznego oddziaływania na współpracowników; że wiek sędziwy może być czasem czerpania radości życia i jednocześnie promieniowania na otoczenie ujmującą osobowością i głęboką wiedzą. Trzeba zaś podkreślić, że wielka aktywność Stanisława Morawskiego w ostatnim ćwierćwieczu Jego życia umożliwiła bardzo wielu osobom obcowanie z tym przykładem starości wspaniałej. Do ostatnich chwil zachował świetną pamięć, błyskotliwą inteligencję oraz cięty dowcip.

Nie sposób nie wspomnieć jeszcze jednej ważnej cechy Stanisława Morawskiego – jego głębokiego patriotyzmu. W tej kwestii trudno znaleźć celniejsze sformułowanie niż to, którego użył Wojciech Ponikiewski, były ambasador RP w Rzymie i autor wzruszającego wspomnienia „o Stasiu" – w domu Morawskich rzeczywiście nie mówiło się o patriotyzmie, ale nim oddychało.

Stanisław Morawski przykładem swego życia przekonywał, że świat, w którym wzorami są szlachetność, honor, umiar, powściągliwość, wciąż istnieje i nie ustępuje przed naporem relatywizmu i bylejakości.

HENRYK LITWIN

eprasa.pl 37b1e8a2c0

GIEDROYC I ZBYSZEWSKI O MIŁOSZU, AMERYCE I EMIGRACJI

JERZY GIEDROYC NAPISAŁ NIEWIELE TEKSTÓW PRZEZNACZONYCH BEZPOŚREDNIO DO DRUKU, PROWADZIŁ JEDNAK BARDZO ROZLEGŁĄ KORESPONDENCJĘ. W ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PODPARYSKIM MAISONS-LAFFITTE ZNAJDUJE SIĘ 150 TYS. LISTÓW OD I DO REDAKTORA „KULTURY". W OSTATNICH LATACH TA OGROMNA I CIEKAWA KORESPONDENCJA ZOSTAŁA CZĘŚCIOWO OPUBLIKOWANA



KRZYSZTOF TARKA

W czasach, gdy bezpośredni kontakt osób mieszkających w różnych krajach utrudniała odległość, problemy z uzyskaniem wizy czy wysoka cena biletów na samolot, gdy telefony nie były powszechnie dostępne, a zagraniczne rozmowy telefoniczne były szalenie drogie, osobisty kontakt zastępowała wymiana listów, będąc namiastką bezpośredniej konwersacji. Interlokutorami Giedroycia byli emigracyjni, a później także krajowi autorzy, intelektualiści czy dysydenci zza żelaznej kurtyny. Ukazała się już korespondencja Redaktora m.in. z Witoldem Gombrowiczem, Leszkiem Kołakowskim, Janem Józefem Lipskim, Józefem Mackiewiczem, Juliuszem Mieroszewskim, Czesławem Miłoszem, Zdzisławem Najderem, Janem Nowakiem-Jeziorańskim czy Melchiorem Wańkowiczem. Ta niepełna lista autorów świadczy o wadze i znaczeniu tego zbioru dla badaczy polskiej kultury czy myśli politycznej.

Najnowszy tom wydany w serii Archiwum „Kultury" zawiera listy Jerzego Giedroycia i Wacława Alfreda Zbyszewskiego, jednego z najbłyskotliwszych publicystów emigracyjnych. Poznali się w latach 30. XX w., gdy Zbyszewski był współpracownikiem, a Giedroyc redaktorem „Buntu Młodych" i „Polityki". Po latach ten ostatni wspominał w „Autobiografii na cztery ręce", że nie znał człowieka, który by pisał z taką łatwością.

Rówieśnicy

Zbyszewski urodził się w 1903 r. w ziemiańskiej rodzinie na Humańszczyźnie (obecnie Ukraina). Z ogarniętej rewolucją Rosji Zbyszewscy przenieśli się do odrodzonej po latach zaborów Polski. Wacław studiował prawo i ekonomię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pociągały go jednak dziennikarstwo i dyplomacja. Dziennikarskie ostrogi zdobył w konserwatywnym „Czasie" wydawanym w Krakowie. Na przełomie lat 20. i 30. był urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pracował m.in. na placówkach w Paryżu, Nowym Jorku i Tokio. W 1933 r. usunięty z MSZ wrócił do dziennikarstwa.

Kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej Zbyszewski wyjechał do Londynu jako korespondent wileńskiego „Słowa". Lata wojny spędził w rozgłośni BBC. Jako ideowy antykomunista i zdeklarowany rusofob pozostał na emigracji. Pisał m.in. do londyńskich „Wiadomości" i paryskiej „Kultury". Pracował w Głosie Ameryki, nagrywał audycje dla Radia Wolna Europa. Zmarł w Londynie w 1985 r. W ocenie Giedroycia: „Był to bardzo ciekawy człowiek, który zmarnował swe ogromne możliwości".

Z trwającej ponad 40 lat (z przerwami) korespondencji Giedroycia i Zbyszewskiego zachowało się nieco ponad 400 listów. Rafał Habielski, autor fachowego wstępu, wybrał i opracował 251 z nich. Najwięcej listów przypada na początek lat 50. Wymieniali wówczas od 40 do ponad 60 listów rocznie. Gdy w 1962 r. Zbyszewski zamieszkał w Paryżu, częstotliwość korespondencji zdecydowanie zmalała.

Obaj byli niemal równolatkami (Giedroyc był trzy lata młodszy). Świadectwem ich zażyłości i trwającej przez dziesięciolecia przyjaźni (choć w niektórych sprawach czy ocenach różnili się zasadniczo) jest formuła powitalna listów: „Kochany Wacku", „Kochany Jerzy" czy zdecydowanie rzadziej: „Mój Drogi". Publikowana korespondencja jest świadectwem specjalnego statusu Zbyszewskiego w relacjach z Giedroyciem i na łamach „Kultury".

Wyklęty Jerzy

Jak to w listach przyjaciół – piszą po trochu o wszystkim: o swoim życiu zawodowym, znajomych, komentują bieżące wydarzenia na świecie, wspominają

eprasa.pl 37b1e8a2c0

o sprawach osobistych (chorobach, kłopotach finansowych czy życiowych rozterkach). W korespondencji bardzo często pojawiają się kąśliwe opinie i plotki o ludziach i instytucjach emigracyjnych. Listy rejestrują ich przelotne nastroje, irytacje czy sądy nie do końca przemyślane.

Zdecydowanie bardziej emocjonalny ton ma korespondencja Zbyszewskiego. Niewyparzony język i cięte pióro oraz plotkarski charakter sprawiają, że nie stroni on od wyrażania swoich osobistych antypatii. W jego listach nie brakuje emocjonalnych tyrad, pejoratywnych określeń lub inwektyw. Opinie Zbyszewskiego bywają dalekie od obiektywizmu, a on sam ma skłonność do wyrażania ocen skrajnych, ale w tym tkwi też swoisty urok tej korespondencji.

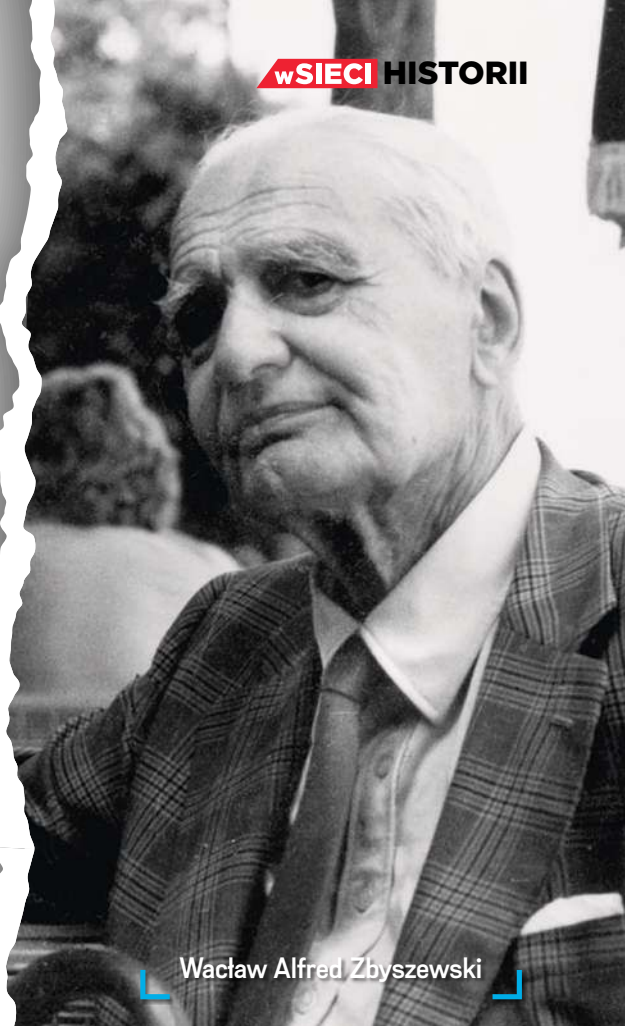
Negatywnym bohaterem listów Zbyszewskiego jest Ryszard Wraga (właściwie Jerzy Niezbrzycki), przedwojenny oficer wywiadu, sowietolog, publicysta, współpracownik „Kultury". Drogi Wragi i Giedroycia rozeszły się na początku lat 50. na tle tzw. sprawy Miłosza. Zbyszewski już wcześniej ostrzegał przed nim redaktora „Kultury". Uważał Wragę za „osła, intryganta i człowieka bardzo niepewnego". Innym razem sugerował, że to wręcz sowiecki agent. W odpowiedzi Giedroyc stwierdził, że Wraga stał się dla Zbyszewskiego jakąś obsesją. Drażniąc się z przyjacielem, pisał, że bardzo często wspomina o nim w długich nocnych rozmowach z Wragą. Gdy w 1958 r. Zbyszewski przesłał Giedroyciowi najlepsze życzenia imieninowe, dodał, że nienawidzi św. Jerzego, „bo jest patronem Anglii i Wragi".

Beztalencia i intryganci

Chyba jeszcze gorszą opinię miał na temat Czesława Miłosza. Po tym jak w 1951 r. poeta i były attaché kulturalny Polski Ludowej w Waszyngtonie i Paryżu wybrał wolność, Zbyszewski nie ukrywał swojego krańcowego oburzenia na jego obecność na łamach „Kultury". Przepowiadał, że Giedroyc będzie kiedyś głęboko żałował pomocy, której udzielił Miłoszowi. Twierdził, że poeta jest „bezczelny crapule [łajdak], fałszywy, przewrotny i zły, człowiekiem bez przekonań, bez wychowania, bez godności i w dodatku absolutnym beztalenciem, nudnym grafomanem i zupełnym ignorantem i prymitywem". Giedroyc zdecydowanie nie podzielał jego opinii: „Bardzo żałuję – pisał – że sprawa Miłosza tak skomplikowała naszą współpracę". Zbyszewski, krytycznie oceniając jeden z kolejnych numerów „Kultury", z sarkazmem stwierdził: „Jedyny plus to to, że nie ma tam Miłosza". Innym razem, zawiedziony, że Giedroyc nie prosi go o nowe teksty, dodał: „No ale poza Miłoszem świata nie widzisz".

Negatywnie oceniał również artykuły czołowego publicysty i komentatora politycznego „Kultury" Juliusza Mieroszewskiego. Zdaniem Zbyszewskiego Londyńczyk „pisze banały z miną odkrywcy", a jego teksty są po prostu nudne. Cenił natomiast pisarstwo Stanisława Mackiewicza, z którym pozostawał w przyjaźni od lat przedwojennych. Nie zerwał stosunków z Catem także po jego powrocie do kraju.

Zbyszewski wielokrotnie narzekał na złe stosunki w redakcji Głosu Ameryki w Monachium, gdzie na początku lat 50. znalazł zatrudnienie. Przyjacielowi z Maisons-Laffitte żalił się: „Co to są za bandyci ci nasi szefowie". Równie negatywne opinie znajomych docierały do niego na temat Jana Nowaka-Jeziorańskiego, dyrektora bratniej rozgłośni Radia Wolna Europa. W jednym z listów do Giedroycia pisał: „Facet jest tak chamowaty, że wszyscy go nienawidzą". Ostrzegał też redaktora „Kultury", że Nowak-Jeziorański jest jego śmiertelnym wrogiem, „który nie cofnie się przed żadną intrygą i żadnym oszczerstwem, byleby Ciebie zniszczyć i odebrać Ci wszelką pomoc amerykańską". Z drugiej strony Giedroyc już wcześniej »


Wacław Alfred Zbyszewski


Jerzy Giedroyc

FOT. ZE ZBIORÓW PROF. RAFAŁA HABIELSKIEGO; EAST NEWS/ ŁASKI DIFFUSION

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» pisał, że jego stosunek do Free Europe jest krytyczny, „a w stosunku do sekcji polskiej najbardziej negatywny".

Niedoszłe wspomnienia

Po kilku latach pracy w Monachium Zbyszewski wrócił do Londynu, którego nienawidził „z całej duszy wraz z tymi obrzydliwymi Anglikami". Marzył o jakiejś posadzie w Paryżu i zamieszkaniu w siedzibie „Kultury", ale Giedroyc zdecydowanie wyperswadował mu ten pomysł. Jak pisał: „Dom jest zawsze pełen ludzi, których Ty nie znosisz. Będę miał piekło ze wszystkich stron i to się będzie musiało źle skończyć". W odpowiedzi Zbyszewski żalił się, że Giedroyc, mając „pałac", odmawia mu udzielenia przytułku i wynajęcia choćby jednego pokoju.

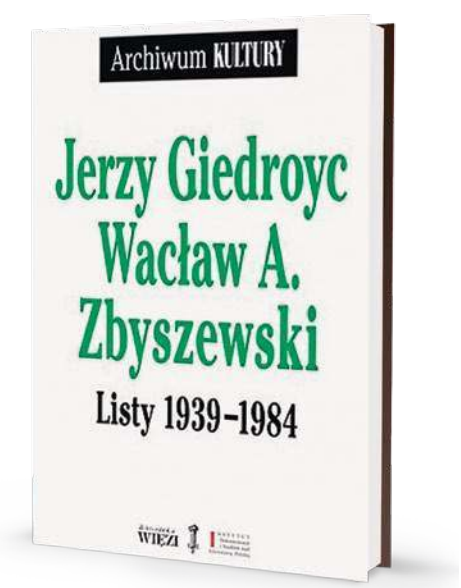
Przez blisko 30 lat Zbyszewski był jednym z najważniejszych współpracowników paryskiego miesięcznika. Jednak na namowy Giedroycia, by nadesłał artykuł do pierwszego numeru „Kultury", odpowiedział odmownie. W liście z 13 lutego 1947 r. pisał: „Co do Twojej »Kultury«, to przyznam, że mnie nie interesuje. Zresztą uważam, że tych ubogich polskich periodyków jest i tak za wiele". Zmienił jednak zdanie i pojawił się już w kolejnym numerze. W następnych latach Giedroyc drukował niemal wszystkie jego artykuły.

Gdy w 1948 r. Zbyszewski przez kilka miesięcy nie przesłał nowego tekstu, Giedroyc pisał z wyrzutem: „Milczysz jak zaklęty i od dawna już przestałeś gorszyć czytelników »Kultury« swoimi artykułami. Mam jednak nadzieję, że nędza i zła passa w bridge'u zmusi Cię w końcu do pisania". Redaktor wielokrotnie, bezskutecznie, namawiał też Zbyszewskiego do napisania wspomnień. Przekonywał, że może to być dzieło jego życia. Wobec talentu literackiego Zbyszewskiego taki fresk od Kijowa poprzez stary Kraków, sanacyjną Warszawę, wojenny Londyn byłby dokumentem epoki, która już odeszła, „skromnie mówiąc, na miarę pamiętników Paska" – motywował go Giedroyc. Był też gotów drukować wspomnienia Zbyszewskiego w odcinkach na łamach „Kultury", a później wydać książkę. Ten nie miał jednak ochoty wracać do przeszłości. W przeciwieństwie do Giedroycia z obrzydzeniem, wręcz z nienawiścią, wspominał „sanacyjne paskudztwo" i Piłsudskiego, którego nazywał Piłsudraniem.

Obłudni Anglosasi

Już w pierwszych miesiącach II wojny światowej Zbyszewski nie miał żadnych złudzeń co do stanowiska Anglików wobec ziem wschodnich Rzeczypospolitej. W liście z 25 listopada 1939 r. pisał: „Antysowieckiej polityki prowadzić nie chcą i na nasze wschodnie Kresy machnęli ręką, linia Curzona i koniec". Kilka miesięcy później doszedł do wniosku, że polski minister spraw zagranicznych Józef Beck był megalomanem i żył złudzeniami.

Po zakończeniu wojny, wskazując na dominującą pozycję Stanów Zjednoczonych, twierdził: „Sprawa polska jest zupełnie nieaktualna i póki Amerykanie się nią nie zajmą, Anglicy sami nic nie zrobią". Jak wielu wówczas, konflikt między Stanami Zjednoczonymi (Zachodem) a Związkiem Sowieckim wydawał mu się nieunikniony. Prognozował, że wojna wybuchnie zapewne jeszcze w 1948 r. Kilka lat później z ubolewaniem konstatował, że „w Waszyngtonie sprawa polska nie jest serio traktowana i nie wywołuje zainteresowania". W połowie lat 50., gdy ostatecznie rozwiały się nadzieje emigrantów na zasadniczą zmianę sytuacji w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, przekonywał: „Polacy muszą wreszcie zrozumieć, że mają dwie alternatywy – pozostać satelitą Rosji albo Niemiec". Innym razem, głęboko rozczarowany postawą Białego Domu, dodał: „Każdy, kto dowodzi, że Polska może liczyć na Stany [Zjednoczone], jest umysłowo chory". Sceptycznie zapatrywał się również na możliwość utrwalenia powojennej granicy Polski na zachodzie. W liście z końca 1951 r. pisał: „Odry i Nissy nie utrzymamy nigdy, i nie ma nawet co o tym marzyć". I tym razem się mylił.



Z dystansem do polityki

Zbyszewski nie angażował się w działalność polityczną wychodźstwa, ale wielokrotnie ubolewał nad kondycją „polskiego" Londynu: „Wszyscy są tak skłóceni – pisał 19 kwietnia 1949 r. – poziom tak straszny, wszystkie autorytety leżą. Bryndza potworna, apatia, przygnębienie". Postępujący marazm i rozbicie wychodźstwa robiło na nim przygnębiające wrażenie. Kilka miesięcy później stwierdził; „Jesteśmy już emigracją czysto robotniczą, która się nie liczy". Jesienią 1958 r. dodał: „O polskim Londynie nie ma co mówić – nie istnieje".

Choć niemal obsesyjnie nienawidził Anglii i Anglików, jeszcze bardziej mierziła go intelektualna pustka polityków emigracyjnych („Londyn jest potworny, polski arcyokropny" – pisał w jednym z listów do Giedroycia), to nigdy nie rozważał powrotu do Polski rządzonej przez komunistów. Ta jawiła mu się jako „dzicz wschodnia, jeszcze gorsza od sanacji i Turcji", a „życie tam jest niemożliwe". Jak przyznał w swoim stylu: „Trzeba wytrzymać na emigracji, nawet wśród tego bydła i w tej nędzy, w której żyjemy". Wszystko, co rosyjskie, wschodnie czy komunistyczne, Zbyszewski uważał z natury za barbarzyńskie, nikczemne i obrzydliwe.

Odraza do komunizmu nie przysłaniała mu politycznego realizmu. W okresie solidarnościowego karnawału, jako komentator poczytnego w „polskim" Londynie „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", którego redaktorem naczelnym był jego brat – Karol, nawoływał rodaków w kraju do rozwagi i zdrowego rozsądku. Ostrzegając przed nieopatrznym sprowokowaniem Kremla do interwencji wojskowej, stwierdził: „Żaden polski patriota, żaden uczciwy autentyczny Polak, nie będzie prowokował naszych rodaków w kraju do ofiar równie katastrofalnych, co powstanie warszawskie".

Opublikowana korespondencja to niewątpliwie pasjonująca lektura. Jest też ważnym materiałem, zwłaszcza do biografii Wacława A. Zbyszewskiego, wybitnego publicysty emigracyjnego, dziś już w dużym stopniu zapomnianego.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



ELŻBIETA RAKUSZANKA

MIMO TRUDNEGO DZIECIŃSTWA I BRAKU URODY KRÓLOWĄ MOŻNA UZNAĆ ZA SPEŁNIONĄ ŻONĘ, MATKĘ I WŁADCZYNIĘ



MAREK BARAŃSKI

Elżbieta urodziła się w 1436 lub na początku 1437 r. w Wiedniu. Była dzieckiem Albrechta II Habsburga i Elżbiety, córki cesarza Zygmunta Luksemburskiego. Mimo tak świetnego pochodzenia jej dzieciństwo chyba nie było najszczęśliwsze. Wprawdzie w 1438 r. jej ojciec został królem Czech, Węgier i Niemiec, ale rok później już nie żył. Pozostawił ciężarną żonę, która próbowała przejąć władzę na Węgrzech. Uznała ten kraj za swoje dziedzictwo po ojcu. Innego zdania byli Węgrzy. Twierdzili oni, że tron węgierski jest elekcyjny i na swego władcę wybrali polskiego króla Władysława, który miał się ożenić z wdową po Albrechcie. Nie odpowiadało to królowej wdowie. Wyjechała z Budy, zabierając z sobą wykradzione insygnia koronacyjne. Wierzyła, że urodzi syna i to jemu chciała przekazać węgierską koronę. Na świat przyszedł chłopiec. Królowa usłyszawszy, że polski monarcha przyjął węgierski tron i wyrusza na Węgry, doprowadziła do koronacji syna i zaczęła się przygotowywać do obrony.

Z powodu walki o władzę Elżbieta Luksemburska nie miała czasu zajmować się córką. Oddała ją pod opiekę Fryderyka III Habsburga, od 1440 r. króla niemieckiego. Matka dziewczynki zmarła zresztą już w 1442 r.

Mała Elżbieta wychowywała się więc na dworze Fryderyka. Tam została bardzo starannie wykształcona, jednym z jej nauczycieli był Eneasz Sylwiusz Piccolomini, humanista, późniejszy papież Pius II. Nauczyła się kilku języków, poznała historię, przejęła kulturę europejską, wpojono jej głębokie przywiązanie do Kościoła. Jednak żyła bez matki. Wraz z dorastaniem panienka zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest piękna. Ponadto po ciężkiej chorobie w dzieciństwie miała skrzywienie kręgosłupa, a także zły zgryz. Wydaje się jednak, że nie odbiło się to na jej psychice.

Opiekun Elżbiety dbał o jej przyszłość. W 1450 r. została ona zaręczona z Fryderykiem, synem elektora saskiego. Planowane małżeństwo nie doszło jednak do skutku. Na następnego narzeczonego nie musiała Elżbieta długo czekać. W 1452 r. przybyło do Wiednia poselstwo polskie, prosząc w imieniu króla polskiego Kazimierza o rękę Habsburżanki. Doszło do zaręczyn i do podpisania sojuszu polsko-austriackiego.

Elżbieta przybyła do Polski w 1454 r., w Cieszynie czekało na nią wielu najwybitniejszych poddanych króla Kazimierza. Nie od razu jednak zjawiła się w Krakowie, musiała się zatrzymać na trzy dni w Skawinie. Ona i jej otoczenie zaczęli się niepokoić, czy ze względu na urodę Elżbiety król Kazimierz się nie rozmyślił. Jednak przerwa w podróży była konieczna tylko po to, aby można było zakończyć przygotowania do uroczystego wjazdu. Mimo tych przygotowań wjazd się nie udał, został przerwany przez ulewny deszcz.

10 lutego 1454 r. odbył się uroczysty ślub, udzielił go biskup krakowski kard. Zbigniew Oleśnicki, mszę odprawiał abp Jan Sprowski, w uroczystości brał udział Jan Kapistran. Wesele trwało tydzień.

Mimo braku urody królowej małżeństwo jej okazało się bardzo dobre. Elżbieta towarzyszyła w podróżach męża, wspierała go w obowiązkach władcy. Po 1457 r., gdy zmarł jej brat Władysław Pogrobowiec, znaczenie Elżbiety wzrosło, stała się dziedziczką tronów czeskiego i węgierskiego. Małżonkowie doczekali się 13 dzieci. Spośród nich Władysław został królem Czech i Węgier, Jan Olbracht – królem Polski, a Aleksander i Zygmunt – królami Polski i wielkimi książętami litewskimi; Kazimierz został świętym, a Fryderyk – arcybiskupem gnieźnieńskim i kardynałem. Również córki dobrze powychodziły za mąż, Jadwiga została żoną Jerzego Bogatego, księcia Bawarii, Zofia wyszła za mąż za Fryderyka, elektora brandenburskiego, Anna – za Bogusława X księcia pomorskiego, Barbara – za Jerzego księcia saskiego i Elżbieta – za Fryderyka księcia legnickiego.

W 1492 r. zmarł Kazimierz Jagiellończyk, Elżbieta wsparła swoich synów w osiągnięciu tronów. Pozostawiła po sobie także traktat o wychowaniu synów królewskich. Zmarła w 1505 r. i została pochowana w katedrze wawelskiej.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 37b1e8a2c0

FOTOGRAFICZNE ATELIER W KRESOWYM PAŁACU



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

„ZDJĘCIA STANISŁAWA K. KOSSAKOWSKIEGO MAJĄ NIE TYLKO DUŻĄ WARTOŚĆ HISTORYCZNĄ, ALE DLA MIŁOŚNIKÓW DAWNEJ FOTOGRAFII SĄ ODKRYCIEM ARTYSTYCZNYM...”

Połowę oddziału oraz filar wokoło zajęła wystawa Stanisława hr. Kossakowskiego. Daje ona wysoce oryginalne drzewo genealogiczne rodziny wystawcy ze scenami z wybitnych momentów jej historii w porządku genealogicznym... Nadto St. hr. Kossakowski wystawił zbiór portretów, scen oraz widoków ze swoich Wojtkuszek na Żmudzi” – donosił w październiku 1901 r. „Kurier Warszawski”, polecając czytelnikom wystawę fotografii zorganizowaną w ratuszu przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.



Pałac Wojtkuszki od strony ogrodu, 1894 r.

Już wówczas dla warszawskich dziennikarzy północno-wschodnie kresy tworzyły magiczną krainę, gdzie Wilno mogło leżeć nad Niemnem, Kowno nad Wilią, Żmudź ogarniała zaś całą Litwę. Tymczasem majątek Wojtkuszki Stanisława Kazimierza Kossakowskiego (1837–1905) ze Żmudzią nawet nie graniczył, położony był bowiem między Wilnem a Wiłkomierzem, bliżej tego drugiego miasteczka. Ta część Litwy nosiła historyczną nazwę Auksztota.

Kolejna poważna wystawa fotografii Stanisława K. Kossakowskiego w Warszawie odbyła się dopiero we wrześniu 2016 r. w Domu Spotkań z Historią. Przedstawiła ona ponad 130 fotografii z ogromnej kolekcji oraz przypomniała postać tego niecodziennego przedstawiciela polskiej arystokracji. Większość zdjęć pochodzi ze zbiorów Muzeum im. Mikołaja Konstantego Ciurlionisa w Kownie, gdzie przechowywanych jest ponad 6 tys. fotogramów wykonanych w latach 1894–1904 przez samego autora i jego pomocnika.

„Zdjęcia Stanisława K. Kossakowskiego mają nie tylko dużą wartość historyczną, ale dla miłośników dawnej fotografii są odkryciem artystycznym... Ot, choćby tam, gdzie wszyscy w jego czasach robili portrety en face, Kossakowski chętnie sięgał po ujęcia z profilu. Nie bał się wyjść poza ramy, eksperymentował ze światłem i tłem, bawił się formą i konwencją. Jego zdjęcia często mają wiele planów, które opowiadają o różnie zaaranżowanych scenach tak sugestywnie, iż trudno ocenić, co rzeczywiście jest głównym tematem danego fotogramu" – pisała krytyk sztuki Anna Krajkowska w „Gazecie Polskiej Codziennie" (19 marca 2019), omawiając album zatytułowany „Stanisław Kazimierz Kossakowski. Kocham fotografię".

Pałac w Wojtkuszkach

Na przełomie XVI i XVII w., przeniesiony dekretami i nadaniami królewskimi z łomżyńskiego na Litwę, ród Kossakowskich podzielił się na dwie linie: marciniszkowską od najstarszego dworu tej rodziny na Litwie w Marciniszkach k. Kiejdan, i wojtkuską, od nabytego w 1764 r. przez późniejszego wojewodę witebskiego i brasławskiego Michała Kossakowskiego majątku Wojtkuszki. Michał był bratem kasztelana inflanckiego Antoniego z Marciniszek oraz Józefa Kazimierza biskupa i Szymona hetmana, których dobra zostały w linii marciniszkowskiej. Olbrzymią fortunę właścicielom Wojtkuszek natomiast zapewniła małżonka Stanisława Szczęsnego Kossakowskiego (wnuka Michała), dama dworu carskiego Aleksandra hr. de Laval (1811–1886). „Za żoną wziął w cesarstwie rosyjskim, mianowicie w guberniach: symbirskiej, penzeńskiej i oremburskiej dobra Czedajewkę, Papuzę i kopalnie miedzi w górach uralskich" – czytamy w rodzinnych dokumentach.

Stanisław Szczęsny Kossakowski (1796–1872), dyplomata w służbie dworu carskiego, literat, malarz i kolekcjoner, należał do najświatlejszych przedstawicieli ówczesnego polskiego ziemiaństwa. On właśnie we współpracy z wiłkomierskim architektem Bonifacym Pawłowskim zaprojektował przebudowę starego pałacu w Wojtkuszkach k. Wiłkomierza. Prace polegające na nadaniu budowli modnych stylów neogotyckiego i neoromańskiego rozpoczęto w 1857 r. Po poważnej przebudowie i poszerzeniu powierzchni pałacowych, nową już elewację frontową ok. 1865 r. uwiecznił na swojej litografii znany rysownik polskich dworów i pałaców Napoleon Orda (1807–1883).

Według dzisiejszych kryteriów budowla pełna różnych wieżyczek, ostrych szczytów i pseudokrenelaży mimo swoistego uroku była trochę pretensjonalna. Natomiast wnętrza wypełnione znakomitymi dziełami sztuki, ogromna biblioteka i rodzinne archiwa budziły powszechne zainteresowanie. Godna uwagi była tzw. sień szwajcarska usytuowana na osi głównej pałacu, w której stały postumenty z pełnym rycerskim uzbrojeniem, a ściany dekorowały liczne inne zabytkowe militaria. Na tej samej osi od strony ogrodowej mieściła się olbrzymia sala jadalna z ciasno zawieszonymi portretami królów Polski, oprawionymi w czarne złocone ramy. Część z nich była autorstwa Marcella Bacciarellego (1731–1818), reszta pochodziła z jego szkoły. Do jadalni przylegał obszerny salon z licznymi obrazami takich mistrzów jak Jan Chrzciciel Lampi, Józef Grassi czy batalista January Suchodolski. Obraz tego ostatniego przedstawiał cesarza Napoleona w Fontainebleau, w momencie gdy ofiarowywał swój mundur gen. Józefowi Antoniemu Kossakowskiemu. Zbiory wojtkuskie w czasie I wojny światowej wywiezione w głąb Rosji zostały rozproszone i rozkradzione. Sam opuszczony pałac w Wojtkuszkach ograbiony i mocno zniszczony, jako prawie ruina, przetrwał do II wojny światowej, po której resztki budowli zostały rozebrane, a jedynym śladem dawnej rezydencji jest odbudowana obecnie wieża pałacowa. Działa tam Fundacja prof. Jana Kossakowskiego z Warszawy.

Atelier „Wojtkuszki"

„Mój ojciec pasjonował się fotografią, sam robił wiele zdjęć, a także w Wojtkuszkach był stale fotograf mego ojca pan Józef Krajewski, który wykonywał wiele fotografii oraz prowadził całą stronę laboratoryjną" – czytamy w „Notatkach" >>



Autoportret St.K. Kossakowskiego na wystawie w Domu Spotkań z Historią i autor artykułu

FOT. FUNDACJA KOSSAKOWSKIEGO

eprasa.pl 37b1e8a2c0



FOT. FUNDACJA KOSSAKOWSKIEGO

najmłodszego syna Stanisława Kazimierza, prof. chirurga Jana Kossakowskiego. Atelier fotograficzne Wojtkuszki działalność swoją rozpoczęło w 1894 r. i właściwie funkcjonowało do śmierci autora. Pod tą też nazwą wykonane tam prace fotograficzne pokazywane były na licznych krajowych i międzynarodowych wystawach, przynosząc złote, srebrne oraz brązowe medale i wyróżnienia.

Swój fotograficzny warsztat w Wojtkuszkach Stanisław Kazimierz udokumentował na specjalnie zaaranżowanej scenie. Na fotografii noszącej w szczegółowo prowadzonym przez autora katalogu numer 501 widzimy sprzęt fotograficzny wyniesiony na zewnątrz pracowni i ułożony na długiej ławie. Obok ławy stoją pracownicy laboratorium: wspomniany Józef Krajewski, płuczący w kuwecie szklane płyty, jego pomocnik – lokaj Dudas, oraz sam Stanisław Kazimierz trzymający w ręce dekiel od obiektywu i pochylający się nad rzutnikiem do zdjęć. Ułożenie sprzętu fotograficznego i trzymane w rękach widocznych na zdjęciu osób przedmioty dowodzą, iż zamierzeniem reżysera sceny było przedstawienie całego procesu fotografowania i wywoływania fotografii.

Tematy, jakie podejmował w swoich fotograficznych realizacjach Stanisław Kazimierz, często odbiegały od obowiązujących ówcześnie kanonów. Oprócz zwykłych portretów w twórczości właściciela Wojtkuszek widzimy znakomite portrety grupowe, dostrzegamy też pewne zacięcie dokumentalisty ciekawego życia wiejskiego. Poznajemy go również jako wrażliwego obserwatora polnego i leśnego krajobrazu. Zdjęcie Stanisława Kazimierza z 1901 r., przedstawiające leśny trakt oświetlony popołudniowym słońcem, przyniosło taki odzew: „Towarzystwo Fotograficzne Warszawskie ma sobie za miły obowiązek uwiadomić Jaśnie Wielmożnego Hrabiego, że fotografie jego nadesłane na wystawę prac Członków, otwartą w dniu 20 maja r.b., uzyskały specyalne odznaczenie za dobre zdjęcia wnętrza lasów...". Dziś można by powiedzieć, iż fotografie tego zamożnego fotoamatora świetnie dokumentowały życie wschodnich kresów, odnotowywały kondycje dworów w sąsiednich majątkach, portretowały ich właścicieli, wreszcie zapamiętały na zawsze cały świat kresowego ziemiaństwa.

Fotografie Stanisława K. Kossakowskiego: portrety grupowe, wnętrza, ale też dokumenty z podróży i krajobrazy

Ziemianin publiczny i domowy

Urodzony w rodzinnym majątku w Wojtkuszkach pasjonat fotografii Stanisław

eprasa.pl 37b1e8a2c0

TEMATY, JAKIE PODEJMOWAŁ W SWOICH FOTOGRAFICZNYCH REALIZACJACH STANISŁAW KAZIMIERZ, CZĘSTO ODBIEGAŁY OD OBOWIĄZUJĄCYCH ÓWCZEŚNIE KANONÓW FOTOGRAFII

Kazimierz Kossakowski zajmował się jednak głównie życiem społecznym i kulturalnym zarówno w Warszawie, jak i w swoim wiłkomierskim powiecie. Był wiceprezesem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, sędzią sądów honorowych, współfundatorem Przytuliska (przytułek dla ubogich i bezdomnych kobiet) oraz organizatorem Warszawskiego Towarzystwa Fotograficznego. Pracując w archiwum Heroldii Królestwa Polskiego, uporządkował historyczną dokumentację wielu polskich rodzin szlacheckich oraz opublikował dwutomowe dzieło „Monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich". Był też prezydentem Wiłkomierza i sądowym rozjemcą w sprawach ziemiańskich majątków w powiecie wiłkomierskim.

Zapamiętany został także z racji swoich ogrodniczych zainteresowań. W Wojtkuszkach przekomponował stare założenie obszernego, otaczającego pałac parku, rozciągającego się dalej na otaczające wzgórza. Mimo nierówności terenu utworzony został cały system stawów usytuowanych na różnych poziomach. Ponad łączącymi je kanałami przerzucone były malownicze mostki i kładki, w miejscach atrakcyjnych widokowo wzniesiono drewniane o różnych kształtach altanki.

Dość skomplikowane było natomiast życie rodzinne Stanisława Kazimierza. Żonaty był bowiem trzykrotnie: z Aleksandrą z hr. Chodkiewiczów, z Michaliną Zaleską h. Lubicz i Zofią Bover Saint Clair h. własnego. Z tych trzech małżeństw pozostawił ośmioro dzieci: trzech synów i pięć córek, co sprawiło spore zamieszanie w majątkowych podziałach i genealogicznych wywodach. Józef Kossakowski, syn Stanisława Kazimierza z pierwszego małżeństwa, otrzymał majątek Brzostowica, Michał Stanisław z drugiego małżeństwa pałac w Nidokach, właścicielem rodzinnych Wojtkuszek został zaś wymieniony już, ale nieletni jeszcze wtedy, późniejszy sławny chirurg prof. Jan Kossakowski.

Artystyczne dziedzictwo

Wnuk Stanisława Kazimierza, prof. Jan Kossakowski (1900–1979), poza swoimi medycznymi obowiązkami amatorsko zajmował się malarstwem. W zachowanych listach, jakie do profesora kierował Prymas Tysiąclecia Stefan kardynał Wyszyński, odnajdujemy nie tylko słowa uznania dla postawy i jego kunsztu jako lekarza, ale także wielokrotnie wspomniane są tworzone przez niego rzeźby i malowane obrazy. Pokazywane na krajowych i międzynarodowych wystawach przyniosły prof. Kossakowskiemu wiele nagród i wyróżnień. Między innymi w 1965 r. na Esposizione Internazionale del Medico Artista w Turynie we Włoszech zdobył dwie nagrody: Premio Carlo Erba – złoty medal za „Madonnę" – rzeźbę w polichromowanym drewnie oraz srebrny za trójelementową kompozycję ceramiczną. Oczywiście zajmował się także fotografią, w dziedzinie której poważny, międzynarodowy sukces odniósł dopiero jego syn Eustachy Kossakowski (1925–2001). Był on z wykształcenia architektem, ale pracował jako fotoreporter, artystycznie rejestrując takie wydarzenia jak teatr Grotowskiego, teatr Kantora, działania Galerii Foksal, a w Paryżu, gdzie mieszkał od 1970 r., zasłynął ze zdjęć tworzących sławną wystawę „Sześć metrów przed Paryżem". Artystyczne zainteresowania wykazują też kolejne, żyjące obecnie pokolenia tej rodziny.



Odbudowana wieża pałacowa



Pałac Wojtkuszki, stan obecny

eprasa.pl 37b1e8a2c0



„Przemienienie Pańskie", rycina obrazu Rafaela Santi z 1520 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

RAFAEL, CZYLI ESENCJA SZTUKI RENESANSU

6 KWIETNIA MIJA 500 LAT OD ŚMIERCI RAFAELA SANTI, KTÓRY MIMO KRÓTKIEGO, ZAMKNIĘTEGO W 37 LATACH, ŻYWOTA WYWARŁ OGROMNY WPŁYW NA CAŁĄ SZTUKĘ EUROPEJSKĄ I STAŁ SIĘ PRAWDZIWĄ LEGENDĄ



JERZY MIZIOŁEK

Niemal bowiem wszystko, co związane z jego osobą, jest niezwykłe, jedyne w swoim rodzaju. Urodził się w Wielki Piątek 1483 r. i zmarł również w Wielki Piątek 1520 r.; był to także 6 kwietnia. Niespodziewaną śmierć, która ogromnym smutkiem wypełniła Rzym i całą Italię, opromieniono jednym z jego największych arcydzieł – „Przemienieniem Pańskim"; genialny artysta pracował nad nim w ostatnich miesiącach życia. „A kto ten żywy obraz i martwe ciało zobaczył – pisze Giorgio Vasari – doznawał głębokiego i bolesnego wzruszenia". Niezwykły był też pogrzeb uwielbianego przez wszystkich geniusza, bo odbył się w Panteonie, najsłynniejszej

eprasa.pl 37b1e8a2c0

świątyni starożytnego Rzymu, zmienionej w początkach VII w. na kościół chrześcijański. Gdy w 1837 r. otwierano grób, zbiegli się wszyscy najzacniejsi mieszkańcy Wiecznego Miasta – z ówczesnym papieżem i plejadą artystów pod przewodnictwem sędziwego już wówczas Bertela Thorvaldsena. Kilka lat później – w 1841– gdy Paul Delaroche malował swój słynny fresk z najwybitniejszymi artystami świata w Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu, to właśnie Rafaela umieścił w centrum zgromadzenia malarzy. Oto stoi przed nami piękny i młody, a po jego prawej i lewej stronie siedzą sędziwi dwaj inni geniusze – Leonardo i Michał Anioł. Mimo że wszyscy doskonale wiedzieli, iż geniusz Rafaela wyrósł niejako z zachwytu nad ich sztuką, a wcześniej na naśladowaniu Perugina, to jednak jego prymat w dziedzinie malarstwa pozostał przez całe wieki niepodważalny.

Opiewali go poeci epoki romantyzmu – w Polsce Juliusz Słowacki i Zygmunt Krasiński. W Niemczech Wilhelm Heinrich Wackenroder w swych „Serdecznych wyznaniach miłującego sztukę zakonnika" z 1797 r. napisał: „Dzieła Rafaela tak przepełniały i przytłaczały mnie swym niebiańskim pięknem, że nie potrafiłem o nich mówić ani wytłumaczyć nikomu, w czym ukryta jest jaśniejąca z nich boskość". Czar i moc jego sztuki były ostatnio prezentowane w małym, ale reprezentatywnym wyborze, na wystawie w murach Muzeum Narodowego w Warszawie, której celem było przede wszystkim przypomnienie zaginionego autoportretu artysty ze zbiorów Czartoryskich w Krakowie.

Narodziny geniuszu

Podczas gdy geniusz Leonarda i Michała Anioła objawił się już w ich najwcześniejszych dziełach (w przypadku pierwszego w obliczu anioła namalowanego w jednym z obrazów Verrocchia, w przypadku drugiego w kilku wczesnych reliefach i w Piecie Watykańskiej), wielki talent Rafaela odsłaniał swe oblicze powoli, by szybko zabłysnąć w okresie florenckim (1504–1508), a przede wszystkim w rzymskim (1508–1520).

Urbino, w którym Rafael przyszedł na świat jako jedyne dziecko Magii di Battisty Ciarli i Giovanniego Santiego, poety i malarza zatrudnionego na dworze księcia Federica da Montefeltra, pozostało do dziś małym miastem, ale od XV w. było jednym z ważniejszych centrów włoskiej kultury. Książę był wielkim mecenasem zapraszającym na swój dwór takich artystów jak Piero della Francesca i Luciano Laurana. Jego ogromny pałac był pełen dzieł sztuki, z którymi Rafael mógł obcować od najmłodszych lat. Także następcy księcia–kondotiera hojnie wspierali artystów i to właśnie w Urbino umieścił akcję swego „Dworzanina" Baldassare Castiglione. Z biegiem lat Rafael wykona jego piękny portret, przechowywany obecnie w Luwrze i to właśnie z Castiglione napisze pierwszy w dziejach świata raport archeologiczny o stanie zabytków antycznych Rzymu. Młody Rafael wyrastał w całkiem przestronnym domu, w sercu Urbino, nieopodal rezydencji książęcej. Do dziś jego ozdobą jest piękny fresk Giovanniego Santiego ukazujący Matkę Boską z Dzieciątkiem; legenda głosi, że za model posłużyli mu jego nowo narodzony syn wraz z matką. Niestety matka umarła, gdy syn miał osiem lat, a ojciec – gdy niespełna lat 11. Czego przyszły geniusz malarski nauczył się od ojca, ile zawdzięczał malarzowi Timoteo Vitiemu, z którym potem współpracował w Rzymie? Zapewne całkiem sporo, co pozwoliło mu w wieku 11 lat wejść do pracowni Pietra Perugina, jednego z najbardziej cenionych artystów tamtych czasów. Było to w połowie lat 90. XV w.; a potem, w 1503 r. w Sienie, współpraca z innym malarzem z Umbrii – Pinturicchiem. W ciągu tych ośmiu lat młody artysta doścignął styl malarski Perugina i szybko go przewyższył, o czym zaświadczają jego dzieła z lat ok. 1500, jak niezwykle urokliwy „Sen rycerza" w Galerii Narodowej w Londynie.

Vasari pisze, że Rafael, usłyszawszy w Sienie o pracach Leonarda da Vinci w Palazzo Vecchio we Florencji, szybko udał się do tego miasta „kierowany miłością do sztuki i dążeniem do »



XVI-wieczna kopia obrazu Rafaela Santi, „Portret młodzieńca" lub „Autoportret", olej na płótnie, Accademia Carrara w Bergamo

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» doskonałości". Czy to był jego pierwszy kontakt z tym wielkim centrum kultury, czy rzeczywiście przybył tu dopiero w 1504 r.? Powszechnie wiadomo, że poznanie dzieł Leonarda, Michała Anioła, ale też innych artystów włoskich stało się dla niego objawieniem. We wcześniejszych latach Rafael doskonale imitował dzieła ojca i Perugina, teraz powstało coś w rodzaju genialnej syntezy zbudowanej z rozmaitych impulsów; narodził się jego własny, idealny styl – symbol pełnego renesansu. „Studiował – kontynuuje Vasari – dawny styl Masaccia i osiągnięcia Leonarda i Michała Anioła, [...] żył blisko z Fra Bartolomeo od św. Marka, którego koloryt starał się naśladować, z kolei Rafael uczył zakonnika zasad perspektywy". Okres florencki przynosi całą serię przedstawień Matki Boskiej z Dzieciątkiem, takich jak „Madonna di Granduca" czy „Piękna Ogrodniczka". Większość z nich, a szczególnie „Madonna z Dzieciątkiem" w Szkockiej Galerii Narodowej w Edynburgu z 1507 r., ukazują przemożny wpływ malowanych wyobrażeń Matki Boskiej Leonarda da Vinci i jej reliefowych przedstawień Michała Anioła. A jednak w ruchach, gestach, w kolorycie, w słodyczy oblicza Madonny i urokliwości Dzieciątka jest coś tak indywidualnego i jedynego w swoim rodzaju, że oto przed nami jawi się w pełni ukształtowany geniusz. Zachwyt udzielał się wszystkim, powstawały repliki, kolejne wersje tworzone przez naśladowców naszego malarza wykonywane dla rzeszy miłośników sztuki, którzy pragnęli posiadać coś z ducha twórczości wielkiego Rafaela.

Znakomitym przykładem promieniowania sztuki Rafaela jest ciągle mało znany obraz w Muzeum Narodowym w Warszawie z pierwszej połowy XVI w., pokazany na wspomnianej wystawie. Oto „Święta Rodzina w czasie ucieczki do Egiptu", ale artysta wprowadził tu również wątek wielkanocny, bo istotnym elementem kompozycji jest baranek, zapowiedź Paschy. Nasz obraz jest niemal wiernym powtórzeniem dzieła samego Rafaela, znanego jako „Święta Rodzina z jagnięciem", przechowywanego w madryckim Prado. To, co warszawski obraz różni od pierwowzoru z 1507 r., to dodanie osiołka po prawej stronie, tak jakby artysta chciał jeszcze klarowniej uświadomić patrzącemu, że rzeczywiście chodzi tu o epizod z ucieczką do Egiptu. Wprawne oko szybko wypatrzy, że i tym razem Rafael sięgnął po inspirację do słynnej „Anny Samotrzeciej" Leonarda da Vinci. W naszym obrazie nie ma św. Anny, ale układ Madonny z Dzieciątkiem i barankiem (w lustrzanym odbiciu) jest niezwykle podobny i jednocześnie bardzo rafaelowski. Kto wykonał to małe arcydzieło? Czy powstało w warsztacie Rafaela, czy jednego z jego uczniów? Na świecie istnieje co najmniej siedem mniej lub bardziej podobnych powtórzeń czy adaptacji obrazu z Prado.

W okresie zwanym florenckim artysta wykonał takie arcydzieła jak „Złożenie Chrystusa do grobu" (obecnie w Galerii Borghese w Rzymie) i „Zaślubiny Marii z Józefem" (w mediolańskiej Brerze). Porównanie tego drugiego obrazu z dziełem Perugina o tej samej tematyce uświadamia, jak bardzo Rafael oddalił się od swego mistrza, jak ogromnie go przerósł. Nieco późniejsze dzieło, „Złożenie do grobu", niegdyś w jednej z kaplic w Perugii, doczekało się w XVI i XVII w. wielu kopii wykonanych przez najlepszych artystów tamtych czasów. Właśnie trwa w Perugii poświęcona im wystawa. Znakomitą, XIX-wieczną kopię tego prawdziwego arcydzieła posiadamy również w Polsce, w pałacu Zamoyskich w Kozłówce. Malując ten pełen religijnego napięcia obraz, artysta nie sięgał po wzory współczesne, lecz po kompozycje na rzymskich sarkofagach ukazujących pogrzeb Meleagra. Rafael – jak większość artystów renesansu – odradzał ducha starożytności. Działo się to zwłaszcza w Rzymie, gdzie osiadł – na zaproszenie papieża Juliusza II – w 1508 r.

Rafael i jego rzymskie arcydzieła

W okresie florenckim Rafael stał się zatem w pełni ukształtowanym artystą, jednym z triady największych. Wykorzystał genialne kompozycje Leonarda, pilnie obserwował Michała Anioła, któremu złożył w „Szkole Ateńskiej", na ścianie biblioteki Juliusza II, w tzw. Stanza della Segnatura, hołd jedyny w swoim rodzaju – sportretował go jako medytującego filozofa,



„Krąg Rafaela, święta Rodzina w drodze do Egiptu", olej na desce, 1. poł. XVI w.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 37b1e8a2c0

zapewne jako Demokryta. Michelangelo kontynuował wtedy – w 1511 r. – swoje arcydzieło rozpoczęte trzy lata wcześniej, freski na sklepieniu kaplicy Sykstyńskiej. Wymagały ogromu pracy i ciągłego borykania się z humorami papieża Juliusza. Papież czuł zbliżającą się śmierć, dlatego oczekiwał rychłego ukończenia prac malarskich. W tym niezwykłym dziele, jakim jest „Szkoła Ateńska", geniusz z Urbino złożył wielki hołd nie tylko filozofom antycznym i Michałowi Aniołowi, lecz także innym artystom, którzy go zainspirowali lub pomogli, jak Bramante. Podczas gdy ten wybitny architekt, tak jak Rafael pochodzący z Urbino, ukazany jest w dolnej partii malowidła, po prawej stronie to Leonardo da Vinci, jako Platon, widoczny jest (razem z Arystotelesem) w centrum kompozycji. Wszakże nasz artysta nie zapomniał również o sobie i artyście koledze znanym pod przydomkiem Sodoma. Ich oblicza widnieją po prawej stronie, na samym krańcu fresku. Wspomnieliśmy wcześniej, jak to Rafael uczył jednego z malarzy perspektywy; w omawianym tu malowidle mamy dowód, że sam potrafił ją stosować doskonale. Piękno architektury w tle tego fresku – jest to rodzaj rekonstrukcji wnętrza bazyliki Konstantyna w Rzymie – i głębia przestrzeni, porównywalna tylko z efektem osiągniętym przez Leonarda w „Ostatniej wieczerzy", są zdumiewające i stanowią niejako esencję i symbol włoskiego renesansu. Ten symbol nabiera jeszcze większego wymiaru, gdy uświadomimy sobie, że zestawienie w jednym wnętrzu Szkoły Ateńskiej (Filozofia) z Parnasem (Poezja) i Triumfem Najświętszego Sakramentu (Teologia) było pomysłem genialnym. Kto wspierał Rafaela w tym dziele? Zapewne wszyscy najwytrawniejsi uczeni, poeci i teologowie papieskiego dworu.

Freski w kolejnych stanzach, w Farnesinie, w kościele Santa Maria della Pace i wreszcie w Loggiach Watykańskich, nie wspominając już o dziełach architektonicznych, takich jak kaplica Chigich i Villa Madama oraz opieka nad zabytkami antycznymi Rzymu pokazują niezwykłą kreatywność, wyobraźnię, wszechstronność i najwyższy artyzm geniusza z Urbino. W setkach pałaców w całej Europie przez całe wieki powtarzano motywy z Loggi Watykańskich i z Villa Madama, a przecież Rafael dokonał tu tylko rodzaju syntezy tego, co znalazł w Domus Aurea w trakcie rozmaitych wykopalisk archeologicznych.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Giovanni Santi, „Matka Boska z Dzieciątkiem", fresk, 1483, Dom Rafaela w Urbino

Wszakże ta synteza, jak synteza tego, co zapożyczył z Michała Anioła i Leonarda, jest genialna, tchnie kultem antyku, dążeniem do finezji i najwyższego artyzmu.

Ponadto Rafael jak rzadko który artysta potrafił tworzyć dobrane zespoły wiernych współpracowników, którzy, jak m.in. Giulio Romano i Giovanni Francesco Penni, sami wyrastali na wielkie gwiazdy na niwie sztuk pięknych. Działo się tak pewnie dlatego, że genialny Rafael miał dobry stosunek do świata i ludzi. Vasari tak go charakteryzuje: „Był skromny i uprzejmy, jak to się spotyka u ludzi szlachetnych. Łączą oni piękne zalety z wdzięczną uprzejmością, stosowaną miło i chętnie wobec każdego i w każdej okoliczności. Z Rafaela natura uczyniła ludzkości dar; zniewolona przez sztukę Michała Anioła, dzięki Rafaelowi zabłysnąć mogła i sztuką, i pięknymi obyczajami".

Wieczna sława

O wielkiej sile oddziaływania twórczości Rafaela przez wieki świadczy ogromna liczba powtórzeń i adaptacji jego dzieł znanych powszechnie poprzez ryciny. Jego „sztuka – pisze Jan Białostocki – pozostała ideałem i służyła artystom jako norma w XVI w., jak i później w czasach, gdy w XVII i XVIII stuleciu akademie poszukiwały bezbłędnych modeli i ustanawiały niezawodne wzorce. Jego dzieła wykorzystywano jako modele kompozycji, dostarczały wzorów poszczególnych postaci, gestów, głów, wyrazów twarzy. Stały się trwałym czynnikiem kultury europejskiej przenikającym twórczość malarską". O zachwytach nad niemal każdym detalem w dziełach Rafaela świadczą ryciny Marcantonia Raimondiego, o stosunku zaś romantyków do jego sztuki dają wyobrażenie m.in. obrazy w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie – Wojciecha Kornela Stattlera, Wilhelma Schadowa i Georga F. Kerstinga. Wszystkie te obrazy świadczą o uwielbianiu arcydzieła pośród arcydzieł – „Madonny Sykstyńskiej" (obrazu z okresu rzymskiego) i ukazanych u Jej stóp niebiańskiej urody aniołków.

Gdy w 1849 r. Władysław Łuszczkiewicz otrzymał stypendium na wyjazd do Paryża, taką oto instrukcję dostał od Wojciecha K. Stattlera: „Pkt. a. W malarstwie wydatnie wykazują cel nauki arcydzieła Rafaela. Nad tego mistrza nikt w większej całości Sztuki nie objął. Znajdują się w nim wszystkie części sztuki... Pkt. b. Do celu tych arcydzieł Rafaela wykazanego jedna jest tylko droga, którą tenże sam mistrz chodził. Objawia się w kolejnych pracach jego, które trzema sposobami nazwano: la prima, la seconda e la terza maniera. Najprzód w całej niewinności ducha i zamiłowaniem sztuki powtarzał to, co widział w pracowni swego nauczyciela [...]. Potem w usamowolnieniu, w poczuciu sił własnych, wyzuwając się z smaku nabytego u Nauczyciela, stwarzał raczej, niż malował, wszystko tchnie nowością, genialnością, bóstwem. Na koniec, usidlony chwałą ziemską, współubiegając się o pierwszeństwo, zdobył najwyższy szczebel doskonałości sztuki zewnętrznej, potęgę we władaniu nią".

Genialnością szczególną tchnie ostatni obraz Rafaela – „Przemienienie Pańskie", którego kopie ozdabiają liczne polskie kościoły. Uwielbiali go także wybitni przedstawiciele polskiego romantyzmu. Cała ta epoka z zachwytem wpatrywała się w słynne płótno geniusza z Urbino przedstawiające cudowne przeobrażenie Chrystusa. Dla Słowackiego był zapowiedzią jego własnej transfiguracji mistycznej. Rycina tego arcydzieła pośród arcydzieł zdobiła nicejskie mieszkanie Delfiny Potockiej i gabinet malarski Elizy Krasińskiej w Opinogórze.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



„Profonde Pensée”

O RZEŹBIE WE WŁASNYM ŚWIECIE

TO, CO WYCHODZIŁO SPOD DŁONI CLAUDEL, BYŁO FIGURATYWNĄ RZEŹBĄ, ŻYWĄ DLA SIEBIE SAMEJ, ZAMKNIĘTĄ W SWOIM ŚWIECIE



PAWEŁ ORZEŁ

Próbuję. Naprawdę czasem próbuję zająć się kulturą wysoką i dawną, w dużej mierze staram się też z racji wykształcenia. Jak sięgam resztkami pamięci, Camille Claudel (1864–1943; tak, siostra Paula Claudela, który niełądnie wobec niej się zachował) zawsze mnie intrygowała: mam jakiś album po francusku i widziałem oba filmy: „Camille Claudel” (reż. B. Nuytten, 1988), „Claudel 1915” (reż. B. Dumont, 2013). Album albumem, kupiony w Barcelonie, więc po latach traktuję z dystansem, filmy z kolei wciąż uważam za przejmujące. Pierwszy ma w sobie wszystko to, co w historyzującym kinie francuskim jest straszne i męczące (Gérard Depardieu), jednocześnie wszystko, co w tym kinie piękne i hipnotyzujące (Isabelle Adjani). (Może warto wspomnieć, że gdyby nie odtwórczyni głównej roli, obraz ten mógłby nigdy nie powstać. Pomijam sprawę wywalczenia zgody od rodu Claudelów). W pierwszym filmie historia ta jest albo nawet musi być sztampowa: dziewczyna z dobrego domu, talent, przełamywanie konwenansów, romans z geniuszem, sława i chwała, trudności społeczne, miłosne nieszczęście, tworzenie i niszczenie, konflikty rodzinne, tworzenie i niszczenie, zatracenie w chorobie, niszczenie, niszczenie, coraz bardziej kulejąca psychika, w końcu zapowiedź 30 lat w zakładzie zamkniętym. W drugim... nie wiem. U Dumonta, w którym zawsze odnajduję więcej Boga niż w wierszach Paula C., z pozoru nie ma sztuki. Gest, instynkt, dojmująca potrzeba artystyczna chyba tylko raz wychodzi na powierzchnię bohaterki – bo w środku buzuje w tylko sobie znanych meandrach – i objawia się w ugniataniu gliny znalezionej na spacerze z innymi istotami wykluczonymi z „normalnego” społeczeństwa (głównie choroby psychiczne i inne ułomności).

* * *

Kobieta w sukni, z bosymi stopami, klęczy przed kominkiem. Ręce nad pochyloną głową ma oparte o ten jakby blat, gdzie niektórzy bardziej utytułowani (nie mylić z talentem) trzymają nagrody.

(Dygresja. W dawnych – albo jeszcze dawniejszych czasach – tzw. mistrz mógł mieć cały warsztat, pracownię, grupę wychowanków. Mógł też jedną rzecz „poprawić”, choćby pędzlem w obraz pacnąć, potem było to sygnowane jego nazwiskiem. Co bardziej świadomi nazywali ten proces „szkołami”, dla innych nie miało to większego znaczenia. A w przypadku kobiet? Bez wdawania się w feminizm – chyba łatwo się domyślić).

Rzeźba nazywa się „Profonde Pensée”. W wolnym tłumaczeniu „głęboka myśl”, „zamyślenie”, idąc dalej „zatracenie w myślach”, może nawet „rozważaniach”. Istnieje ona w różnych wariantach (wszystkie niezbyt wielkie): brązowy odlew, marmur lub brąz (element ludzki i podłoga) połączony z onyksem (reszta). Ta ostatnia zresztą jest jedyną wersją, w której nie można mieć wątpliwości, że na pewno chodzi o coś, co ludzi ratuje przed chłodem. Między sobą – pewnie wszystkie z okolic 1898 r. – różnią się szczegółami, wynikającymi z materiału oraz czegoś, co można uznać za bardziej lub mniej świadomy gest artystyczny.

Wchodzić już nie chcę w szalenie szczegółowy opis – z niepewnym uśmieszkiem i miną jeszcze bardziej głupawą zakładam, że pierwszy etap ikonologii (przyjemna metoda badawcza) Erwina Panofsky'ego mam już za sobą. Takie żarty. Po opisie

eprasa.pl 37b1e8a2c0

preikonograficznym (najprostsza analiza formalna, „szkiełko i oko" bez wyciągania poważniejszych wniosków) popadam w dziwne odrętwienie, bo czy prawdziwa analiza ikonograficzna (przy wsparciu rozumu i wiedzy próba odczytania tematu dzieła) jest możliwa? Nie widzę w tej biednej (fizycznie i psychicznie) kobiecie żadnych atrybutów, które na coś by mnie naprowadzały. Mogę, na tzw. siłę, dostrzec w niej Ifigenię, którąś ze świętych katolickich, Annę Kareninę, Carmen... lub inne kobiety pamiętane przez rozpacz, wyzwania, nieszczęścia... Heroizm... Tak dalej. Ale nie, nie w tym przypadku. Właściwie ten brak wyraźnych odniesień do mitologii, Biblii czy kultury jako takiej mógł zostać zastąpiony przez otwarte pokazywanie (siebie i) stanów psychicznych lub duchowych.

W tym momencie jesteśmy dość blisko symbolizmu.

* * *

Być może przed próbą poznania istoty dzieła (o ile to w ogóle możliwe), przed poznaniem jego sensu, czyli poprzedzając coś na kształt trzeciego etapu metody, którą sobie wyżej obrałem – przed analizą ikonologiczną, warto zrobić trzy niepewne kroki do tyłu. Fernand Braudel i inny teoretyk sztuki de cuyo nombre no quiero – w tej chwili – acordarme stworzyli koncepcję „trwania", swoistych ciągów zjawisk w sztuce i nie tylko. (Na boku wspomnę, że była to alternatywa do oglądania artefaktów kultury w oparciu o zachodzące po sobie epoki. Takim „ciągiem", taką „linią" są np. – z braku lepszych pomysłów – portrety trumienne ze znanym początkiem istnienia i znanym końcem. Są tym także techniczne kwestie, jak używanie naturalnych pigmentów, lub artystyczne, jak konkretne style malarskie, i tak dalej, tak dalej). Koncepcja rzeźby (i chodzi mi tu wyłącznie o dzieła figuratywne) „otwartej" dla widza, takiej, która „daje się oglądać innym", nawiązuje relację z otoczeniem, może być jedną z tych linii rozwoju na przestrzeni wieków, choć – przyznaję – nie najklarowniejszą.

Począwszy od świętych posągów schowanych w naosach i rzeźb w metopach, które miały być dla bogów, po portrety unaoczniające postacie władców, a w końcu też (dewocyjne) rzeźby w kościołach o skomplikowanym charakterze „uobecniającym" Boga i wreszcie narracyjne posągi lub zwyczajnie dekoracyjne – wszystkie one mimo różnych celów i różnych odbiorców „otwierają się" przed ciekawskim widzem.

To, co wychodziło spod ręki Rodina i w mojej ocenie w ciekawszy sposób spod dłoni Claudel, było figuratywną rzeźbą, żywą dla siebie samej, zamkniętą w swoim świecie, do którego oglądający nie może wejść tradycyjnymi metodami. Z jednej strony część rzeźb traci sens i znaczenie, gdy drzwi muzeum zostaną zamknięte, inne w niedostępnej świątyni trwają w oparciu o Absolut. Dziewczyna z „Profonde Pensée" za sprawą gestu artystycznego, również przez niepokojącą legendę twórczyni, przez brak wyraźnego zakotwiczenia w tekstach kultury oraz głównie przez samą siebie – odwrócenie wzroku od ludzi, wręcz ukrycie się przed nimi – żyje w innym świecie. I jest to zjawisko, o które trudno w poprzednich epokach.



Kadr z filmu „Camille Claudel" z 1988 r., w roli głównej Isabelle Adjani

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

* * *

Brak ikonograficznej jednoznaczności oraz nowatorstwo tego przedstawienia powinno nas chyba prowadzić w ciekawą i niebezpieczną stronę dowolności (lub indywidualności) interpretacyjnej. Osobiście odnajduję tu coś, co każe mi podważyć prawie oczywisty fakt istnienia kominka. Czy dokładnie w tej pozycji człowiek ogrzewa się przy ogniu? Czy chodzi tylko o brzuch? I dlaczego? Czy w tej postawie nie ma jednak czegoś bardziej błagalnego lub modlitewnego? Czy ta dziwna nieruchomość i skupienie nie podpowiadają jakichś fizycznych i psychicznych zmagań? A może po prostu ten „kominek" jest dla tej postaci oknem lub wrotami do innej rzeczywistości? Czy może to być rzeczywistość abstrakcji intelektualnych, czy raczej dojmującego bólu emocjonalnego? Smutku? Tęsknoty?

W jednym rzadko spotykanym ujęciu dostrzegłem twarz klęczącej dziewczyny. Moją pierwszą myślą było, że jest to autoportret, co na swój sposób domknęło dla mnie na jakiś czas opowieść.

Wskazane przeze mnie elementy (albo lepiej: nieuchwytności) oraz wiele, wiele innych sprawiają, że dotkliwie odczuwam rodzaj bezradności. Jak widać, powodują one duszący natłok myśli-tropów, w którym trudno się rozeznać, a które są potem wypierane przez „ciszę" – ciszę w rozumieniu, jak wskazuje chociażby prof. Wiesław Juszczak, kategorii poznawczej, gdy obcuje się z dziełem wybitnym. Następnie znów dopadają mnie rozbiegane myśli i obrazy, panicznie przenikające się koncepcje, a po nich znów „cisza". Instynktownie więc bronię się przed tym, przypisując rzeźbie cechy oniryzmu – tu czuję się bezpieczniej.

I teraz mogę bezkarnie sięgnąć po słowa pieśni azteckiej (czemu nie?) i zanucić sam dla siebie (w przekładzie Edwarda Stachury):

Jedynie spać przyszliśmy,
jedynie śnić przyszliśmy,
nie jest prawdą, nieprawdą jest,
że przyszliśmy na ziemię, żeby żyć.

eprasa.pl 37b1e8a2c0



SKAMANDRYCI WYKLĘCI I „SŁODKI KOSZMAR EMIGRACJI”

WYLANO JUŻ WIELE ATRAMENTU NA OPISANIE ŻYCIORYSÓW SKAMANDRYTÓW, ALE NIESTETY CZASEM JESZCZE DZIŚ ZWYCIĘŻAJĄ W PODRĘCZNIKACH WYPACZONE WYOBRAŻENIA O ICH DOROBKU







Od lewej: Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński



WOJCIECH OSIŃSKI

W 1918 r. polska literatura wiernie wyrażała euforię, jaką wywołała proklamacja niepodległości państwa. U zarania II RP żyło jeszcze kilku wybitnych przedstawicieli Młodej Polski. Z piór Kasprowicza, Leśmiana czy Irzykowskiego spływały nadal doskonałe teksty komentujące bieżące wydarzenia. Oblicze polskiej poezji kształtowały już jednak nowe głosy.

Czołowymi lirykami stali się upojeni życiem młodzieńcy, którzy czytywali swoje wiersze w stołecznej kawiarni Pod Picadorem. Na początku 1920 r. zaczęli wydawać własne pismo „Skamander”. Zapragnęli uwolnić się z „narodowych oków”, na które skazane było według nich pokolenie autora „Wesela”. Siłę twórczą czerpali z nadziei, jaką dawała im odzyskana wraz z wolnością beztroska.

Tradycyjne inklinacje w utworach Juliana Tuwima, Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego, Jana Lechonia i Kazimierza Wierzyńskiego zapewniły im zrazu ogromne uznanie u polskich czytelników. Przekonywała skrząca się ironią i erudycyjnością mieszanina poetyckich kostiumów wziętych z różnych epok. Bywalcy Ziemiańskiej chcieli nadać swoim tekstom wymiar kosmopolityczny, choć tylko z trudem mogli się oderwać od romantycznego dziedzictwa.

Skamandryci uchodzili za zwartą grupę, choć składała się ona z osób o silnych indywidualnościach, podążających odrębnymi ścieżkami. I chociaż czasem jeszcze dziś można odnieść wrażenie, że

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X); NAC (5X)

eprasa.pl 37b1e8a2c0

historycy i filolodzy nie zbadali biografii „świętej piątki" w sposób, który można uznać za stuprocentowo rzetelny, to w zasadzie już 70 lat temu zarysowały się między poetami wyraźne spory i podziały. Przy wszystkich pomnikach, które wystawili językowi polskiemu wszyscy redaktorzy „Skamandra", to ich własne życiorysy wystawiły im zupełnie różne świadectwa.

Polityczne rozchwianie

W środowisku literackim PRL nie brakowało osób, które gwoli szybkiej kariery gotowe były do wykonania ideologicznych wolt.

Tuwimowi po najeździe Niemców w 1939 r. udało się uciec za granicę. Mieszkał m.in. w Rio de Janeiro i Nowym Jorku. To w USA powstały bezcenne „Kwiaty polskie". Gdyby tam pozostał,





zapisałby się pewnie złotymi zgłoskami w literaturze emigracyjnej. Wrócił jednak do kraju, gdzie w latach 40. trudno było kontynuować karierę pisarską inaczej, niż okazując bezgraniczną lojalność względem stalinowskich marionetek. Wysokie miejsce Tuwima w literaturze polskiej nie może budzić wątpliwości, choć badacze jego dorobku są zgodni co do tego, że po 1946 r. już niczego wartościowego nie napisał.

Miast tego został piewcą nowego ustroju, tudzież Bolesława Bieruta. Lechoń, który pozostał w Stanach, nie krył swojego zdumienia: „Tuwim w liście do »kochanego towarzysza Bieruta« obiecuje mu na jego sześćdziesięciolecie oddać do druku maszynopis przekładu Niekrasowa. Trudno o bardziej skandaliczny i demoniczny dowód rosyjskiej niewoli, na którą przecież nigdy Tuwim nie cierpiał". W innym liście – tym razem do komunistycznego zbrodniarza Józefa Różańskiego – autor „Wiosny" ubolewał nad tym, że w przedwojennej Polsce nie można było publikować płomiennych peanów na cześć Feliksa Dzierżyńskiego. Po śmierci Stalina był jednym z pierwszych polskich autorów, którzy opłakiwali go w pełnych emfazy nekrologach.

I pytanie, którego w niezliczonych tekstach o Tuwimie prawie nikt nie zadaje: skąd jego nagła awersja do przedwojennej Polski, której przed 1939 r. ani mu się śniło opuszczać? Owszem, poeta bywał niekiedy obiektem antysemickich egzaltacji, ale celem obelżywych i plugawych ataków bywali także twórcy, którym przypisywano bliskość do prawicy. Smutną puentą nagonki na Adolfa Nowaczyńskiego była czynna napaść, z której znakomity pisarz ledwo uszedł z życiem. Mimo odmiennych zapatrywań łączyła obu autorów „szorstka przyjaźń", a także miłość do ojczyzny, którą znajdywali w języku. W każdym razie daleko było Tuwimowi do roli wroga przedwrześniowej Polski. Momenty politycznego rozchwiania zdarzały się u niego wszelako jeszcze przed 1939 r. Na zarzut naiwności naraził się Tuwim przede wszystkim swoim pacyfistycznym wierszem „Do prostego człowieka" z 1929 r., którego treść całkowicie odbiegała od poglądów wyznawanych przez człowieka, który w Ziemiańskiej urządzał popijawy z Wieniawą-Długoszowskim oraz innymi oficerami.

Słabość Tuwima do sowieckiego ustroju ujawniła się na dobrą sprawę, gdy wyjechał z ogarniętej wojenną pożogą Polski. Już w USA autor „Balu w operze" angażował się w środowiskach szykujących nad Wisłą grunt do przejęcia władzy przez PKWN. W tym samym czasie przebywali z nim w Nowym Jorku Lechoń i Wierzyński, których wprowadził swoją agitacją w sporą konsternację, zagrażającą szybkim wyczerpaniem kredytu zaufania, jakim go darzyli. W swoich tekstach Tuwim ze wzruszeniem wspominał polskich piewców wierchuszki sowieckiej, jak Broniewską i Wasilewską. W jednym z listów do siostry odnotował: „Faszyzm dzieli, egoizuje, podczas gdy ustrój sowiecki łączy, zespala, altruizuje. Nie przeczę: szedł on ku swemu celowi krwawymi drogami. Ale przepraszam: kto w historii szedł innymi?". Niekiedy jego elaboraty były wręcz podlane bełkotem: „Żaden naród nie jest tak dogłębnie chrześcijański jak rosyjski. Kto wie, czy Rosjanie właśnie teraz nie dokopali się do swego boga".

Pojawiały się w powojennym życiu Tuwima jednak też chwile szczerej zadumy, np. kiedy w liście do Bieruta wstawił się za jednym z żołnierzy wyklętych albo gdy dotarły doń złowróżbne wieści o wydarzeniach w Katyniu. Takie momenty trwały jednak zwykle krótko. A w przypadku mordu katyńskiego Tuwim później ochoczo akceptował lansowaną przez ZSRS tezę, jakoby zbrodni dopuścili się Niemcy.

Wkupiony w łaski

Krótkie epizody odwagi można też odkryć w biografii Jarosława Iwaszkiewicza. Podczas wojny był on jedynym skamandrytą, który odważył się pozostać w okupowanej Polsce, jego dom w Stawisku pod Warszawą był zaś miejscem spotkań intelektualistów zaangażowanych w ruch oporu, a także schroniskiem dla prześladowanych Żydów. Aż dziwne, że akurat w tych burzliwych latach Iwaszkiewicz napisał kilka swoich najlepszych opowiadań. Po wojnie autor „Sławy i chwały" wysunął się jednak rychło na czoło życia literackiego PRL, pretendując do pierwszego literackiego pupila władz komunistycznych.

Ten skądinąd wybitny nowelista już przed wojną z zamiłowaniem odgrywał często rolę „dworskiego pisarza", kręcącego się blisko elit bez względu na ich polityczne barwy. „Dlaczego miało »

eprasa.pl 37b1e8a2c0

» by się to zmienić po 1945 r.?" – pyta z rozbrajającą szczerością Aleksander Wat. Toteż po wojnie Iwaszkiewicz jął aktywnie uczestniczyć w życiu politycznym, był posłem na Sejm PRL, stałym gościem na przyjęciach przedstawicieli nomenklatury oraz laureatem Nagrody Leninowskiej. I chociaż zdarzało mu się tworzyć wiersze o zabarwieniu ideologicznym, to potrafił też zdyskontować swój autorytet w sprawach słusznych. Jako prezes Związku Literatów Polskich (ZLP) nie pozwolił przykładowo na wydalenie ze związku Pawła Jasienicy, Stefana Kisielewskiego i innych „literackich buntowników".

Kolejny pupil władzy

W fotelu szefa ZLP zasiadł w tych mrocznych latach również inny współzałożyciel Skamandra – Antoni Słonimski. W okresie międzywojennym zaistniał on przede wszystkim jako wyborny felietonista. Autor „Drogi na wschód" pochodził z patriotycznej rodziny. Przyjacielem przodków Słonimskich był Bolesław Prus i to właśnie na nim wzorował się przyszły poeta, łącząc dziennikarstwo z literaturą, tudzież zapożyczając u niego tytuł dla swojej kolumny w „Wiadomościach Literackich". Słonimski chłostał w swoich felietonach wszelakiej maści obskurantów, przedstawiając bieżącą rzeczywistość jako punkt wyjścia dla swoich dowcipów.

Podczas wojny udało mu się przedostać przez Francję do Anglii, gdzie mieszkał do 1951 r. Mimo przejawianych już wówczas sympatii dla komunistów również jemu zdarzało się zdobywać na chlubne czyny. Słonimski był wiceprezesem polskiej sekcji Pen-Clubu i z jego ramienia występował do władz ZSRS o uwolnienie z łagrów polskich pisarzy. Po powrocie do stalinowskiej Polski został najpierw odsunięty na boczny tor, ale już w 1956 r. awansował na pupila reżimu. Pisał wtedy niewiele, a kolejne zbiorowe wydania poezji poszerzał jedynie o utwory hołubiące władzę ludową. Właściwie zaczął z tym już przed odwilżą. W 1953 r. ukazał się utwór „Odprawa", w którym skamandryta piętnuje podjętą przez Czesława Miłosza decyzję o porzuceniu służby dla PRL i emigracji. Natomiast dwa lata później Słonimski przykładał obie ręce do apelu mającego wyrwać polskiej emigracji jej „intelektualne zęby". Ta agitacja była więc wymierzona m.in. w dwóch dawnych przyjaciół ze Skamandra, Lechonia i Wierzyńskiego, którzy pozostawali odporni na pokusy „czerwonych". Sens akcji reemigracyjnej, wzorowanej zresztą na sowieckim modelu z lat 20., polegał na zwerbowaniu niepokornych liderów emigracji, którzy po powrocie mieli posłużyć jako żywy dowód na to, jakoby nowy ustrój nad Wisłą nie był totalitarny. Kiedy ta akcja nie do końca się powiodła, Słonimski oświadczył: „Niech te tchórzliwe Wernyhory się w tej emigracyjnej smole usmażą".

Nie wytrzymał

„Podobno Słonimski wzywał przez radio Wittlina, mnie i Wierzyńskiego do powrotu. Ale tutaj, w USA, nikt nie zmusza nas do tego, abyśmy pisali wiersze o Eisenhowerze, co zresztą nie jest dobrym porównaniem, bo Eisenhower to nie Bierut. To wezwanie, jeśli się pomyśli, co się za nim kryje, budzi wyjątkowy wstręt. Celem jego jest bowiem zniszczenie emigracji jako idei, ale może się też skończyć zsyłką zaproszonych przez Słonimskiego frajerów" – pisał wtenczas Lechoń. Autor „Karmazynowego poematu" nigdy już nie wrócił do swojej ukochanej Warszawy, choć oczywiście nie mógł o niej zapomnieć. „Leszek przesiadywał całymi dniami w kawiarniach i spacerował spokojnie po ulicach, nie bacząc na tłumy i przejeżdżające samochody. Traktował Nowy Jork jak Warszawę, z tą tylko różnicą, że w Polsce każdy mu się kłaniał, on sam z kolei otrzymywał zaproszenia od Piłsudskiego. Łatwo sobie wyobrazić, co dzieje się w głowie sławnego człowieka, który na emigracji czuje się nikim" – wspominała po latach znana aktorka Nina Polan. Niemniej dla nowojorskiej Polonii Lechoń był istnym skarbem, depozytariuszem wartości przedwojennej Polski. „W tym okresie przebywało w Nowym Jorku wielu wspaniałych Polaków, ale Lechoń należał do ścisłej czołówki emigracyjnych wieszczy" – dodawała Polan. Wystąpienia w „Głosie Ameryki" mogły jednak w tylko nieznacznym stopniu złagodzić głód poety pozbawionego szerszej publiczności.

Lechoń nie był w stanie zaakceptować nowego ustroju nad Wisłą oraz hipokryzji swoich dawnych przyjaciół. Emigracja wprawdzie poluźniła nieco jego twórczy gorset, pozwoliwszy mu powrócić do stylu zaangażowanego, ale koniec końców nie wytrzymał. Najmłodszego skamandrytę zżerał sceptycyzm, jakże typowy dla poetów z przedwczesną sławą. W końcu 8 czerwca 1956 r. Lechoń zdecydował się na najgorszy z możliwych wariantów samowykluczenia, wyskakując z okna na 12. piętrze nowojorskiego drapacza chmur.

Poeta niezłomny

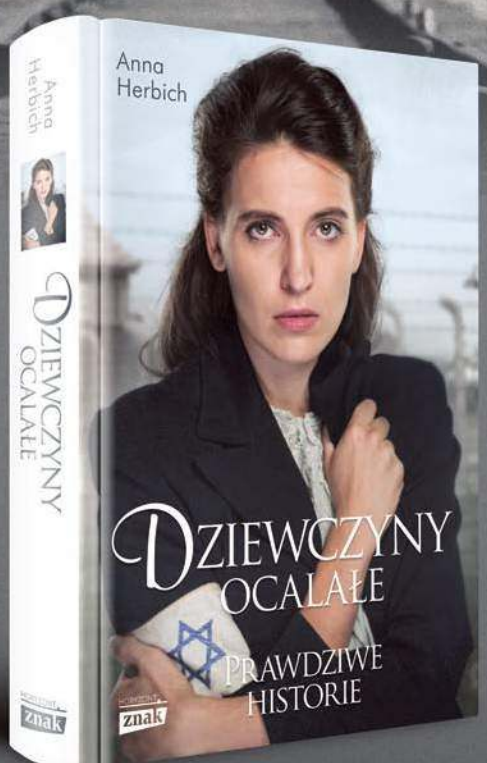
Kazimierz Wierzyński nad grobem przyjaciela wygłosił elegijną przemowę, która musiała wywrzeć na gościach ceremonii pogrzebowej ogromne wrażenie. Zacytujmy jej fragment: „Dziś, kiedy odchodzi od nas ten wielki poeta, bogaty i intuicyjny umysł oraz nieskazitelny Polak, wydaje się, że odchodzi z nim także część Polski, którą wzięliśmy ze sobą i z którą chcieliśmy wrócić". Wierzyński, ta druga część „polskiego sumienia", najlepiej egzemplifikuje pogodę ducha skamandrytów. I najdłużej ją w sobie zachował, co znacznie pomogło mu uporać się ze „słodkim koszmarem emigracji" (Gombrowicz). W odróżnieniu od Lechonia przeżył Wierzyński w podeszłym wieku istny renesans twórczości, a jego schyłkowa liryka należy do najlepszych. I mimo że początkowo też należał do grona emigrantów, którzy na obiad jedli „zupę pomidorową z keczupu i wody", a na deser pili „kawę za 10 centów", to ostatecznie znalazł on nad rzeką Hudson dogodne dla siebie warunki. Wydana w 1949 r. pisana prozą książka „Życie Chopina" była w Stanach Zjednoczonych bestsellerem. Należał też do nielicznych liryków w całej Europie, którzy pisali doskonałe wiersze o tematyce sportowej. Jego utwory wyrażały jednocześnie wzrastające zainteresowanie sprawami publicznymi, a w swojej retoryce stanowiły powrót do dziedzictwa romantycznego. Natomiast w latach 60. Wierzyński zakosztował fruktów spokoju, jaki niesie ze sobą emerytura, czerpiąc kreatywną siłę z intymnego kontaktu z przyrodą na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu. Do końca życia pozostawał obdarzony magnetyczną charyzmą uzdolnionego poety, ale szczególnie też niezłomną wiarą w prawdziwie niepodległą Polskę.

Niestety czasem jeszcze dziś dominują w podręcznikach dla studentów polonistyki wyobrażenia o skamandrytach, które zostały wytyczone w PRL. Wskutek tego przeceniani są Tuwim, Słonimski i Iwaszkiewicz, niedoceniani zaś Lechoń i Wierzyński. Niesłusznie.

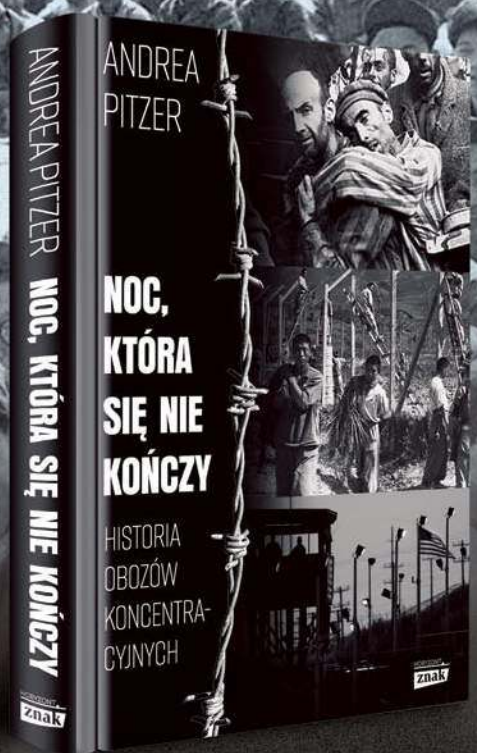
REKLAMA/117/0119/F

eprasa.pl 37b1e8a2c0

BYŁY PONIEWIERANE
I GŁODZONE. ŻYŁY
W NIEUSTANNYM STRACHU.
JEDNAK PRZETRWAŁY



HISTORIA OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
NIE KOŃCZY SIĘ WYZWOLENIEM
AUSCHWITZ



eprasa.pl 37b1e8a2c0



RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Syntetyczne ujęcie relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej

Jan Żaryn, „Polska wobec Zagłady", Warszawa 2019, Oficyna Wydawnicza Volumen

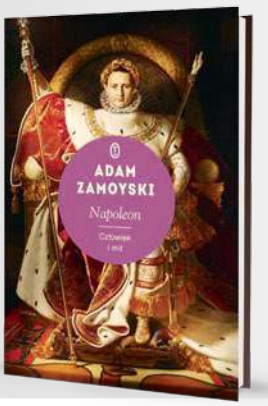
Tematyka stosunków polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej wzbudza w dalszym ciągu ogromne zainteresowanie społeczne, znacząco wykraczające poza krąg badaczy dziejów Polski w XX w. Przy opisywaniu tej problematyki nie brakuje wielkich emocji, daleko idących oskarżeń czy też po prostu zwyczajnych manipulacji i fałszowania źródeł (jak w publikacji „Dalej jest noc" pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego). Z tego też względu z życzliwością przyjąłem pojawienie się książki Jana Żaryna „Polska wobec Zagłady", która w syntetyczny sposób przybliża nie tylko tytułowy problem, ale również daje szeroki kontekst opisywanych wydarzeń. Autor opisał bowiem także stosunki polsko-żydowskie w okresie II RP oraz wpisał tematykę zagłady polskich Żydów w ogólną sytuację naszej ojczyzny w czasie II wojny światowej. Jego pracę uzupełniają trafnie dobrana ikonografia oraz materiały źródłowe, świadectwa i wybrane sylwetki osób zaangażowanych w pomoc dla Żydów na ziemiach polskich, przygotowane przez Adama Borowskiego.

Żaryn przekonująco pokazał, że zarówno polski rząd na uchodźstwie, jak i struktury Polskiego Państwa Podziemnego nie tylko nie patrzyły biernie na śmierć współobywateli żydowskiego pochodzenia, ale niosły im ofiarną i daleko idącą pomoc. Działo się tak mimo niezwykle drastycznych represji i zagrożenia życia nie tylko osób wspomagających, lecz także ich rodzin. W strukturach polskiego podziemia powstała ponadto Żegota – wyjątkowa w okupacyjnej Europie organizacja zajmująca się ratowaniem i wspieraniem Żydów. Dzięki jej wysiłkowi i tysięcy, a może nawet setek tysięcy, Polaków wiele osób żydowskiego pochodzenia przetrwało wojnę. I to mimo że Polacy generalnie krytycznie oceniali tę mniejszość etniczną. Trafnie ujął to delegat rządu na kraj Jan S. Jankowski, który podkreślił w 1944 r.: „Stwierdzić trzeba, że kraj Żydów nie lubi, mimo że pomaga, współczuje i uważa zbrodnię w stosunku do Żydów za jedną z największych w dziejach ludzkości". Jan Żaryn szacuje, że w różnorodne formy pomocy dla żydowskich współobywateli zaangażowanych było od pół miliona do miliona Polaków, dzięki czemu wojnę przetrwało 100–120 tys. Żydów. Najczęściej takie działania wynikały z zasad chrześcijańskich, jakimi się Polacy kierowali w życiu, wielu z nich zresztą otwarcie o tym mówiło. Autor publikacji ma rację, jasno stwierdzając w konkluzji swojej książki: „Historie Polaków ratujących Żydów to część dziejów Polski walczącej, a także historii bojów o zachowanie na ziemi prawa narodów do samostanowienia i zasad chrześcijańskich wbrew nieludzkim przepisom niemieckiego prawa okupacyjnego, rasistowskiego oraz bolszewickiego, wbrew egoizmom narodowym i szukaniu – za wszelką cenę – jedynie własnego bezpieczeństwa". Kolejnym istotnym krokiem powinno być przetłumaczenie publikacji prof. Żaryna na język angielski i wydanie jej na rynku amerykańskim – tam, gdzie antypolskie kłamstwa dotyczące postaw Polaków w czasie II wojny światowej funkcjonują w najszerszym wymiarze.



eprasa.pl 37b1e8a2c0

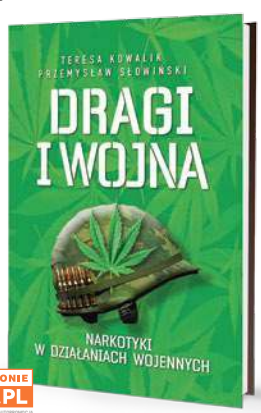
Adam Zamoyski, „Napoleon. Człowiek i mit", Kraków 2019, Wydawnictwo Literackie



Życie, działalność i dorobek Napoleona Bonapartego są zarówno w polskiej, jak i światowej historiografii oceniane skrajnie różnorodnie. Nie brakuje publikacji o charakterze niemal hagiograficznym, w których jest on ukazywany jako bohater bez skazy, który był nie tylko genialnym dowódcą, lecz zasłużył się także w wielu innych dziedzinach życia (od prawodawstwa aż po sztukę). Autorem niezwykle sugestywnych prac mieszczących się w tym nurcie jest bez wątpienia Waldemar Łysiak. Urzekający język tego mistrza słowa polskiego powoduje, że czytelnik bezwiednie przejmuje jego poglądy i oceny historyczne (nieraz dość wątpliwe bądź oparte na wątłych przesłankach). Z tego też względu bardzo dobrze się stało, że na polskim rynku wydawniczym ukazała się biografia Napoleona przedstawiająca go w bardziej wyważony i obiektywny sposób. Zamoyski starał się pokazać (i w znacznej mierze mu się to udało) życie i działalność swojego bohatera jako walkę sprzeczności między jego korsykańską tożsamością a służbą na rzecz Francji. Autor wiele miejsca poświęcił także na przedstawienie tego, jak życie prywatne Napoleona wpływało na jego realne polityczne decyzje. Generalnie Zamoyski dobrze wywiązał się z zadania przedstawienia pełnego obrazu życia Napoleona, choć nie można powiedzieć, by ustrzegł się całkowicie błędów czy nierówności w swojej potężnej (881 stron) publikacji. Niedosyt musi budzić potraktowanie przez autora kampanii rosyjskiej w sposób niezwykle skrótowy, szczególnie jeśli porówna się ją z dość drobiazgowym opisem walk we Włoszech w końcówce XVIII w. Równie słabo wygląda przedstawienie działań Napoleona w ostatnich latach jego panowania. Największym walorem książki Zamoyskiego jest interesujące ujęcie i szerokie opisanie życia prywatnego bohatera książki oraz jego drogi do władzy.

Teresa Kowalik, Przemysław Słowiński, „Dragi i wojna. Narkotyki w działaniach wojennych", Warszawa 2019, Wydawnictwo Fronda

Przed kilkoma laty niezwykłą popularność na polskim rynku wydawniczym zdobyły pozycje książkowe poświęcone roli alkoholu w dziejach Polski i Europy. Szczególnie cenna w tym zakresie była praca Jerzego Besali zatytułowana „Alkoholowe dzieje Polski". Autorzy książki „Dragi i wojna" przekonują, że równie ważną rolę w prowadzeniu działań wojennych na przestrzeni dziejów miały innego rodzaju używki, czyli narkotyki. Kowalik i Słowiński przyjęli interesujący sposób prezentacji podjętej problematyki, czyli podział tematyczny. W pierwszej księdze opisano rolę i sposób użycia nielegalnych środków, a jej kolejne fragmenty podzielone zostały zgodnie z przeznaczeniem narkotyków na: opiaty, psychostymulanty, kokainę i crack, kanabinole, halucynogeny. Druga, o wiele mniejsza księga poświęcona została środkom legalnym, takim jak nikotyna, alkohol czy środki uspokajające. Wniosek, jaki płynie z lektury tej ciekawej i bardzo sugestywnej książki, który nasuwa się dość jednoznacznie, to to, że narkotyki miały niejednokrotnie bardzo poważny wpływ na przebieg kampanii wojennych. Najciekawiej moim zdaniem opisana w tym zakresie została rola haszyszu w czasie wojny Związku Sowieckiego z Afganistanem.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Marcin Sroka, „Komitet Wojewódzki PZPR w Opolu w latach 1950–1990. Struktury, ludzie, mechanizmy władzy", Wrocław–Warszawa 2019, IPN

Mimo upływu niemal 30 lat od rozwiązania PZPR ciągle nie dysponujemy żadną poważną monografią ujmująca dzieje tej partii w syntetyczny sposób. Nie oznacza to jednak, że nie następuje wzrost wiedzy na temat różnych aspektów jej funkcjonowania na poziomie zarówno centralnym, jak i wojewódzkim. Największe zasługi w tym zakresie ma bez wątpienia IPN, który w ostatnich kilku latach regularnie wydaje prace poświęcone tej problematyce. Najnowszą książką o PZPR jest publikacja autorstwa Marcina Sroki o funkcjonowaniu KW PZPR w Opolu w latach 1950–1990. Autor w syntetyczny sposób opisał struktury partyjne i ich działalność, mechanizmy władzy i wreszcie nakreślił sylwetki ludzi zaangażowanych w jej działalność. Do najciekawszych fragmentów książki należą podrozdziały dotyczące finansów KW PZPR w Opolu, ujęcia komitetu wojewódzkiego jako lokalnej elity władzy czy część poświęcona sylwetkom I sekretarzy KW PZPR w Opolu. Wydaje się, że przydałoby się pogłębienie takich problemów badawczych jak: działalność mediów podległych KW, relacje z wasalnymi partiami politycznymi na poziomie wojewódzkim czy też polityka KW wobec Kościoła katolickiego. Należałoby, w moim przekonaniu, wyodrębnić również osobną część dotyczącą polityki władz partyjnych wobec Solidarności. Generalnie jednak uważam książkę Marcina Sroki za cenną publikację ujmującą w całościowy sposób działalność KW PZPR w Opolu i to w sposób, który nie przytłacza czytelników nadmiarem niepotrzebnych, szczegółowych informacji.

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

REKLAMA/63/0120/F

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Rafał Łatka rozmawia z...

...z DR. PAWŁEM LIBERĄ o książce Yurija Slezkine'a „Dom Władzy"



Niedawno ukazała się nakładem PIW ważna publikacja Yurija Slezkine'a „Dom Władzy". To nietypowe spojrzenie na to, czym był komunizm. Czy mógłby pan krótko scharakteryzować, na czym polega nietypowość ujęcia tematu przez autora oraz co wnosi do naszej refleksji na temat totalitaryzmu?

Paweł Libera: Yuri Slezkine to profesor amerykańskiego uniwersytetu, z pochodzenia Rosjanin, który wychował się w Związku Sowieckim, ale od ok. 30 lat pracuje w Stanach Zjednoczonych. „Dom Władzy. Saga o rosyjskiej rewolucji" to bardzo obszerna książka, nad którą pracował 20 lat i którą w Polsce już zdążono określić jako aneks lub uzupełnienie słynnego „Archipelagu GUŁag" Sołżenicyna. Niezwykłość tej książki polega na tym, że autor odtwarza dzieje rewolucji bolszewickiej i kluczowych, bo pierwszych, lat istnienia państwa sowieckiego, poprzez dzieje grupy osób, która miała znaczący wpływ na jego powstanie i funkcjonowanie. W moim przekonaniu książka ta nie tylko pomaga zrozumieć system, jaki panował w Rosji sowieckiej, ale także sposób myślenia wielu polskich komunistów, którzy raj na ziemi „starali się" stworzyć w Polsce po 1944 r.

Tytułowy „Dom Władzy" to kompleks 505 luksusowych mieszkań, zbudowanych naprzeciwko Kremla dla wyższych rangą urzędników, członków nomenklatury i władz sowieckich na początku lat 30. Mniej więcej do 1945 r. krzyżowały się w nim drogi wielu wpływowych osób reżimu. Były to mieszkania trzy-, cztero- i pięciopokojowe, a cały kompleks był wyposażony we wszelkie udogodnienia z kinem i ze strzelnicą włącznie. Żyjące w luksusie dzieci mieszkańców tego domu, przechodząc codziennie do szkoły, widziały liczne grupy ludzi „wyglądających jak kościotrupy" pod Kamiennym Mostem na rzece Moskwie.

Autor drobiazgowo opisuje pokolenie młodych bolszewików, ich ideały, zamiłowanie do lektury, niechęć do alkoholu i pracowitość, ale jednocześnie podkreśla ich gorliwość i zapalczywość porównywalną jedynie z członkami sekty milenarystycznej. Podobnie dokładnie przedstawia późniejsze etapy, łącznie z przebiegiem Wielkiego Terroru, który również dotknął wielu bohaterów książki. Co ciekawe, stosunkowo łatwo było im uwierzyć w winę sąsiadów i bliskich, ale ze zdumieniem przyjmowali własne aresztowanie.

DZIEŁO SLEZKINE'A TO BARDZO CIEKAWY EKSPERYMENT Z PUNKTU WIDZENIA PISZĄCYCH O LUDZIACH WŁADZY, NAZYWANYCH RÓWNIEŻ CZASEM ELITĄ

Dzieło Slezkine'a to bardzo ciekawy eksperyment z punktu widzenia piszących o ludziach władzy, nazywanych również czasem elitą, opracowany za pomocą bardzo zróżnicowanych źródeł, w tym ważnych relacji.

Bolszewizm to religia...

Dla polskiego czytelnika stwierdzenie, że komunizm pretendował do roli religii, nie jest niczym nowym. Pisał o tym chociażby o. Józef Maria Bocheński, ale Slezkine – który również jest zwolennikiem takiej interpretacji – bardzo dokładnie udowadnia swą tezę i kwalifikuje komunizm jako sektę milenarystyczną. Wprowadza obszerne passusy na temat stosunku bolszewików do rodziny, którą uważano za burżuazyjny przeżytek i stawiano na indywidualizm. Bardzo szybko okazało się jednak, że – jak stwierdził Bucharin – młodzież wpadła w dziurę pomiędzy dawnymi normami, które zanikły, a nowymi, które jeszcze się nie wytworzyły. Autor opisuje życie uczuciowe swoich bohaterów, zmiany żon i partnerek, np. Feliks Kon miał romansować w wieku 73 lat.

Czy to klucz do zrozumienia powojennych komunistów w Polsce?

Książka nie jest pozbawiona wątków polskich, gdyż wśród mieszkańców Domu Władzy było również kilku polskich bolszewików. Do najbardziej znanych bez wątpienia należą Feliks Kon, jeden z twórców Tymczasowego Rewolucyjnego Komitetu Polski i zwolennik bolszewizacji Polski w 1920 r., Stanisław Redens, zięć Stalina i czekista określony przez Slezkine'a jako jeden z najbardziej krwawych katów, oraz Karol Radek. Natomiast mniej znane są postaci Romualda Muklewicza, wysoko postawionego bolszewika, dowódcy Floty Wojennej ZSRS i członka Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRS, czy Arona Solca, wieloletniego pracownika Sądu Najwyższego ZSRS, Komisji Kontroli Partyjnej i sowieckiej prokuratury, zwanego „sumieniem partii".

FOT. EAST NEWS/MICHAŁ WOŹNIAK

GÓRNA PÓŁKA

„Wolne miasto"



ANTONI DUDEK

Tą nazwą, zwykle kojarzoną z międzywojennym Gdańskiem, prof. Jerzy Kochanowski posłużył się w tytule swej najnowszej książki w odniesieniu do... Zakopanego.

Jest w tym oczywiście element prowokacji, ale nie chodzi w niej bynajmniej o wolność, jaką niektórzy wciąż jeszcze odczuwają, wędrując po zatłoczonych tatrzańskich szlakach. Tematem książki warszawskiego historyka jest bowiem osobliwa sytuacja, jaka powstała w stolicy Tatr po przełomie październikowym 1956 r. i przetrwała właściwie przez całe gomułkowskie 14-lecie.

„Urbanistyka: Pojęcie ograne, lecz niespotykane u nas w Zakopanem. Proponujemy zmianę na: Urba-mistyka, bo i tak chałupy każdy, gdzie chce, wtyka" – pisano w „Szopce zakopiańskiej" w grudniu 1968 r. Prawda była bardziej złożona. Chałupy, domki, domy, wreszcie okazałe wille, stawiał w Zakopanem każdy, gdzie to tylko było fizycznie możliwe, ale czynił to, dysponując wsparciem jakiegoś urzędnika niższego czy częściej wyższego szczebla. Powód był prosty: tłumy, jakie zaczęły się pojawiać pod Giewontem, sprawiły, że każde miejsce noclegowe zamieniało się w żyłę złota. Średni roczny dochód właściciela pensjonatu z 30 łóżkami wynosił w latach 60. między 200 a 500 tys. zł, a koszty budowy oscylowały wokół miliona. Te liczby pozwalają zrozumieć, dlaczego rozmaitym inwestorom, często pochodzącym z odległych rejonów Polski, opłacało się kupować za krocie nawet najnędzniejsze działki, opłacać sąsiadów (by nie protestowali) i urzędników (by nie zakazywali), a następnie wznosić architektoniczne potworki, z których niektóre starszą do dziś.

Książka prof. Kochanowskiego to jednak nie tylko historia paraliżu lokalnych struktur PZPR i SB, nieumiejących oprzeć się profitom płynącym nie tylko z budowlanej anarchii, lecz i przemytu (obroty zakopiańskiego czarnego rynku szacowano na 16 mln dol. rocznie). To także dzieje wielu fascynujących postaci, dalekich od szemranych interesów, takich jak gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz czy Wojciech Niedziałek, lider grupy kontestującej młodzieży z kawiarni Kmicic. Oni również mieszkali w Zakopanem, choć w przeciwieństwie do większości obywateli robiących interesy na turystyce i przemycie pozostawali pod czujnym okiem funkcjonariuszy SB. ■



Jerzy Kochanowski, „»Wolne miasto« Zakopane 1956–1970", Kraków 2019

JASNA SCENA

Zimna krew



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Gdański „Kordian" jest propozycją dla wytrwałych. To bardziej sceniczny esej wokół polskiego romantyzmu, nie tylko tego spod znaku Słowackiego.

Juliusz Słowacki w ostatniej dekadzie nie ma szczęścia. Jeśli pominąć znakomitą, a przeze mnie postrzeganą jako wzorową, inscenizację „Kordiana" Jana Englerta z Teatru Narodowego (2015), udane przedstawienia można by policzyć na palcach jednej ręki. Zaskakujące? Niekoniecznie, gdy realnie zastanowimy się nad tym, jaki sens dla większości reżyserów młodszego pokolenia ma refleksja nad jednym z najciekawszych prądów ideowych w polskiej historii. Dziś w niemal wszystkich ujęciach Słowackiego, Mickiewicza czy Krasińskiego dominuje pozostawiająca nas z niczym ironia albo przekonanie, że romantyzm to doktryna z datą ważności przekroczoną o sto lat, to polska choroba. Dlatego dobrze się stało, że w gdańskim spektaklu Adama Orzechowskiego jeśli pojawia się mocna krytyka, to mieści się w o wiele ciekawszym kontekście eseju, który nie rości sobie prawa do interpretacji dzieła.

Zapomnijmy w ogóle o dramacie z Kordianem i całą jego historią. U Orzechowskiego Kordianów jest nawet pięciu i przez niemal dwie godziny ukazują się w różnych odsłonach samych siebie; czasem wchodzą między sobą w dialog, chwilami jeden dookreśla drugiego, a czasem wręcz stają się swoimi przeciwieństwami. Czymś, co dominuje w tej realizacji, jest dojmujące poczucie, że te wszystkie postawy bohatera są równie niebezpieczne co każdy sen o potędze domagający się władzy nad innymi. Dla Orzechowskiego Słowacki stał się tylko pretekstem, by powiedzieć o Polsce coś więcej. Nie bez powodu na scenie zalega skamielina lawy, po której w końcu spłynie krew. Lawa pozostaje dzisiaj tylko symbolem, bo bardziej liczy się realny rachunek, który wystawia romantyzm?

Ten ton nawet frapuje, jednak nie wystarcza go na długo. Po pół godzinie orientujemy się, że pozostajemy w teatrze chłodnym i pozbawionym wyrazu. Więcej tu krzyku i pretensji niż ważnych pytań o naszą tożsamość. Nie odważyłbym się stawiać uproszczonych haseł, w których romantyzm to jedynie wykrzykniki z zachętą do przemocy. A już na pewno ostatni fragment: dialog między prezydentem Narutowiczem a jego zabójcą Niewiadomskim, trudno wyjaśnić inaczej, jak tylko chęcią łączenia za wszelką cenę zbyt wielu wątków. Zachęcam jedynie wytrwałych. ■



„Kordian" wg Juliusza Słowackiego, reż. Adam Orzechowski, Teatr Wybrzeże (Duża scena); premiera: 10 stycznia 2020 r.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Tybet zgwałcony



ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Rozpętana przez Mao Zedonga wielka proletariacka rewolucja kulturalna, która przetoczyła się przez Chiny w latach 1966–1976, była już opisywana zarówno przez historyków, jak i uczestników tamtych zdarzeń. Brali – i wciąż biorą – ją na warsztat zarówno naukowcy, jak i pisarze, co jest o tyle zrozumiałe, że pod względem skali zniszczeń, jakich dokonał ten trwający dekadę spektakl terroru i barbarzyństwa, trudno o porównywalne w historii najnowszej wydarzenia.

Na tle tej bogatej już literatury wspomnienia Pemy Bhuma jawią się jako zjawisko wyjątkowe. Tym razem bowiem mamy do czynienia ze świadectwem przebiegu rewolucyjnego szaleństwa w Tybecie – kraju, który po zwycięstwie komunistów i ustanowieniu w 1949 r. Chińskiej Republiki Ludowej został podbity, czy – jak chce tamtejsza propaganda – „wyzwolony" przez żołnierzy Chińskiej Armii – a jakże – Ludowo-Wyzwoleńczej. Wyzwolenie to – zgodnie z komunistyczną tradycją – miało charakter totalny i obejmowało wszystko, od tybetańskich struktur państwowych, przez kulturę, po życie włącznie. Okupacja chińska spotkała się z oporem, powstania jednak – co łatwe do przewidzenia – utopiono we krwi. Duchowy i świecki przywódca Tybetańczyków – XIV Dalajlama, Tenzin Gjaco w 1959 r. opuścił potajemnie ojczyznę i udał się na wygnanie do Indii, za nim zaś ruszyły rzesze zdesperowanych rodaków.

Na taki oto krajobraz zniszczeń nakłada się rok 1966 i początek rewolucji kulturalnej, która za cel obrała wykucie nowego człowieka. Wszystko, co mieściło się w pojemnej kategorii „czterech starych" (czyli starych idei, kultury, zwyczajów i nawyków), miało być obrócone wniwecz, a ich miejsce zajęła niepodzielnie królująca myśl Mao Zedonga i jej kwintesencja w postaci „Cytatów Przewodniczącego Mao". Mała czerwona książeczka stała się najświętszym i najniezbędniejszym przedmiotem. Jak pisze Pema Bhum: „Chłop mógł nie nieść na ramieniu motyki albo szpadla, ale nie mając za pazuchą czerwonej książeczki, prosił się o krytykę na wiecu. W robotniczej torbie mogło zabraknąć młotka lub obcęgów, jeśli jednak nie było w niej najważniejszej z ksiąg, skutki bywały tragiczne". Zakazano książek wydanych przed „reformą" i postawiono sześciomilionowy naród na progu nieodwracalnej utraty własnego języka i kultury. Pema Bhum opisuje ten czas, sięgając raczej po język groteski niż martyrologii, nie czyni to jednak upiorów zniszczenia i śmierci mniej przerażającymi.



Pema Bhum, „Opowiadania o rewolucji kulturalnej w Tybecie", tłum. Adam Kozieł, Państwowy Instytut Wydawniczy 2020

Nieznani znani



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

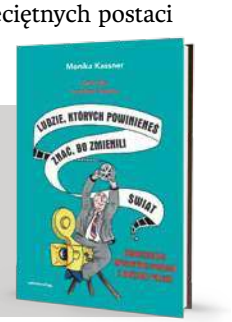
Książka, o której dziś piszę, ma podtytuł „Dwadzieścia wybitnych postaci z historii Polski". Jakie mają państwo pierwsze skojarzenia: Józef Piłsudski, Tadeusz Kościuszko, Kazimierz Wielki, Emilia Plater? A może Adam Mickiewicz? Dla każdego z nas będą to inne nazwiska.

Autorka książki Monika Kassner posłużyła się zupełnie innym kluczem i sięgnęła do życiorysów nieoczywistych. Przywołane przez nią osoby nie są pierwszoplanowymi postaciami na kartach podręczników, nie są znane w większości szerokiej publiczności. Opisanych przez nią bohaterów łączy polska narodowość oraz to, że każdy z nich zostawił po sobie trwały ślad nie tylko w historii Polski, lecz także w historii powszechnej. Odkrycia, których dokonali, są ważne dla współczesnego świata, a nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że dokonali tego Polacy.

Każdej osobie poświęcone jest krótkie, często żartobliwe opowiadanie zawierające najważniejsze fakty z jej życia oraz opis dokonań. Autorka pisze językiem lekkim, nie stroni od anegdot, więc młody czytelnik bez problemu zrozumie treść, a podstawowe informacje z pewnością zostaną mu na dłużej w pamięci.

Kto zatem znalazł się wśród tych bohaterów? Mamy tu: odkrywcę fal mózgowych Adolfa Becka, twórczynię imperium kosmetycznego Helenę Rubinstein, dowiadujemy się, czym zajmował się syn Heleny Modrzejewskiej, co Kazimierz Michałowski ma wspólnego z Indianą Jonesem. Ale to nie koniec – dzięki kolejnym postaciom młody czytelnik ma szansę dowiedzieć się, jak narodził się rock'n'roll, jakie związki z Polską ma słynna amerykańska wytwórnia filmowa Metro Goldwyn Meyer czy kim był Kazimierz Prószyński, nazwany w książce trzecim bratem Lumière. Pojawiają się osoby ze świata literatury, kina, teatru, tańca, medycyny. Nie zdradzam wszystkich nazwisk – niech będą niespodzianką.

Każde opowiadanie uzupełnia ilustracja konturowa – jej pokolorowanie to zadanie dla czytelnika. Obrazki te można później wyciąć, dzięki czemu można stworzyć własną galerię nieprzeciętnych postaci z naszej historii.



Monika Kassner, „Ludzie, których powinieneś znać, bo zmienili świat. Dwadzieścia wybitnych postaci z historii Polski", Wydawnictwo Universitas, Kraków 2019, 6+

eprasa.pl 37b1e8a2c0



SNAJPERKA NA FRONCIE

„BITWA O SEWASTOPOL" Z 2015 r. TO UKRAIŃSKO-ROSYJSKA PRODUKCJA UKAZUJĄCA, W JAKI SPOSÓB MOŻNA POŁĄCZYĆ PATOS KINA SOWIECKIEGO ZE WSPÓŁCZESNYMI NOWINKAMI TECHNOLOGICZNYMI



KAROL MAZUR

Przedstawione w filmie wydarzenia mają miejsce podczas wojny niemiecko-sowieckiej. Od października 1941 r. wojska niemieckie i rumuńskie oblegały portowe miasto Sewastopol na Krymie, gdzie znajdowała się główna siedziba sowieckiej floty czarnomorskiej. Niemcy długo nie mogli zdobyć twierdzy z powodu silnego oporu Sowietów i kapryśnej pogody. Generalne natarcie przeprowadzili dopiero w czerwcu 1942 r., kiedy ich wojska lądowe wsparły lotnictwo. Na nic zdały się próby odsieczy ze strony Armii Czerwonej, która dokonała desantu na wschodzie Krymu. Ostatecznie 4 lipca siły sowieckie skapitulowały, a Sewastopol znalazł się rękach państw Osi.

Główną bohaterką filmu jest Ludmiła Pawliczenko, która przeszła do historii jako jeden z najlepszych sowieckich strzelców wojny ojczyźnianej. Poznajemy ją już po bitwie o Sewastopol, kiedy pod koniec 1942 r. wraz z delegacją komunistycznych towarzyszy odwiedza USA, aby przekonać amerykańskich polityków do utworzenia drugiego frontu w Europie. Tam zaprzyjaźnia się z prezydentową Eleonorą Roosevelt, której postanawia przedstawić swoją historię. W ten sposób poznajemy losy Ludmiły od czasu jej studiów w Kijowie po walki na froncie krymskim, gdzie zdobywa sławę czołowego snajpera, zabijając ponad 300 wrogów. Oprócz wojennych sukcesów śledzimy też jej perypetie miłosne, okupione bólem po stracie kolejnych ukochanych poległych w walce. Sama Pawliczenko ocaleje, gdyż zakochany w niej lekarz odstąpi jej swoje miejsce na okręcie podwodnym ewakuującym oficjeli z oblężonego miasta.

„Bitwa o Sewastopol" w reżyserii Serheja Mokrickiego to bardzo dobry dramat wojenny. W znacznej mierze to zasługa rosyjskiej aktorki Julii Peresild, która brawurowo zagrała główną bohaterkę, znakomicie oddając jej emocje i osobowość. Film robi też wrażenie pod względem technologicznym. Sceny bitewne zostały nakręcone z efektami specjalnymi godnymi kina hollywoodzkiego. Szczególnie warto zwrócić uwagę na fragment ukazujący nalot bombowców Luftwaffe na sowieckie okręty. Oglądając go, widz naprawdę czuje się tak, jakby był świadkiem wydarzenia. To, co budzi największe wątpliwości, to widoczne w filmie przeinaczenia wyjęte z ówczesnej sowieckiej propagandy. Nie chodzi tu o ukazanie dumy ze zwycięstwa nad Hitlerem, do czego dzisiejsi Rosjanie i Ukraińcy mają prawo, ale o przedstawienie losów głównej bohaterki. Skądinąd wiemy, że prawdziwa Pawliczenko była kreacją sowieckiego politbiura, które potrzebowało wzoru kobiety bohatera do pokazania całemu światu. Niedawno rosyjska badaczka Luba Winagrodowa ustaliła, że jej dokonania nie mają potwierdzenia w dokumentach źródłowych. Relacje samej snajperki są pełne sprzeczności i niedokładności. Po jej licznych ranach nie pozostały żadne blizny, a gdy proszono ją o pokazanie swoich strzeleckich umiejętności, zwykle odmawiała.

Na koniec warto zwrócić uwagę, że film ten powstał w okresie zaognionych relacji rosyjsko-ukraińskich. Wiemy przecież, że w marcu 2014 r. Rosjanie dokonali aneksji Krymu i zaczęła się trwająca do dzisiaj wojna hybrydowa w Donbasie. Prace nad filmem wchodziły wówczas w kulminacyjny moment, pewnie dlatego ich nie przerwano. Tym bardziej że stroną główną byli tu Ukraińcy, którzy sfinansowali 80 proc. kosztów jego produkcji. Do kin film trafił jednak pod dwoma tytułami. Rosjanie wpuścili go jako „Bitwę o Sewastopol", a Ukraińcy jako „Niezłomną". Obie strony nie były też w stanie porozumieć się w kwestii wspólnego zgłoszenia produkcji do Oscara. O większym wpływie Ukraińców na film świadczy zresztą jedna scena. W trakcie konferencji prasowej w USA z udziałem Pawliczenko jeden z dziennikarzy, który okazuje się rosyjskim emigrantem, zarzuca Związkowi Sowieckiemu, że rozpoczął wojnę już w 1939 r., atakując Polskę i Finlandię. Dla nas rzecz oczywista, ale nie do pomyślenia w rosyjskim filmie historycznym doby Putina. Tak jak w czasach komunistycznych, dzisiejsi rządzący Rosją podtrzymują, że wojna zaczęła się napaścią Niemiec na ich kraj w 1941 r., a skończyła się „wyzwoleniem" przez Rosjan Europy w 1945 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 37b1e8a2c0

W LISTOPADZIE 2019 r. ZOSTALI UROCZYŚCIE POCHOWANI NA WILEŃSKIEJ ROSSIE POWSTAŃCY STYCZNIOWI, KTÓRYCH SZCZĄTKI ODNALEZIONO NA GÓRZE GIEDYMINA. NA PALCU JEDNEGO Z NICH ZACHOWAŁA SIĘ OBRĄCZKA Z NAPISEM: „ZYGMUNT APOLONIA 11 SIERPNIA/30 LIPCA 1862 r.”

ŻONA POWSTAŃCA



Apolonia Sierakowska z córeczką Zygmuntą



JOANNA PUCHALSKA

Młodych Dalewskich było dziesięcioro: Franciszek, Aleksander, Tekla, Julia, Zuzanna, Apolonia, Józefa, Ksawera, Konstanty i Tytus. Wszyscy konspirowali. Pani Dominika z Narkiewiczów Dalewska towarzyszyła swoim dzieciom niczym rzymska matka Grakchów, a potem poszła z nimi na zesłanie.

Dwaj starsi, Franciszek, urodzony w 1825 r., i Aleksander, rocznik 1827, po tragicznych wypadkach galicyjskiej rabacji 1846 r. założyli Związek Bratni Młodzieży na Litwie, który wkrótce dotarł do wszystkich szkół. Bracia Dalewscy nie chcieli wywoływać powstania. Uważali, że wszelkie zmiany i reformy należy zaczynać od siebie, a więc świecić dobrym przykładem, wychowywać młodzież w duchu patriotycznym, nieść oświatę w lud, zjednoczyć wszystkie warstwy i wyznania. Aresztowani wskutek donosu dostali: Franciszek najpierw wyrok śmierci, wskutek starań rodziny zamieniony na 15 lat ciężkich robót, Aleksander 10 lat. Na mocy amnestii Aleksander wrócił po ośmiu latach, Franciszek po 10. Aleksander zmarł w 1862 r. Franciszek żył jeszcze długo i działalności patriotycznej nie zaprzestał.

„Tę twarz wyróżniłabym spośród tysiąca”

Ich młodsza siostra Apolonia ukończyła państwową pensję dla panien, prowadzoną przez Karolinę Głowacką. W 1861 r. przez Wilno przejeżdżał kpt. Zygmunt Sierakowski ze Sztabu Generalnego w Petersburgu, blisko współpracujący z ministrem wojny, mający jednocześnie konspiracyjne konszachty z braćmi Dalewskimi. Z Apolonią poznali się przez przypadek i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Ona napisze po latach: „Cała postać tego człowieka od pierwszej chwili widzenia porywała, przykuwała do siebie”.

Była tak poruszona podczas ich pierwszego spotkania w bawialni wileńskiego mieszkania, że zapamiętała jedynie, iż gdy siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, niecierpliwie odsunął świecznik, który mu ją zasłaniał. Gdy potem weszła do pokoju, gdzie siedziały siostry, bezwiednie, bo też nie pamiętała tego później, wyrzekła słowa: „Stało się”.

Ślub odbył się 11 sierpnia 1862 r. w Kiejdanach u Berkmanów, siostry i szwagra Apolonii. Po powrocie z kościoła przed dworem powitała nowożeńców dziatwa wiejska z kwiatami. Były tam także dzieci z Ibian – wioski, która w 1863 r. zostanie zrównana z ziemią, a mieszkańcy popędzeni na Sybir. Zresztą wszystkich obecnych na weselnym obiedzie, z jednym wyjątkiem, dotkną represje. Matka z siostrami Ksawerą, Teklą, Zuzanną i Józefą zostaną zesłane na Sybir, a Julia Berkmanowa (nosząca wspólny z mężem pseudonim konspiracyjny – Julian Dalewski) – wysiedlona wraz z nim do Wiatki. Brat Franciszek dostanie 20 lat katorgi. Tytus zostanie rozstrzelany w Wilnie. Konstanty wyjedzie z Litwy i zginie w czasie komuny paryskiej. Ks. Antoni Mackiewicz, który przypadkowo tego dnia odwiedził Michała Berkmana i został zatrzymany na obiad – będzie powieszony, podobnie jak również obecny na ślubie inny dowódca Konstanty Kalinowski. Trzech Gieysztorów polegnie,

FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA; BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 37b1e8a2c0

czwarty będzie zesłany. Jeden tylko Jan Staniewicz wyszedł z powstania styczniowego nietknięty.

Krótkie te miodowe miesiące

Młodzi pojechali do Warszawy, dokąd wysłało Sierakowskiego jego ministerstwo, i zatrzymali się w hotelu Europejskim. On załatwiał sprawy służbowe, oboje nawiązywali różne nieprawomyślne kontakty i bardzo przeżyli egzekucję Ludwika Jaroszyńskiego, który strzelał w teatrze do Wielkiego Księcia Konstantego, i Jana Rzońcy, który dokonał zamachu na Aleksandra Wielopolskiego.

Ruszyli dalej, m.in. do Paryża. Tu Apolonii ukradziono obrączkę i Zygmunt kazał zrobić drugą. Poszli potem do kościoła św. Magdaleny i tam, nałożywszy sobie ponownie obrączki, ślubowali dochować małżeńskiej wiary także po śmierci.

Zimę 1862/1863 spędzali w Petersburgu. Bywało u nich wielu znajomych, wszyscy chcieli poznać żonę Zygmunta, który był osobą bardzo popularną. Głównie byli to polscy wojskowi, bo rosyjskich kapitan Sierakowski do domu raczej nie zapraszał. Małżonkowie żyli w dużym napięciu ze świadomością, że Litwa ma umowę z Zygmuntem i wezwie go w razie nagłej potrzeby. On, choć przeciwny powstaniu i niewierzący w powodzenie walki zbrojnej, gotów był zrezygnować z dobrze zapowiadającej się ministerialnej kariery i jechać do Wilna, gdy ojczyzna wezwie.

„On jeden może zjednoczyć i pokierować powstaniem"

I stało się to, czego się obawiali. W stolicy zjawił się wysłany z tą misją Aleksander Oskierka, członek Wydziału Zarządzającego na Litwie. 7 kwietnia państwo Sierakowscy przybyli do Wilna i dopiero stąd Zygmunt wysłał dymisję do ministra Dymitra Milutina. Gdyby ją złożył w Petersburgu, uwięziono by go, aby uniemożliwić wyjazd. W ten sposób ocaliłby życie, ale, jak powiedział żonie: „Nie spełniłbym obowiązku względem ojczyzny, względem moich współbraci, wzywających mnie w jej potrzebie. Z tym przeświadczeniem żyć długo bym nie mógł i nie chciał, nawet przy tobie! I ty byś mną pogardziła, bo tego, kogoś kochała i w któregoś wierzyła, już byś we mnie nie znalazła".

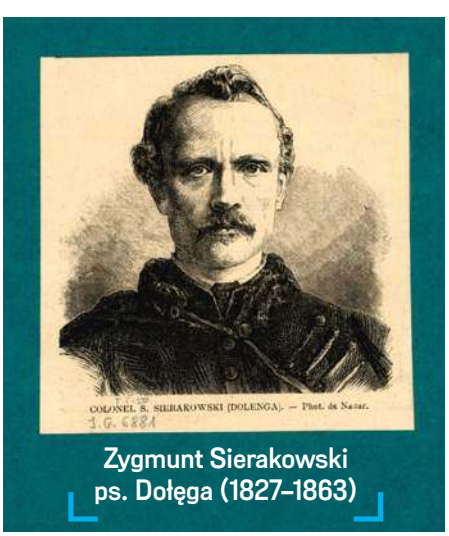
Tych dwoje czuło i myślało jak jeden człowiek. Zgodnie z tym, czego od dzieciństwa uczono w rodzinie Dalewskich, Apolonia uważała, że tak właśnie należy postąpić. Co nie zmienia faktu, że młoda żona, z kilkumiesięcznym zaledwie stażem, niewyobrażalnie cierpiała, rozstając się z ukochanym mężczyzną ruszającym ku swemu przeznaczeniu. Wkrótce Zygmunt pod pseudonimem Dołęga objął dowództwo powstania na Kowieńszczyźnie.

Russkij mir „Wieszatiela"

Po początkowych sukcesach militarnych – był przecież zawodowym wojskowym, doskonale wyszkolonym w armii carskiej – Sierakowski-Dołęga został ranny w bitwie pod Birżami, a następnie wpadł w łapy Moskali. Przewieziono go do Wilna. Miał zgruchotane żebra. Męczony przesłuchaniami bardzo się pilnował, żeby w bólu i w gorączce nie powiedzieć nic, co mogłoby komuś zaszkodzić.

Apolonia, która była w ciąży, liczyła na to, że na tej podstawie będzie go można uwolnić. Wielu tak myślało, wiele też osób wzdragało się na myśl o egzekucji ciężko rannego oficera. Były nawet petycje w tej sprawie od europejskich dworów. Nie pomogły. Murawjow zapisze później: „W liczbie znajdujących się w więzieniu był także były kapitan jeneralnego sztabu Sierakowski, ranny, który dowodził największym oddziałem na Żmudzi, [...] a także szlachcic Kołyszko, naczelnik innego znacznego oddziału. Kazałem przyspieszyć wytoczone im proccesa i konfirmowałem ich obu na powieszenie".

Nie są zgodne z historyczną prawdą licznie wydawane potem patriotyczne propagandowe ryciny, na których Murawjow zmusza Apolonię, by patrzyła na śmierć męża. Ale rzeczywistość także była okrutna. Nieszczęsna przebywała w areszcie domowym i gdy go wieszano, z daleka słyszała bicie bębnów na placu Łukiskim, a z okna widziała stojącą na ulicy pobladłą matkę, której nie pozwolono do niej wejść.



Zygmunt Sierakowski ps. Dołęga (1827–1863)

Pod strażą przebywała jeszcze trzy miesiące. Próbowano ją przekupić. Książę Michaił Szachowskoj, krewny Murawjowa, obiecywał, że dostanie paszport i pensję mężowską, niech tylko podpisze oświadczenie, że uznaje śmierć męża za zasłużoną. Z oburzeniem odmówiła.

Polskie drogi

We wrześniu Murawjow kazał ją zesłać do guberni nowogrodzkiej. Lekarz protestował, że podróż w tym stanie grozi śmiercią. „Tiem łutsze" – odparł ze złością „Wieszatiel". Padł rozkaz, że jeśli urodzi się chłopiec, ma zostać odebrany matce. Był to zwyczaj władz carskich jeszcze z czasów po powstaniu listopadowym. Synów buntowszczyków należało zabrać rodzinom i wychować w lojalności dla rosyjskiego samodzierżawia. Tymczasem 2 listopada Apolonia urodziła córkę, którą nazwała Zygmunta, i władze łaskawie pozwoliły, by jedna z zesłanych mniej więcej w tym samym czasie sióstr (wszystkie były w jakiś sposób zamieszane w powstanie) mogła z nią zamieszkać. Jesienią 1864 r. przyjechała do niej Tekla. W 1866 r. mała Zygmunta umarła, a rok później Apolonia została objęta amnestią i przyjechała do Warszawy. Zajęła się nauczaniem, prowadziły z siostrą tajną szkółkę dla dziewcząt, córek sybiraków z Litwy.

Żona Zygmunta Sierakowskiego zmarła w Warszawie w 1919 r. i pochowana jest w rodzinnym grobie na Powązkach. Spisała wspomnienia i opowiedziała w nich o dramatycznych losach swojej rodziny, o tym, jak przez brata Franciszka poznała swego męża, i o jego tragicznym losie. Najładniejsza z sióstr Dalewskich nawet jako kobieta dojrzała budziła zachwyt w zapewne niejednych męskich oczach. Dochowała ślubowania, że będą sobie z Zygmuntem wierni i po śmierci, tak jak przysięgali w paryskim kościele La Madeleine, gdy ponownie nakładali obrączki. Rok po tej przysiędze on, ze swoją na palcu, został wraz z innymi skazańcami na ponad 150 lat pogrzebany w bezimiennym grobie na Górze Giedymina.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

TOWARZYSZ WIRUS



FOT. SHUTTERSTOCK

Maska dla medyka mająca odstraszać dżumę

WRAZ Z ROZWOJEM OSADNICTWA I OSIADŁEGO STYLU ŻYCIA NASILAŁO SIĘ RYZYKO ROZPOWSZECHNIANIA CHORÓB ZAKAŹNYCH



KRZYSZTOF ŻARYN

W ostatnim okresie dochodzą nas bardzo niepokojące doniesienia z Chin. Rozprzestrzeniająca się, nieznana dotąd, forma koronawirusa, infekuje coraz większą liczbę osób, powodując epidemię o co najmniej lokalnym rażeniu. Liczba zarażonych rośnie z dnia na dzień w zastraszającym tempie. Wirusy tej grupy cechuje budowa przypominająca koronę słoneczną, co zaobserwować możemy pod mikroskopem elektronowym. Tego typu cząsteczki odpowiedzialne są za większość dolegliwości górnych dróg oddechowych, w tym – najbardziej pospolitą – grypę. Uważa się, że odmiana, która od miesiąca sieje popłoch, przeszła z dzikich zwierząt i zmutowała do formy mogącej żerować na organizmie ludzkim. Naukowcy obecnie dwoją się i troją w staraniach nad tym, by epidemia nie przybrała globalnego formatu. Szczęście w nieszczęściu jest takie, że mają z czego brać wzorce i przykłady, ponieważ ludzkość doświadczyła już tego typu kataklizmów.

Już w starożytności...

Antropolodzy są zgodni, że pierwsze poważniejsze choroby zakaźne zaczęły występować na przestrzeni IX–VI w. przed narodzeniem Chrystusa. Ze względu na brak możliwości badań materiałów genetycznych za wyznacznik uznaje się wskaźniki kulturowe, takie jak pochówki oraz mogiły zbiorowe. Podstawowym źródłem zakażeń dla człowieka jest inny człowiek oraz zwierzę, więc wraz z rozwojem osadnictwa i osiadłego stylu życia nasilało się ryzyko rozpowszechniania chorób zakaźnych. Jednak istnieją doniesienia o wcześniejszych epizodach chorób epidemicznych. Informacje te dotyczą imperium hetyckiego, z którego zachowały się tabliczki listów oraz modłów traktujących o zarazie datowane na XVIII w. przed narodzeniem Chrystusa. Znamy także nakaz ówczesnego władcy Amorytów – Zimri–Lima – z poleceniem do żony. Została ona zobowiązana do odizolowania jednej ze służących, by reszta służby nie zaraziła się tajemniczą chorobą. Pięć setek lat później spisane zostały modlitwy króla Mursilisa II proszące o oddalenie epidemii, która trwała ok. 20 lat i dziesiątkowała lud hetycki. Domniemaną przyczyną zachorowań była malaria sprowadzona przez starożytnych Egipcjan.

W starożytności warta odnotowania była zaraza ateńska, która towarzyszyła II wojnie peloponeskiej (431–404); zmniejszyła populację Peloponezu o niemal jedną trzecią i mogła być jednym z czynników prowadzących do upadku świetności tego miasta. Wywołała ją bakteria duru brzusznego. Opis objawów zawdzięczamy wybitnemu historykowi Tukidydesowi, tym wiarygodniejszy, że sam autor był ozdrowieńcem.

Średniowieczne dżumy

Jednak to czasy średniowieczne były zdecydowanie sprzyjającym okresem dla rozwoju epidemii. Zwiększenie skupisk ludzkich oraz pogorszenie higieny życia tworzyły warunki do rozprzestrzeniania chorób. Już na początku epoki zanotowano epidemię bardzo brzemienną w skutki. Historycy nazwali ją dżumą Justyniana od imienia władcy, w czasach panowania którego pandemia wybuchła. Wystąpienie choroby datuje się na 541 r., wtedy populacja Konstantynopola spadła o ok. 40 proc. Wielkie cesarskie ambicje, by odbudować świetność imperium rzymskiego, pokrzyżowała epidemia choroby, której źródłem miało być pochodzące z Etiopii lub Egiptu zboże, rozprowadzane na terenie Bizancjum, a potem na niemal cały świat.

Druga odsłona epidemii dżumy nastąpiła w XIV w. Zaraza ta określona została jako czarna śmierć; dotknęła ona przede wszystkim ludność europejską, choć prawdopodobnie zaczęła się w Chinach. Zarazki przywieźli do Europy kupcy włoscy powracający z Krymu. Podczas oblężenia kolonii genueńskiej – Kaffy, w 1347 r., armia mongolskiego chana Jani Bega zastosowała broń biologiczną.

eprasa.pl 37b1e8a2c0

Przez mury budynku Mongołowie przerzucali ciała zmarłych żołnierzy. Zaraza rozpowszechniła się tam bardzo szybko. Wirus dotarł do Włoch na powracającym statku handlowym i z łatwością rozniósł się po Starym Kontynencie. Epidemia wyludniała całe miasta, powodując popłoch i panikę. Zachowało się wiele relacji ukazujących strach i przygnębienie. Między innymi poeta Giovanni Bocaccio tak opisywał wydarzenia z Florencji: „Z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie do marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób straciło życie. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła...".

Amerykańska ospa

Wirusem, który niemal w całości rozprawił się ze starożytnym ludem Ameryki, a potem napsuł dużo krwi Europejczykom, była najprawdopodobniej ospa prawdziwa (choć dziś naukowcy mówią także o pałeczkach salmonelli). Źródła pozwalają domniemywać, że już w czasach starożytnych choroba ta dawała się we znaki. Jednak okrutne żniwo zebrała dopiero w XVI w. Aztekowie oraz Inkowie – bo o nich tu mowa – nie dość, że zostali podbici przez konkwistadorów hiszpańskich, to także „poczęstowani" chorobą zakaźną (dwa wyrzuty 1545 i 1571). W czasie walk między tubylcami a najeźdźcami nagromadziło się wiele ciał poległych. Rdzenni Amerykanie, przeszukując zmarłych w celu zgromadzenia łupów, przyczynili się do roznoszenia wirusa na bardzo dużą skalę. Szacuje się, że 75 proc. ludności Azteków i aż 95 proc. Inków zmarło wskutek tej choroby zakaźnej. Można uznać to za użycie swego rodzaju broni biologicznej, ponieważ epidemia znacznie ułatwiła podbój terenu przez najezdnych. Wirus zatoczył jednak koło i jak bumerang wrócił do Europy. Choroba w XVII w. dotarła do Bostonu, czyli przeskoczyła na Amerykę Północną. Tam odnotowano sześć epidemii. Najmocniejsze uderzenie datuje się na 1721 r., kiedy przestraszeni mieszkańcy uciekali z miasta, rozsiewając zarazki dalej. Choroba dotarła do Londynu, a potem do reszty Europy. Źródła podają, że wirus ten mógł zabić nawet 60 mln Europejczyków. W XVIII w. pandemię zatrzymało wynalezienie szczepionki, która do dziś zminimalizowała zagrożenie tą chorobą.

Hiszpańska grypa

W zestawieniu tym trzeba wspomnieć również o wywołanej wirusem grypy chorobie zwanej hiszpanką, który grasował w latach 1918–1919. Pochodzenie tego wirusa, podobnie jak tego, który aktualnie grasuje w Chinach, było odzwierzęce. Są trzy teorie tłumaczące, gdzie znajdowało się ognisko zakażenia. Jedna winą obarcza Amerykę, druga Francję, a trzecia Chiny. Wedle dwóch pierwszych to w bazach wojskowych miało dojść do pierwszych zakażeń. Teoria „chińska" mówi o sprowadzeniu zarażonych robotników z tego kraju na tereny Francji. Czynnikiem, który bardzo mocno sprzyjał rozwojowi pandemii, była I wojna światowa i związane z nią transporty wojska, a słaba higiena sprzyjała przenoszeniu chorób zakaźnych. Poza tym sam przebieg epidemii również miał wpływ na rozwój tragedii. Atak wirusa przeszedł dwuetapowo. Pierwszy, jeszcze łagodny, przyszedł na wiosnę 1918 r. Objawy choroby były lekkie i przechodziły zwykle po 2–3 dniach. Nie podejrzewano, że dolegliwość ta może jakkolwiek zagrozić społeczeństwu. Druga fala zachorowań przyszła we wrześniu 1918 r. i był to już atak bardzo poważny. Przypuszcza się, że w tym okresie wirus zmutował i stał się bardzo groźny dla człowieka. Przyczyną niebezpieczeństwa było zapalenie płuc występujące jako powikłanie wywołane przez chorobę. Wirus rozprzestrzeniał się błyskawicznie, nie tylko w szeregach wojska, lecz także ludności cywilnej. Mówi się nawet o 500 mln zachorowań, czyli jednej trzeciej populacji Europy. Śmiertelność choroby nie została do końca ustalona, najbardziej pesymistyczne rachunki mówią nawet o 100 mln śmiertelnych ofiar epidemii. Zachorowania zatrzymały się samoistnie pod koniec 1919 r.

W pamięci mamy również niedawne doniesienia o masowych zakażeniach z powodu SARS, ptasiej grypy czy wirusa ebola. Postępy epidemii zostały w pewnym momencie zatrzymane i miejmy nadzieję, że tak będzie także tym razem. W każdym z tych przypadków ratunkiem dla człowieka jest wzmocniona odporność organizmu. Dobrze jest na nią wpływać, również poprzez żywienie. Pamiętajmy, aby unikać niedoboru białka w diecie, witaminy C, witaminy D czy cynku. Jedzmy więcej warzyw, owoców i orzechów. Zamiast nadmiernego solenia przejdźmy na przyprawy ziołowe, kurkumę, cebulę czy czosnek. W ten sposób jesteśmy w stanie trochę podbudować systemy obronne naszego ciała i pomagać mu w walce z zagrożeniem.



Ofiary hiszpańskiej grypy w szpitalu w pobliżu Fort Riley w stanie Kansas, 1918 r.

FOT. EAST NEWS/ AP PHOTO / NATIONAL MUSEUM OF HEALTH

eprasa.pl 37b1e8a2c0



KACPER GROCHOCKI



PROJEKT P-47 BYŁ ZAPRZECZENIEM TRENDÓW KONSTRUKCYJNYCH MYŚLIWCÓW PRZEŁOMU LAT 30. I 40. XX w.

P-47 THUNDERBOLT
CZYLI ZABÓJCZY LATAJĄCY DZBANEK

Brytyjski Spitfire, niemiecki Bf-109, japoński A6M (Zero), francuski D.520, włoski MC.202 czy radziecki Jak-1 były dla swoich państw samolotami ważnymi, wszystkie też były myśliwcami o podobnych możliwościach bojowych, bazującymi głównie na swojej szybkości i zwrotności oraz operującymi na zbliżonym pułapie.

Amerykanie, obserwując powietrzną wojnę nad Europą, uznali, że ich nowy myśliwiec powinien być lepiej uzbrojony i opancerzony, a także zdolny do działania na większych wysokościach i jednocześnie powinien zachowywać wysoką prędkość. Z tego powodu porzucono prace nad trwającymi projektami, ich przystosowanie do nowych wymogów nie było bowiem możliwe bez znacznego powiększania ich masy i rozmiarów, a przez to również zmiany przewidywanych jednostek napędowych.

Dowiedziawszy się o nowych wytycznych, Alexander Kartveli, gruzińskiego pochodzenia główny inżynier firmy Republic Aviation Corporation, po wstępnym szkicu maszyny miał powiedzieć: „To będzie dinozaur, ale dinozaur z dobrymi proporcjami". Pierwsze obliczenia dotyczące projektowanego myśliwca, o oznaczeniu XP-47B, przekazano wojskowym w czerwcu 1940 r. Już we wrześniu spłynęło zwrotne zamówienie na model testowy, a kilka dni później na pierwsze seryjne samoloty.

Imponująca była szybkość opracowania nowatorskiej i zaawansowanej konstrukcji, jaką był P-47, już w maju 1941 r. bowiem oblatany został prototyp. Było to możliwe m.in. dzięki zastosowaniu rozwiązań z poprzednich projektów firmy Republic. Głównym zadaniem było dostosowanie samolotu do jego jednostki napędowej – silnika Pratt & Whitney R-2800 Double Wasp z turbosprężarką, który osiągał moc 2000 KM. Jednak, oferując imponujące osiągi, wymagał on wiele miejsca w kadłubie, a do tego ważył tonę, gdy wymienione na wstępie myśliwce miały całkowitą masę bojową w granicach 3–3,5 tony. W związku z tym nie dziwią wymiary P-47, który miał rozpiętość skrzydeł sięgającą niemal 12,5 m i długość kadłuba prawie 11 m, przy maksymalnej masie startowej bliskiej 8 ton. Mimo to samolot był bardzo szybki i osiągał prędkość ok. 690 km/h, a w locie nurkowym nie miał sobie równych. Myśliwiec był też potężnie uzbrojony – 8 km-ów kal. 12,7 mm do tego mógł również zabierać rakiety kal. 114 lub 127 mm, bądź bomby. Alternatywą były doczepiane zbiorniki z paliwem, które w ostatniej wersji samolotu (N) pozwalały mu osiągnąć zasięg rzędu 3 tys. km. Rozmiary i kształt samolotu przyczyniły się do jego nieoficjalnej nazwy „Dzbanek" (ang. Jug).

Pierwsze seryjne thunderbolty były gotowe pod koniec 1941 r., służyły jednak dalszemu poprawianiu konstrukcji i dopiero wersje C i D powstałe w drugiej połowie 1942 r. wysłano do jednostek bojowych. Zadebiutowały one w lotach bojowych nad Europą w marcu 1943 r. Początkowo nic nie zapowiadało przyszłych sukcesów. Bilans zestrzeleń i strat osiągnięty na P-47 oscylował w granicach stosunku 1:1. Przełom przyniosła zmiana taktyki wykorzystania samolotu. Dzięki zastosowaniu dodatkowych zbiorników z paliwem i zwiększeniu zasięgu piloci thunderboltów mogli ścigać Niemców, którzy wcześniej z założenia starali się unikać walki z amerykańskimi myśliwcami, koncentrując się na bombowcach.

P-47 został stworzony z myślą o ochronie bombowców działających na dużych pułapach. Jednocześnie również bardzo dobrze radził sobie na optymalnych dla wrogich samolotów średnich wysokościach. Ustępował innym myśliwcom w walce kołowej, lecz wcale nie musiał brać w niej udziału – jego szybkość, osiągi na wysokim pułapie i prędkość nurkowania, poparte dużą odpornością konstrukcji i silnym uzbrojeniem, pozwalały na pokonanie każdego wroga. Z czasem jego rolę, myśliwca eskortującego, przejął P-51 Mustang, lecz P-47 dzięki swoim zaletom stał się świetnym samolotem szturmowym. Nic dziwnego, że thunderbolt był najliczniej produkowanym amerykańskim myśliwcem, powstało bowiem ponad 15,5 tys. jego egzemplarzy.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 37b1e8a2c0

OSTATNI STOLIK RZECZYPOSPOLITEJ

Górujące nad Wilnem wzgórze Giedymina zwieńczone jest jedyną przetrwałą do naszych czasów pozostałością po tamtejszym Górnym Zamku – basztą Giedymina. Gotycka forteca została wzniesiona z polecenia księcia Witolda w 1409 r. i zastąpiła zlokalizowaną w tym miejscu drewnianą warownię. Zamek uległ zniszczeniu w czasie moskiewskiego najazdu w latach 1655–1661, a baszta została mocno uszkodzona w czasie II wojny światowej. Jej odbudowa zakończyła się w 1960 r. i od tego czasu mieści się tam Muzeum Zamku Górnego. Jego zbiory nie są imponujące – to głównie średniowieczne miecze i pancerze. Dość powiedzieć, że najciekawszą częścią muzuem jest mieszczący się na szczycie wieży taras widokowy, z którego rozpościera się panorama na całe Wilno.

Znacznie ciekawszą ekspozycją pochwalić się może, mieszczące się u stóp wzgórza Giedymina, litewskie muzeum narodowe. Obydwie placówki połączone są wyciągiem kabinowym, co sprawia, że przemieszczanie się pomiędzy nimi może być atrakcją samą w sobie. Instytucja stawia sobie za cel ukazanie dziejów państwa litewskiego od okresu późnego neolitu do 1940 r. Jednak najwięcej eksponatów stanowią artefakty pochodzące ze średniowiecza i późniejsze. Największą ciekawość spośród tych starszych budzą egipski sarkofag i greckie wazy, szczególnie w tym miejscu.

Większość zbiorów litewskiego muzeum narodowego unaocznia, jak silnie ziemie te były związane z polską kulturą z okresu I Rzeczypospolitej. Na ścianach znajdziemy portrety polskich typów szlacheckich i polskich królów, pasy słuckie, dokumenty spisane w języku polskim. Poczesne miejsce zajmuje makieta bitwy pod Grunwaldem, a na piętrze znajdziemy kosy z okresu powstania styczniowego i grafiki Artura Grottgera. Bardzo ciekawa jest też część poświęcona litewskiej sztuce ludowej, gdzie zgromadzono znaczną liczbę drewnianych rzeźb sakralnych.

Moją uwagę przykuł umieszczony na piętrze północnego skrzydła budynku kunsztownie rzeźbiony rokokowy, pozłacany stolik. Jego blat ozdabiają kwadratowe płytki wykonane z różnokolorowych marmurów. Spoczywa na nim złamana szabla. Nad meblem kurator wystawy umieścił portret Stanislovasa Augustasa Poniatovskisa, ostatniego króla Polski (niestety wszystkie nazwiska są w muzeum zlitwinizowane – znajdziemy tu również m.in. portret Mykolasa Koributasa Višnioveckisa). Opis eksponatu głosi, że przy tym stole ostatecznie dopełnił się los I Rzeczypospolitej. 25 listopada 1795 r. w Grodnie w imieniny carycy Katarzyny II, dzień po podpisaniu przez zaborców III rozbioru Polski, w 31. rocznicę swojej koronacji Stanisław August Poniatowski podpisał spoczywający na tym blacie akt abdykacji. W zamian otrzymał dożywotnią pensję i uwolnienie od długów, które spłaciły za niego Rosja, Prusy i Austria. Całość kompozycji dopełniają dwie trafnie dobrane ilustracje – mapa I Rzeczypospolitej z zaznaczonymi rozbiorami oraz umieszczony na prawo od portretu króla „Kołacz królewski", rysunek będący alegorią I rozbioru – władcy państw zaborczych dzielący ziemie Rzeczpospolitej w obecności Augusta Poniatowskiego. Do tego ostatniego, według legendy, miała też należeć złamana szabla spoczywająca na blacie stolika.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI



FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 37b1e8a2c0



Od lewej: fotograf Andrzej Wiktor, dyrektor artystyczny Michał Korsun i rekonstruktorzy: Przemysław Witowski, Piotr Klaybor oraz Wiesław Wszelaki

Wojna informacyjna trwa w najlepsze: w prasie, internecie, telewizji. Nie ma dnia, żeby gdzieś na świecie nie pojawiła się informacja, że niemieckie obozy koncentracyjne były „polskie", Niemcy były okupowane przez nazistów, a Polacy podczas II wojny światowej mieli wakacje i dla zabicia czasu mordowali Żydów. Niestety, kto nie interesuje się historią i nie sprawdza informacji podawanych w mediach, jest święcie przekonany, że tak było. Dlatego należy nieprzerwanie prowadzić akcję nagłaśniania faktów historycznych w celu uświadamiania nowych pokoleń w Polsce i za granicą. Z wagi czarnego piaru zdawali sobie sprawę wspomniani już Niemcy także 80 lat temu. Gdy w 1943 r. na terenach ZSRS odkryli masowe groby z tysiącami ciał polskich jeńców wojennych pomordowanych przez Sowietów, III Rzesza postanowiła zrobić z tego propagandowy użytek mający osłabić nie tylko sojusz aliantów z Rosjanami, lecz także wypromować slogan o żydowsko-bolszewickich katach. Nagłaśnianie przez Niemców informacji o ludobójstwie Polaków w lasach katyńskich miało schizofreniczny charakter i było szczytem hipokryzji, wojna trwała bowiem w najlepsze, a w okupowanej Polsce niemieccy żołnierze nadal katowali i zabijali naszych rodaków.

Międzynarodowa Komisja Lekarska pod przewodnictwem szwajcarskiego profesora medycyny sądowej François Naville'a, która prowadziła prace w lasach katyńskich, potwierdziła informacje Niemców na temat udziału Sowietów w kaźni polskich jeńców wojennych. Zdjęcia przedstawiające prace komisji Szwajcara (w tej roli Wiesław Wszelaki) odbyły się na Fortach Bema. Bardzo pomocne przy realizacji sesji było szefostwo Grill-baru Forteczna, które nie tylko użyczyło przytulnego wnętrza (a było zimno) do wykonania charakteryzacji i przywdziania kostiumów, lecz również wypożyczyło stół, na którym położyliśmy „zwłoki" oficera. Nie zdawałem sobie sprawy, że problemem będzie znalezienie odpowiedniej czaszki do zdjęć. Wiele zaangażowanych osób w poszukiwania podsyłało przez tydzień różne znaleziska. Finalnie zagrała praca artysty, grafika, modelarza Piotra Klaybora, prywatnie miłośnika historii i jeepów Willysa. Na planie w rolę Niemca wcielił się rekonstruktor z GRF Bemowo – Przemek Witowski. Angielskiego oficera – w mundurze wypożyczonym od Tomasza Miłki ze Stowarzyszenia PSZ – zagrał aktor filmowy i telewizyjny Sebastian Kaliciński znany m.in. z „Tajemnicy Westerplatte". W cywilnych kostiumach ze studia Retro-Pasje wystąpili Piotr Klaybor oraz Marek Antoszkiewicz, rekonstruktor z SGH „Zgrupowanie Radosław", który czynnie bierze udział w obchodach związanych ze zbrodnią katyńską. W tym miejscu warto zaprosić państwa na XIII Katyński Marsz Cieni, który odbędzie się 5 kwietnia w Warszawie. Wydarzenie organizowane jest przez „Radosława" oraz Instytut Pamięci Narodowej.

MICHAŁ KORSUN



Klaudyna Pabudzińska-Kossek i aktor Sebastian Kaliciński



Koncept sesji

eprasa.pl



Po prawej Marek Antoszkiewicz ze Zgrupowania „Radosław”



Plan zdjęciowy na Fortach Bema



Symboliczna scena



Piotr Klaybor i czaszka jego autorstwa



Niezawodny Michał Kepiński w wypożyczalni Retro-Pasje



...i zawsze pomocny Jan Nałęcz z Reko-Waw

PAMIĄTKI Z CHLEBA



MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

CHLEB POZWALAŁ PRZETRWAĆ BEZNADZIEJĘ NIE TYLKO JAKO POKARM DLA CIAŁA, LECZ TAKŻE STANOWIĄC MATERIAŁ DZIEŁ SZTUKI, KTÓRE ŻYWIŁY DUSZĘ I KRZEPIŁY SERCA



Medalion w kształcie kwiatu (wyżej) i medalion owalny, oba wykonane przez A. Borkiewicz

Od zarania dziejów ludzkości jest uznawany za podstawowy (archetypiczny) pokarm człowieka. W najstarszej modlitwie chrześcijańskiej została zawarta prośba do Stwórcy: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj". Nie jedząc kilka dni, człowiek w konsekwencji spadku dynamiki przemiany materii ulec może stanom chorobowym. Tym bardziej więc w zadumę nad kondycją natury ludzkiej wprowadzają sytuacje, kiedy ten podstawowy produkt żywnościowy w chwilach jego deficytu odejmowano sobie od ust, by zrobić z niego przepiękne i wzruszające dzieła, które pozwalały przetrwać samotność i pokonać zwątpienie. Rozmaite przedmioty z chleba wykonywane były rękami ludzi będących ofiarami bestialskiego upodlenia przez aparat totalitarny, osadzonych w obozach koncentracyjnych, aresztach śledczych, więzieniach politycznych. Z chleba robiono dewocjonalia: różańce, krzyżyki, medaliony przedstawiające Chrystusa, Maryję i świętych. Powstawały też z niego ryngrafy opatrywane symbolami narodowymi, medaliony przedstawiające twarze dawno niewidzianych dzieci lub misternie, bogato dekorowane ozdoby bądź pudełeczka, a także bransoletki i szachy. Pamiątki te mogły być użytkowane przez samego twórcę, choć niejednokrotnie przeznaczano je na prezent, ofiarując współtowarzyszom niedoli w dniu ich imienin lub urodzin.

Do niezwykłych pamiątek wykonanych z chleba należą kolorowe medaliony wykonane przez Annę Borkiewicz-Celińską (1921–2019) w zakładzie karnym w Fordonie (Bydgoszcz) przeznaczonym dla kobiet skazanych w procesach politycznych w czasach stalinowskich za działalność niepodległościową. Jak wspominała po wojnie: „Skazano mnie na siedem lat za to, że siłą usiłowałam zmienić ustrój Polski Ludowej".

Była córką płk. Adama Borkiewicza (1896–1958), historyka wojskowości, żołnierza Polskiej Organizacji Wojskowej i 1. Pułku Piechoty Legionów, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, w Polsce niepodległej dyrektora Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, a w powstaniu warszawskim redaktora pism „Barykada" i „Barykada – Warszawa Walczy", autora wydanej niedawno w nowym opracowaniu przez Muzeum Powstania Warszawskiego monografii „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej". Anna Borkiewicz służyła jako łączniczka w konspiracji, a później wzięła udział w powstaniu warszawskim w szeregach dywersyjno-sabotażowego oddziału kobiecego „Dysk", zostając łączniczką por. Andrzeja Romockiego „Morro" (1923–1944), dowódcy 2. kompanii „Rudy" Batalionu „Zośka". Uczestniczyła w walkach na Woli i Starym Mieście. 26 sierpnia, podczas przeprowadzania plutonu pod nawałą ognia, została ranna w lewą pierś przy ul. Franciszkańskiej 12. Cztery dni później, w ostatnich godzinach przed próbą przebicia się ze Starego Miasta do Śródmieścia, została ranna w głowę i ciężko kontuzjowana w kość krzyżową podczas ostrzału niemieckiego na pl. Krasińskich, co uniemożliwiło jej dalszy udział w działaniach bojowych. Po wojnie podjęła studia na Wydziale Historycznym UW. Po raz pierwszy została aresztowana 17 stycznia 1949 r. W areszcie przebywała trzy miesiące. Mimo przeciwności udało jej się ukończyć studia w czerwcu 1950 r. Wkrótce podjęła pracę w Oddziale Kartograficznym Archiwum Głównego Akt Dawnych. Po zaledwie miesiącu, 23 października 1950 r., została znów aresztowana. Przez sześć miesięcy była przesłuchiwana w areszcie śledczym MBP przy ul. Koszykowej, a następnie osadzona w więzieniu przy ul. 11 Listopada, gdzie 26 kwietnia 1951 r. doczekała się wyroku siedmiu lat pozbawienia wolności. Karę odbywała początkowo w Warszawie, a następnie w zakładzie karnym dla kobiet w Fordonie. Jak wspominała po latach, więźniarki robiły „bardzo ładne rzeczy z chleba". Z więzienia została zwolniona 30 września 1953 r. Pięć lat później doczekała się uniewinnienia z zarzucanych oskarżeń.

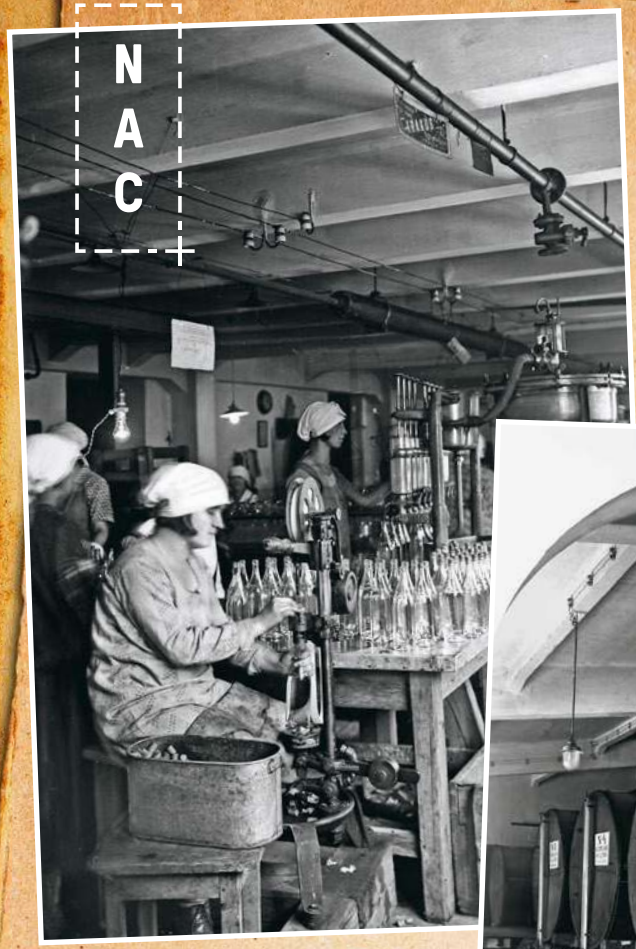
W MPW przechowywane są dwa medaliony wykonane przez Annę Borkiewicz w czasie odbywania niesłusznej kary. Zdumiewają detalami i zdobieniami. Oba są ciemnego koloru. Jeden z nich jest owalny, drugi zwężający się ku dołowi ma kształt kwiatu. Medaliony zostały wykonane z przeżutego chleba. Ciemną barwę uzyskano dzięki zastosowaniu węgla medycznego. Pozostałe kolory osiągnięto dzięki dostępnym przedmiotom, np. kolor biały pochodził z pasty do zębów, a czerwony z pyłu zeskrobanego z cegieł. Do uzyskania rozmaitych barw pomocne stały się bibułki znajdujące się po wewnętrznej stronie listownych kopert.

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

NAC

MONOPOLEM W SPIRYTUS





FOT. NAC

Rafineria spirytusu Krakus w Krakowie. Fragment hali fabrycznej i pracownice przy pracy, 1929 r.

STEFAN ARTYMOWSKI

Wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 r. nastały nowe czasy dla wytwórców i konsumentów alkoholu. Ci pierwsi objęci zostali od 1924 r. kontrolą przez Państwowy Monopol Spirytusowy i stojącą na jego czele dyrekcją monopolu. Przyznawała ona i zarządzała w imieniu Państwa Polskiego produkcją i obrotem spirytusem na rynku wewnętrznym, w pełni kontrolując tę dziedzinę handlu. Państwowy nadzór nad produkcją przemysłu spirytusowego jest powszechną praktyką w wielu państwach. Pozwala na zasilanie funduszów kraju zyskami z tej dziedziny gospodarki, co wiąże się z nadawaniem i reglamentowaniem uprawnień do produkcji spirytusu i sprzedaży wyrobów monopolowych. Już w pierwszym artykule ustawy z 31 lipca 1924 r. o monopolu spirytusowym czytamy: „Wyrób i sprzedaż czystych wódek oraz wyrobów spirytusu [...] jest wyłącznym przywilejem (monopolem) Skarbu Państwa".

W warunkach państwowego monopolu swoją produkcję kontynuowało zarówno wiele zakładów powstałych jeszcze w czasach zaborów, jak i zupełnie nowi wytwórcy. Niewątpliwie do najsłynniejszych producentów przemysłu spirytusowego należały: fabryka wódek Baczewskiego we Lwowie, fabryka likierów hrabiego Potockiego w Łańcucie, fabryka wódek Bolesława Kasprowicza w Gnieźnie oraz zakłady Jakuba Haberfelda w Oświęcimiu.

Największym w Polsce przedsiębiorstwem rektyfikacyjnym była firma Akwawit SA. Dużymi producentami spirytusu – choć znacząco ustępującymi Akwawitowi pod względem rozmiarów produkcji – byli także Baczewski we Lwowie, Krakus w Krakowie, zakłady w Łańcucie oraz Adlersberg w Stanisławowie. Wraz z rozwojem produkcji i podnoszeniem jej jakości zaczęli zanikać mali producenci spirytusu, a rynek krajowy zdominowały duże zakłady. Kontrola państwa miała jednak także pozytywne oblicze. Przemysł spirytusowy, odgrywający znaczną rolę w krajowej gospodarce, wytwarzał wyroby coraz lepszej jakości, zarówno dla produkcji konsumpcyjnej, jak i przemysłowej.

Obok licznych regulacji Państwowego Monopolu Spirytusowego ważną rolę odgrywały gusta konsumentów. Niezwykłą popularnością cieszyły się wytwory zakładów Baczewskiego, w tym zarówno wódki, jak i likiery, prezentowane w oryginalnych opakowaniach. Uznanie znalazły wyroby z zakładów Kasprowicza i Potockiego. Nie sposób określić popularności wyrobów nieobjętych kontrolą dyrekcji monopolu, czyli bimbru pędzonego we własnym zakresie. Mimo karania tego procederu przez organy państwowe kwitł on nadal.

Produkcja przemysłu spirytusowego i konsumpcja wyrobów monopolowych objętych kontrolą państwa wspierała krajowy budżet. Oczywiście Polacy sięgali także po miody pitne, wina i piwa, lecz to mocne trunki są zazwyczaj kojarzone z dwudziestoleciem międzywojennym. Dobrze oddaje to jedna z licznych anegdot związanych z gen. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim. Małżonka generała zwróciła mu uwagę: „Patrz, Bolek, ile jest na świecie dobrego wina, jaki mają bukiet, kolor, jakie są dobre. Nie rozumiem, dlaczego ludzie piją wódkę". Generał miał jej na to odpowiedzieć: „Wiesz, co by się działo, gdyby jeszcze wódka miała dobry smak?".

eprasa.pl.37b1e8a2c0



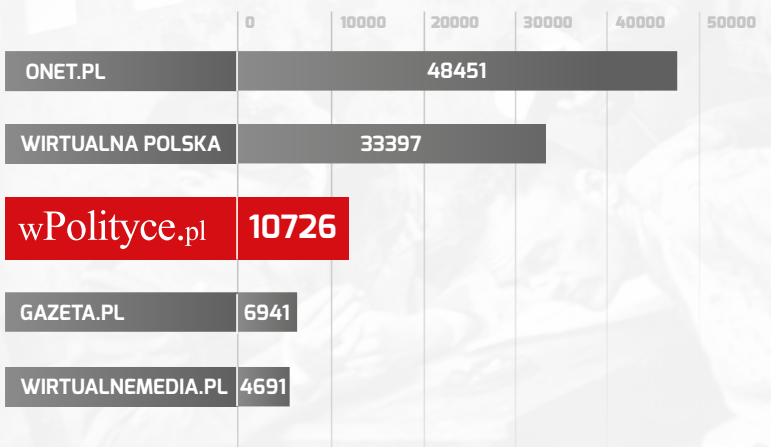
Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki

NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE

MEDIA W POLSCE W 2019 r.

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe





ŹRÓDŁO: IMM, DANE ZA 2019 R.

eprasa.pl 37b1e8a2c0